

ISSN 0023-5148

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

**PARYŻ      Nr 10/637      2000**

---



• « *La Culture* » • *Revue mensuelle* •

**NUMER OSTATNI**

## SPIS RZECZY

—	<i>Do Czytelników i Przyjaciół</i> . . . . .	5
Agnieszka Osiecka:	<i>***...Przywilejem polityka</i> . . . . .	7
Natalia Gorbaniewska:	<i>Dwa wiersze na zgon Jerzego Giedroycia</i> . . . . .	9
Ks. Henryk Hoser SAC:	<i>Homilia na pogrzebie śp. Jerzego Giedroycia</i> . . . . .	11
Czesław Miłosz:	<i>Uwagi wdzięcznego współbiedniaka</i> . . . . .	15
Bohdan Osadczyk:	<i>Pożegnanie z Jerzym Giedroyciem</i> . . . . .	18
Krzysztof Pomian:	<i>Jerzy Giedroyc w historii Polski</i> . . . . .	20
Wacław Zbyszewski:	<i>Niedoszły polski „Lawrence of Arabia”... . . . . .</i>	29
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Leopold Unger:	<i>Widziane z Brukseli (ostatni raz)</i> . . . . .	46
Tomasz Twardowski:	<i>Polska – Chiny</i> . . . . .	54
Magdalena Rostron:	<i>Raport o prawach człowieka w Arabii Saudyjskiej</i> . . . . .	62
Jędrzej Krakowski:	<i>Inwestycje zagraniczne w Polsce</i> . . . . .	66
WYWIADY „KULTURY”		
Stanisław Beres:	<i>W tym domu jest Polska. Rozmowa z Marią Danilewicz Zielińską</i> . . . . .	73
Florian Śmieja:	<i>Inna wersja emigracji. Rozmowa z Bolesławem Taborskim</i> . . . . .	117
O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA		
Antoni Pospieszalski:	<i>Jak chory jest nasz Kościół?</i> . . . . .	122
KRAJ		
Andrzej Koraszewski:	<i>Cierpienia młodego tygrysa</i> . . . . .	130
SMECZ:	<i>Z ukosa</i> . . . . .	138
Ewa Berberysz:	<i>Kartki ze skażonej strefy</i> . . . . .	158
Andrzej Micewski:	<i>Główne orientacje prawicy</i> . . . . .	167
Marek Rudzki:	<i>Przygoda na Starym Mieście</i> . . . . .	173
SĄSIEDZI		
Anna Strońska:	<i>Wilno: coraz dalej</i> . . . . .	176
Stefan Abner:	<i>Dzień dobry ze Szwecji</i> . . . . .	193
Stefan Abner:	<i>Z nordyckiej perspektywy</i> . . . . .	196
Andrzej Stach:	<i>Dalekie drogi zbliżenia – polscy i niemieccy studenci „Viadriny”</i> . . . . .	199
KRONIKA KULTURALNA		
M. Broński:	<i>Meksyk – Pietuski (tzn. Kraków)</i> . . . . .	207
Piotr Daszkiewicz:	<i>Operacja Coldfeet</i> . . . . .	211
Rafał Habielski:	<i>60 lat „Dziennika Polskiego”</i> . . . . .	216
Jerzy Grot-Kwaśniewski:	<i>Z ogniem wziętym od Prometeusza</i> . . . . .	223
—	<i>Indeks autorów i tematów „Kultury” za okres styczeń–październik 2000</i> . . . . .	227

# KULTURA

**Szkice • Opowiadania • Sprawozdania**

**PARYŻ** Październik/Octobre 2000

Urodzony w Mińsku Litewskim 27 lipca 1906 r.

Zmarł w Maisons-Laffitte 14 września 2000 r.

**INSTYTUT**



**LITERACKI**



# KULTURA

Żakice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYZ Państwowy Instytut Literacki 2000

Wstęp	1
Żakice	5
Opowiadania	15
Sprawozdania	25
Żakice	35
Opowiadania	45
Sprawozdania	55
Żakice	65
Opowiadania	75
Sprawozdania	85
Żakice	95
Opowiadania	105
Sprawozdania	115
Żakice	125
Opowiadania	135
Sprawozdania	145
Żakice	155
Opowiadania	165
Sprawozdania	175
Żakice	185
Opowiadania	195
Sprawozdania	205
Żakice	215
Opowiadania	225
Sprawozdania	235
Żakice	245
Opowiadania	255
Sprawozdania	265
Żakice	275
Opowiadania	285
Sprawozdania	295
Żakice	305
Opowiadania	315
Sprawozdania	325
Żakice	335
Opowiadania	345
Sprawozdania	355
Żakice	365
Opowiadania	375
Sprawozdania	385
Żakice	395
Opowiadania	405
Sprawozdania	415
Żakice	425
Opowiadania	435
Sprawozdania	445
Żakice	455
Opowiadania	465
Sprawozdania	475
Żakice	485
Opowiadania	495
Sprawozdania	505
Żakice	515
Opowiadania	525
Sprawozdania	535
Żakice	545
Opowiadania	555
Sprawozdania	565
Żakice	575
Opowiadania	585
Sprawozdania	595
Żakice	605
Opowiadania	615
Sprawozdania	625
Żakice	635
Opowiadania	645
Sprawozdania	655
Żakice	665
Opowiadania	675
Sprawozdania	685
Żakice	695
Opowiadania	705
Sprawozdania	715
Żakice	725
Opowiadania	735
Sprawozdania	745
Żakice	755
Opowiadania	765
Sprawozdania	775
Żakice	785
Opowiadania	795
Sprawozdania	805
Żakice	815
Opowiadania	825
Sprawozdania	835
Żakice	845
Opowiadania	855
Sprawozdania	865
Żakice	875
Opowiadania	885
Sprawozdania	895
Żakice	905
Opowiadania	915
Sprawozdania	925
Żakice	935
Opowiadania	945
Sprawozdania	955
Żakice	965
Opowiadania	975
Sprawozdania	985
Żakice	995
Opowiadania	1005
Sprawozdania	1015

INSTITUT LITERACKI

## Do Czytelników i Przyjaciół

Jerzy Giedroyc  
 Urodzony w Mińsku Litewskim 27 lipca 1906 r.  
 Zmarł w Maisons-Laffitte 14 września 2000 r.

Te wypowiedzi z „Autobiografii na cztery ręce” Jerzy Giedroyc pozostawił w kilku wywiadach przeprowadzonych w ostatnich latach, które stanowią jego ostatnią wolę. Też ich zbioru, który przygotowano przy udziale Instytutu Literackiego, poświęca ten zbiór.

Naszych promieniowanie będziemy z żalem, dzięki im w wieloletniej pracy wiele lat i całe wyprzedzone wyobrażenia świata jakie otrzymano i zdobył świat.

Dziś nie był w ciele, a kto w tym czasie się pojawił.

Kultura była pewnym wyprzedzeniem ze względu na to, że była prowadzona przez jedną osobę i pomoc garstki ludzi, która z Niemcami miała. Władza dyktowała i przychodziła pewni, że Kultura należałaby zachować, ale czy jest gdzieś tam, kto mógłby ją prowadzić w ten sposób, co Jerzy Giedroyc? To jest naprawdę niemożliwe.

Chciałoby się jednak zachować nasz świat w sposób, który jest dla wywiadów z nim i jego otoczeniem, ale jako osoba, która otrzymała świat i porządek. Chciałoby się, żeby świat był taki, jaki jest, jakie dokumenty, zwracając uwagę na to, jakie obrazy i pamięć, służące ludziom i światu i tym, którzy chcieli

Zgodnie z Jego decyzją „Kultura” przestaje wychodzić  
z chwilą Jego śmierci.  
Dyrektorem Instytutu Literackiego  
zostaje Zofia Hertz,  
a Henryk Giedroyc zastępcą.

## Do Czytelników i Przyjaciół

„Nigdy nie zastanawiałem się nad kandydatem na mego następcę. Wszystkie plotki na ten temat są bezzasadne. Po mojej śmierci *Kultura* przestanie wychodzić. Zostanie natomiast Instytut Literacki jako archiwum i biblioteka. Kierować nim będą Zofia Hertz i mój brat Henryk. Byłoby dobrze, gdyby znalazły się jakieś pieniądze na stypendia, które by umożliwiły prowadzenie tu badań i na stypendia ‘twórcze’. Może uda mi się jeszcze przed odejściem tę sprawę załatwić”.

Tę wypowiedź z „Autobiografii na cztery ręce” Jerzy Giedroyc potwierdził w kilku wywiadach prasowych i w notatkach, które stanowią Jego ostatnią wolę. Toteż obecny numer *Kultury*, przygotowany przez Redaktora, jest jej numerem ostatnim.

Naszycy prenumeratorów żegnamy z żalem, dziękując im za wierność przez wiele lat i za tak wzruszające wyrazy współczucia jakie otrzymaliśmy z całego świata.

Dla nas był to cios, z którym trudno się pogodzić.

*Kultura* była pismem wyjątkowym ze względu na to, że była prowadzona przez jednego człowieka z pomocą garstki ludzi, która z Nim zaczynała. Wielu czytelników i przyjaciół mówi, że *Kulturę* należałoby zachować, ale czy jest gdzieś ktoś, kto mógłby ją prowadzić w tym duchu, co Jerzy Giedroyc? To jest naprawdę niemożliwe.

Chcielibyśmy jednak zachować nasz dom – zawsze otwarty dla wszystkich – nie jako muzeum, ale jako ośrodek tętniący życiem i pracą. Chcielibyśmy, żeby nasza biblioteka, nasze dokumenty, zbierane przez tyle lat, nasze obrazy i pamiątki, służyły nadal młodemu i starszemu, którzy chcieliby



zapoznać się z prawdziwą historią Polski. Chcielibyśmy, jak dotąd, przyjmować studentów, stypendystów i autorów, którzy mogliby korzystać z naszych zbiorów. Chcielibyśmy, żeby nasz ośrodek – Instytut Literacki – pozostał w pamięci starszych i młodych, którzy nas odwiedzali. Chcemy wydawać w dalszym ciągu *Zeszyty Historyczne* (właśnie ukazał się Zeszyt 133, następnym wyjdzie jeszcze w tym roku).

Wiemy, że na to wszystko potrzebne są pieniądze i ludzie, którzy kontynuowaliby naszą pracę.

Przed laty nie mieliśmy lokalu i nie mieliśmy pieniędzy, ale znaleźliśmy dom, jak gdyby wymarzony, blisko Paryża, nadający się na biuro i mieszkanie. Pieniądze pożyczaliśmy, ale jak wiadomo, trzeba je było oddać. Zwróciliśmy się wówczas do naszych czytelników, prosząc o pomoc. Odzew był nadzwyczajny. Spłaciliśmy nasze długi po roku i zaczęliśmy nowe życie. Wszystko to opisaliśmy w swoim czasie w *Kulturze*.

Dziś są inne czasy i inne problemy, chcemy jednak przypomnieć, że nigdy nie uważaliśmy naszego domu za naszą osobistą własność, ale za dom polski – dom Polaków. Dziś myślimy tak samo i zwracamy się do Was z prośbą o pomoc. Pomóżcie nam zachować ten dom dla naszych następców. Chcielibyśmy, aby stał się on kawałkiem naszej historii, tak jak jest nią Biblioteka Polska w Paryżu, która została pamiątką po Wielkiej Emigracji.

Moglibyśmy zwrócić się do rozmaitych instytucji i uniwersytetów, także zagranicznych – są takie, które już do nas pisały w tej sprawie, ale nie chcieliśmy tego i nie chcemy nadal – przez wszystkie te lata byliśmy całkowicie niezależni – tak, jak nas uczył Redaktor. I chcielibyśmy takimi pozostać. Dlatego zwracamy się do Was.

Zofia HERTZ, Henryk GIEDROYC

Wpłaty z zagranicy dla Instytutu Literackiego można przekazywać na nasze konto bankowe:

INSTITUT LITTERAIRE, nr konta: 000 200 2246 1  
w banku Société Générale, Agence de Maisons-Laffitte,  
22 Avenue de Longueuil, 78600 Maisons-Laffitte.

Numer naszego konta bankowego w Polsce ogłosimy w łamach gazet. Nazwiska wszystkich Ofiarodawców ogłosimy w specjalnej broszurze pod koniec 2001 roku.

Agnieszka OSIECKA

\* \* \*

Przywilejem polityka jest nadzieja, którą widzi w oczach tych, którzy go wybrali, którzy mu zawierzyli swoje żony, zwierzęta i dzieci, i którzy powiadają: „Na koniec jesteś”.

Nie zasnął Pan tego.

Hańbą polityka jest zawód, który sprawił tym, którzy go wybrali, którzy powierzyli mu swoje żony, zwierzęta i dzieci, i którzy powiedzieli: „Na koniec jesteś”.

Nie zasnął Pan tego.

Przywilejem polityka jest widzieć swój skrawek świata lub kraju zrealizowany, w miarę sprawiedliwy, w miarę syty, w miarę piękny, w miarę taki, jakiego pragnął.

Nie zasnął Pan tego.

Hańbą polityka jest widzieć swój skrawek świata jedynie w miarę zrealizowany, jedynie w miarę sprawiedliwy, jedynie w miarę syty i w miarę piękny.

Nie zasnął Pan tego.

Przywilejem polityka jest umieć osiągnąć kompromis, pół prawdy, pół szczęścia, pół celu, pół pokoju.

Nie zasnął Pan tego.

Hańbą polityka jest umieć osiągnąć jedynie kompromis, pół szczęścia, pół prawdy, pół celu, pół pokoju.

Nie zasnął Pan tego.

Hańbą polityka jest zdobyć miłość tłumy.

Nie zasnął Pan tego.

Z prywatnych papierów Jerzego Giedroycia.



Przywilejem i hańbą polityka jest pieniądz.  
 Nie zaznał Pan tego.  
 Przywilejem i hańbą polityka jest nędza.  
 Nie zaznał Pan tego.  
 Przywilejem i hańbą polityka jest odpoczynek.  
 Nie zaznał Pan tego.  
 Przywilejem takich jak Pan – jest miejsce w historii i  
 wieczny szacunek.  
 I zazna Pan tego.

*Agnieszka OSIECKA*

Natalia Gorbaniewska

## DWA WIERSZE NA ZGON JERZEGO GIEDROYCIA

1.

Kto żyw, młodzi, starcy  
 spieszą, co sił starczy,  
 by nie dożyć do końca stulecia.  
 Już dosyć, już pora,  
 już przykrzy się porać  
 z ciemnościami, jak samotna świeca

i znów niestrudzenie  
 rozniecać czas tchnieniem  
 i rozżarzać go do temperatury  
 ust, powiek i czoła,  
 jakby wiek ten zgoła  
 był dziewczyną z obrazu La Toura.

2.

Stół, komputer, łózko, fotel –  
 jak odprawić czas z powrotem?  
 W co przetopić tę zgryzotę,  
 w czym ją topić potem?

To nie lampy klosz niewinnej,  
 to jest dzwon, dzwon z miedzi.  
 Odtąd wszystko jest już inne  
 i kół w gardle siedzi.

Powierz słowa czarnej rzecze,  
 wróć pełną miarą –  
 na nieznanie nam narzeczę  
 przeprawi je Charon.

*Natalia GORBANIEWSKA*  
*Spolszczył Jerzy Pomianowski*

## ДВА СТИХОТВОРЕНИЯ НА СМЕРТЬ ЕЖИ ГЕДРОЙЦА

1.

Стар и млад,  
все спешат  
не дожить до кончины века,  
млад и стар,  
всяк устал  
темноту раздвигать как свечка,  
темноту,  
теплоту  
распалить до температуры  
щек и век,  
будто век —  
девочка с полотна Латура.

2.

Стол, компьютер, стул, кровать —  
с кем на «вы» толковать?  
Скорбь на что перековать,  
перевыковывать?  
Не на лампу шит колпак  
медным колоколом.  
Всё не этак, всё не так,  
и всё в горле колом.  
Переключку, пере-крик,  
переправы паром  
на неведомый язык  
переплавит Харон.\*

\* Переводчик, перевозчик,  
переносчик молодой,  
переведи меня обратно  
на ту сторону домой.

(Прим. автора)

## Homilia na pogrzebie śp. Jerzego Giedroycia

Le Mesnil-le-Roi, dn. 21 września 2000 r.

W Starym Testamencie, w Pierwszej Księdze Samuela, opisane jest zdarzenie o wyjątkowym, ponadczasowym znaczeniu. Prorok Samuel otrzymuje od Boga polecenie: „Posyłam cię do Jessego Betlejemity, gdyż między jego synami upatrzyłem sobie króla” (1 Sm 16,1). Spośród ośmiu synów Jessego prorok ma wskazać wybrańca, a będzie to przyszły król Dawid. Stoi Samuel wobec wieloważnego wyboru: zadania uwidocznienia słusznej wartości człowieka, można by powiedzieć, jego wartości bezwzględnej.

Od śmierci Jerzego Giedroycia minęło kilka dni, prawie tydzień. Prasa, radio i telewizja obfitują w lawinowo pojawiające się wypowiedzi, oceniające człowieka i dzieło; Jego życie i znaczenie Jego śmierci.

Wszyscy jednak czujemy, jak osoba Redaktora wymyka się najbardziej nawet przenikliwym, subtelnym czy błyskotliwym wypowiedziom. Jesteśmy bezradni bezradnością Samuela, szukającego rozpaczliwie klucza do rozeznania Bożych upodobań. I wówczas otrzymuje Samuel od swego Pana konieczne światło, odpowiednią metodę, jedną z najważniejszych zasad mających zastosowanie w odkrywaniu tajemnicy człowieka. Zasada ta brzmi: „Nie tak bowiem człowiek widzi, jak widzi Bóg, bo człowiek patrzy na to, co widoczne dla oczu, Pan natomiast patrzy na serce” (1 Sm 16,7). A serce oznacza w tym wypadku najbardziej skryte i intymne san-



ktuarium ludzkiego istnienia i chcenia, źródło najgłębszej motywacji, mieszkanie wolności.

My również przyjrzyjmy się sercu człowieka, który był tak bardzo obecny w naszym życiu i nazaczył kończący się dwudziesty wiek. Niech nam zatem będzie wolno odczytać Pana Jerzego, tę postać monumentalną i historyczną, w świetle Bożych kryteriów i ocen, w ostrym świetle Ewangelii. Oddajmy głos Jemu samemu i słuchajmy głosu Jezusa, pomijając wszystkie osoby postronne.

Śp. Jerzy Giedroyc był człowiekiem skromnym; nie przeceniał swej roli, a była ona wielka, nie stawiał się na piedestale, unikał jak ognia pochlebców, odsuwał turyferarzy. Jego zachowanie cechowała głęboko zakorzeniona wstydlivość, odpowiadająca francuskiemu słowu *pudeur*. Mówił z dużą autoironią: „Jak dotąd z mojego miotania nic nie wychodzi. Poza *Kulturę* zabieram głos, gdzie tylko mogę. Do Maisons-Laffitte ciągną jak do cadyka z Góry Kalwarii różni dygnitarze, ale to jałowa gadanina, z której nic nie wynika”.

Jezus zaś nauczał:

«Tak mówcie i wy, gdy uczynicie wszystko, co wam polecono; „Słudzy nieużyteczni jesteśmy; wykonaliśmy to, co powinniśmy wykonać”». (Łk 17, 10)

Zdawał się wtórować ewangelicznej radzie, uważając, że tylko pełni swoją powinność.

Jerzy Giedroyc był człowiekiem utalentowanym. Talent literacki, talent organizacyjny, wyjątkowa intuicja, bystra inteligencja, poczucie smaku i estetyki, umiejętność słuchania, zmysł humoru, godność osobista.

I o tym mówił, jak zwykle oszczędnie. „Jeżeli mam jakiś talent, to jest to talent reżysera: umiejętność dobierania tematów i ludzi. To sprawia, że mam nastawienie zespołowe i że jeśli jestem przekonany, to zmieniam zdanie. (...) Zmieniam taktykę, bo polityka nie jest sakramentem: jeśli chce się ją uprawiać, to trzeba przylegać do rzeczywistości, która się zmienia. Trzeba umieć zachowywać zasady i zmieniać poglądy.”

Dzisiaj słucha i dogłębnie rozumie przypowieść o talentach, bo ona właśnie bezpośrednio poprzedza opis Sądu Ostatecznego.

„Podobnie też [jest] jak z pewnym człowiekiem, który

mając się udać w podróż, przywołał swoje sługi i przekazał im swój majątek. Jednemu dał pięć talentów, drugiemu dwa, trzeciemu jeden, każdemu według jego zdolności, i odjechał. (...) Po dłuższym czasie powrócił pan owych sług i zaczął rozliczać się z nimi. Wówczas przyszedł ten, który otrzymał pięć talentów. Przyniósł drugie pięć i rzekł: „Panie, przekazałeś mi pięć talentów, oto drugie pięć talentów zyskałem”. Rzekł mu pan: „Dobrze, sługo dobry i wierny! Byłeś wierny w rzeczach niewielu, nad wieloma cię postawię: wejdź do radości twego pana!” (Mt 25, 14-15; 19-29)

Jerzy Giedroyc był człowiekiem twórczym. Otrzymane od Stwórcy talenty pomnażał gigantyczną, benedyktyńską pracą, bo tylko ona talentów przysparza. Potomni zawsze będą mieli trudności w zrozumieniu, jak jeden człowiek ze szczupłym gronem współpracowników, stanowiących rzeczywistość Jego rodzinę, mógł dokonać tak wielkiego dzieła. Bo przecież dorobek Instytutu Literackiego stanowi niewyczerpany *corpus* Giedroyciowego życia, nie tyle mierzony długością książkowych półek, ile milionami czytelników.

W tym momencie sięgnijmy do innej ewangelicznej zasady wejrzenia w ludzkie serce, dotarcia do tajemnicy serca Pana Jerzego.

Jezus mówi: „Strzeżcie się fałszywych proroków, którzy przychodzą do was w owczej skórze, a wewnątrz są drapieżnymi wilkami. Poznacie ich po ich owocach. Czy zbiera się winogrona z ciernia, albo z ostu figi? Tak każde dobre drzewo wydaje dobre owoce, a złe drzewo wydaje złe owoce. Nie może dobre drzewo wydać złych owoców ani złe drzewo wydać dobrych owoców. Każde drzewo, które nie wydaje dobrego owocu, będzie wycięte i w ogień wrzucone. A więc: poznacie ich po owocach.” (Mt 7, 15-20)

Dojrzałym owocem tego długiego, pracowitego i urodzajnego życia było słowo: słowo wypowiedziane, słowo zapisane i słowo skierowane do tych, którzy szukali orientacji, światła, kierunku, a zwłaszcza uzasadnienia nadziei, nadziei na życie pełne, życie sprawiedliwe i piękne życie.

Nostalgia za Polską wyśnioną, wyidealizowaną, prawie doskonałą, nasiliła się przy końcu życia Redaktora, gdy wydawało się, że cel jest blisko, a spełnienie możliwe. Stąd nuty jeremiaszowej goryczy, stąd ostra, niecierpliwa krytyka:



marzenie pozostawało nadal i tylko marzeniem.

Redaktor wyraził wolę pogrzebu religijnego w Kościele katolickim, który tak często bezlitośnie krytykował. Zapewne Jego wiara była trudna. Pozostanie ona tajemnicą serca, które przestało bić i opisać jej nie sposób.

Powiem tylko, że dziennik *Rzeczpospolita* opublikował, już pośmiertnie, zdjęcie Pana Jerzego w Jego gabinecie na tle dwóch wizerunków Matki Bożej, a mówiący te słowa posyłał Mu, na Jego prośbę, dokumenty kościelne dotyczące kultu maryjnego. W Jego domu królowała na poczesnym miejscu Matka Boska Ostrobramska. Ta z Wilna i „Pana Tadeusza”, litewska postać Królowej Polski Obojga Narodów. *Servus Mariae numquam peribit.*

I Ona zapewne wyciąga matczyne ręce, by przyjąć duszę Redaktora w Niebieskie Bramy. On zaś staje tam z paszportem w rękę, dziełem życia swego, miniaturką *Kultury*, przynoszoną do Polski z narażeniem życia i wolności wielu, a wydaną na biblijnym papierze. Głosem cichym i zażenowanym mówi Pani Niebieskiej: „zrobiłem dla mojej ojczyzny, dla Polski, coś dobrego”. I dodaje nieśmiało: „wszystko, co zrobiłem, zrobiłem kosztem życia osobistego, którego nie miałem”.

I powiedział Pan: „Nikt nie ma większej miłości od tej, gdy ktoś życie swoje oddaje za przyjaciół swoich” (J 15,13). Amen

Ks. Henryk HOSER SAC

**Maskę pośmiertną Jerzego Giedroycia wykonał Paweł Jocz, artysta zamieszkały od 30 lat w Paryżu, którego rzeźby znajdują się w Bibliotece Polskiej, w paryskiej stacji Polskiej Akademii Nauk i na ulicach miasta.**

## Uwagi wdzięcznego współbiesiadnika

W pierwszych dniach lutego 1951 roku zjawiłem się w *Kulturze*, czyli w domu przy avenue Cornille, gdzie mieściła się redakcja, tudzież mieszkał trzyosobowy zespół, wydający to pismo. Dom, z gatunku t.zw. *pavillons* francuskich przedmieść, stał w zaniedbanym ogrodzie i był równie zaniedbany. Doprowadzenie go do stanu mieszkalności kosztowało zespół wiele trudu. Przesiadawali zwykle w kuchni przy stole pokrytym ceratą, jako że ogrzanie innych pokoi piecykami, w których paliło się węglowe brikiety, częściowo tylko się udawało. Stół służył do posiłków przyrządzanych przez Zosię, do czytania korespondencji, do robienia korekty. Ta trójka, tj. Jerzy Giedroyc, Zosia i Zygmunt Hertzowie, przebywali, ośmielałem się tak powiedzieć, na dnie klęski. Byli wrogami Imperium, natomiast Imperium miało wszystko po swojej stronie: wygraną wojnę, miliony w łagrach, kontrolę nad połową Europy i kontrolę nad umysłami w drugiej jej połowie, pieniądze na propagandę, dobrze opłacany aparat policyjny i szpiegowski. Dzisiaj trudno sobie wyobrazić rozmiary triumfu tego państwa. W Polsce dobrze zdawano sobie z tego sprawę i emigracja stawała się symbolem niebytu, co miało wpływ obeszładniający. Zaledwie jednak zaczęto przystosowywać się do swego miejsca w brzuchu molocha, nastąpił rok 1949 i utrata złudzeń, jeżeli ktoś je żywił.

Myślałem tak jak moi koledzy w Polsce i lądując w *Kulturze* przyłączałem się, moim zdaniem, do klęski. A jeżeli pisałem, to z pozycji „człowieka przewróconego”, jak powiedział Gombrowicz. Moje środowisko w Polsce kierowało się



towarzyskimi ambicjami i niepisanym kodeksem towarzyskiego taktu. Zostać emigrantem znaczyło spaść w towarzyskiej hierarchii. Ogłosić się antykomunistą było po prostu nietaktem. Wspominam o tym, bo odpowiada to prawdzie, choć nikt już nie chciałby się do tego przyznać. Moja ponurość, nawet histeria i prowokacje stąd się brały, że cierpiałem męki ponizonej ambicji. Dzisiaj w całej dyskusji o komunizmie za mało uwagi udziela się towarzyskiemu prestiżowi. Później, za Solidarności, potrzeba tego prestiżu działała w odwrotnym kierunku. W 1951 roku byłem zatruty nie tylko heglizmem, także samotnością kogoś, kto zrywa ze swoją konfraternią, jedyną jaką ma na świecie. Staje się samodzielną, nawet odważną jednostką, ale mimo woli.

Jerzy Giedroyc pochodził z innych układów i inne były jego presje środowiskowe. Opierając się im, wyzwał się z etnocentrycznej ortodoksji patriotów. Jego wizja możliwej współpracy polsko-ukraińskiej, polsko-litewskiej i polsko-białoruskiej była (wtedy!) szaleńcza, a pomysł oddziaływania na Polskę z odległości – karkołomny. Choć właśnie w tej swojej części człowieka stamtąd, ze wschodu, jak Jerzy Stempowski czy Stanisław Vincenz, znającego tamte problemy narodowościowe, był mi bliski. To naprawdę tworzyło nic porozumienia.

Nienawidziłem sowieckiego potwora i byłem świadomy, że cudem uniknąłem łagru. Wydostając się z Polski, wziąłem na siebie obowiązek walki. Ale to nie znaczy, że wierzyłem w zwycięstwo i wcale nie zamierzam przyłączać się do tych, którzy teraz utrzymują, że zawsze wiedzieli co będzie.

Jerzy Giedroyc w swojej niezłomności był dla mnie postacią enigmatyczną. Czy naprawdę wierzył, że podział Europy ulegnie zmianie wcześniej niż za sto lat? Czy też, wobec całkowitego nieprawdopodobieństwa sukcesu swoich poczynań, postępował jak postępował w imię zasady stoickiej, dlatego, że tak trzeba, bez obliczania szans? Jego uparta działalność i wybór jednego celu, któremu poświęcił życie, zasługiwały na mój szacunek i niechętny podziw. Niechętny, bo przeciwko niemu zwracała się wszelka realistyczna ocena. Jednakże w swoim bezwzględnym oddaniu celowi nie był sam: stała za nim murem ta, bez której nie byłoby *Kultury*, przez której ręce przechodziła każda stronica pisma, sekre-

tarka i naczelny szef ich falansteru w jednej osobie, Zofia Hertz. Też na próżno próbowałem odgadnąć, jaka w niej siedzi siła napędowa, że zdolna jest co dzień do czternastu godzin pracy. W imię idei? W imię samego uporu, jak wtedy, kiedy rąbała las na zesłaniu w Marijskiej Republice? Z głębokiej wiary w sensowność przedsięwzięcia? Bo powiedzmy szczerze, że Zygmunt tyrał, pakował egzemplarze i woził ręcznym wózkiem na Gare St. Lazare nie dlatego, że wierzył. Poświęcał się świadomie, z miłości do żony, lojalny wobec wybranej przez nią misji. Ponieważ był sceptykiem, okazywał się bardziej dostępny mojemu sceptycznemu usposobieniu.

Powracam teraz, po śmierci Giedroycia, do tych pierwszych lat *Kultury*, dlatego, że tak tylko umiem myśleć o wielkości dzieła, które zostawił. Wygrał, ale ryzyko przegranej należało do gry, będącej próbą charakterów. Co prawda można by składać mu hołd za dar przewidywania, jednakże wtedy brakło logicznych przesłanek do upadku sowietyzmu, a i dzisiaj jego zapadnięcie się od środka wymyka się pojęciu przyczyn i skutków, podobne natomiast jest do cudu. Jako że publikowałem przez dziesiątki lat w *Kulturze* i w Instytucie Literackim, korzystam niezasłużenie z części sławy należnej Giedroycowi i jego najbliższemu współpracownikom. Myślę, że właśnie pokazując mizериę początków, sprowadzam do właściwej skali mój udział, literata, który korzystał z gościny i opieki ubożuchnego wydawcy.

Giedroyc jest jedną z wielkich postaci polskiej historii. Na pewno oceny jego *Kultury* będą się zmieniać, ale zawsze będzie obecny przy debatach o bolesnej likwidacji dziedzictwa dawnej Rzeczypospolitej, jako człowiek, który wcześniej zrozumiał, że stosunki pomiędzy wchodzącymi niegdyś w jej skład narodami muszą być oparte na nowych zasadach. Śmierć jego jest stratą dla Litwinów, Białorusinów i Ukraińców, ale dzięki niemu nigdy już, miejmy nadzieję, nie zdobędzie przewagi polski etnocentryczny sposób myślenia.

Czesław MIŁOSZ



## Pożegnanie z Jerzym Giedroyciem

Bardzo trudno jest pogodzić się z okrutnym faktem, że Jerzy Giedroyc już nie żyje. Był zbyt wielkim symbolem, synonimem bycia i trwania, moralnym i politycznym autorytetem ponad podziałami partyjnymi, przesądami klasowymi i konfliktami narodowościowymi. Jak rzadko kto reprezentował umiar i rozsądek, był uosobieniem tolerancji. Są to cechy charakteru raczej rzadkie na naszych szerokościach geograficznych i nietypowe dla politycznego obyczaju. Jego śmierć powoduje głęboką wyrwę w nieformalnym, ale od wielu lat praktykowanym układzie sił i tendencji. Nie będąc w środku szybko zmieniających się nastrojów mógł z dala nie tylko obserwować procesy przemian – nie zawsze uchwytnych nawet dla ich uczestników – ale przez powagę i ciężar gatunkowy swojej postaci w wydatny sposób wpływać na politykę współczesnych elit politycznych.

Przypominanie dziś, w obliczu majestatu śmierci, że był jednym z największych Polaków XX stulecia, jest truizmem i właściwie banałem. Ale stwierdzenie wielkości jego postaci na tle straszliwej epoki, wciąż jeszcze zionącej atmosferą nieprawdopodobnych okrucieństw zdegenerowanych systemów władzy i ogromem ludzkich nieszczęść, jest tylko skromną i oczywistą daniną. W ostatnich latach, czasem wydawało się, że nie tylko ogół naszych społeczeństw, od którego trudno oczekiwać

Niniejszy artykuł ukazał się w tygodniku ukraińskim *Nasze Słowo*, nr 41 (2254), 8 października 2000 r.

docieklivości i przenikliwości, ale nawet klasa polityczna z kręgu podstawowych działań Jerzego Giedroycia – czyli Polski, Białorusi, Litwy i Ukrainy – nie dostrzega głębi i doniosłości życiowego dzieła tego nie tylko zdolnego wydawcy, genialnego redaktora, ale przede wszystkim politycznego wizjonera.

Nie trzeba grzeszyć zbyt wybujałą fantazją, aby wyobrazić sobie, co działałoby się w naszym regionie, jakie konflikty, awantury narodowościowe i graniczne hulałyby po głowach społeczeństw Europy Środkowo-Wschodniej, gdyby nie zwyciężyła koncesja przyjaźni i współpracy, wypracowana w kręgu paryskiej *Kultury* pod egidą Jerzego Giedroycia.

Jego dalekowzroczność i zbawienny opór wobec małości i krótkowzroczności ówczesnych emigracyjnych oponentów sprawiły, że projekt – na miarę tamtych czasów i poglądów – zakrawający na niezniszczalną utopię, wyprowadził naszą ówczesną geopolitykę z ulicy bez wyjścia na współczesną drogę pojednania i współpracy. To ten potomek litewskiego, z czasem spolszczonego, arystokratycznego rodu, zdobył się na rewolucyjną koncepcję radykalnego zerwania z koślawą przeszłością – bez przelewu krwi, a drogą ewolucyjnej perswazji, nieustannego dłubania skały obojętności i niewiary.

Całe dzieje ludzkości nie znają podobnego fenomenu, aby grupa ludzi na emigracji, oddalona od kraju ojczystego o tysiące kilometrów i nierozporządzająca ani potęgą militarną, ani wielką fortuną, zdołała nie tylko opracować projekt uśmierzenia dawnych przeciwieństw i przygotowania okresu współpracy ponad granicami – bo takich projektów było wiele i wszystkie one pozostały na papierze – ale z koncepcją tą dotrzeć do nowych klas politycznych i zdobyć ich oparcie dla jego realizacji w nowym układzie sił w Europie.

Historyczne zasługi zmarłego wielkiego Polaka wykraczają daleko poza granice stosunków polsko-ukraińskich, ale właśnie w tej dziedzinie są powodem szczególnej dziękczynności. Jestem święcie przekonany, że przyszli badacze nieprosty dziejów naszego sąsiedztwa ocenią wkład i wysiłek Jerzego Giedroycia jako epokowe dzieło w wytyczeniu drogi do nowego cyklu w naszej wspólnej Przyszłości.



## Jerzy Giedroyc w historii Polski

Widziano w nim przyszłego premiera. Premierem nie został. Zawsze był i nadal jest Redaktorem. Ale w świadomość Polaków Jerzy Giedroyc wpisał się mocniej i trwalej niż wielu premierów, których nazwisk nikt już nie pamięta.

### 1.

Pisma Giedroycia, *Bunt Młodych* i *Polityka*, wyróżniały się na tle polskiej prasy przedwojennej klasą reportaży, poziomem publicystyki, drapieżnością, horyzontem problemowym. Ale *Kultura* jest fenomenem na skalę światową. Klub czasopism, które przekroczyły pięćdziesiątkę ma w Europie zapewne kilkudziesięciu członków. W Polsce jest ich co najmniej dwóch: *Twórczość* i *Znak*. Ktoś przyrównał dwadzieścia pięć lat w życiu pisma do stu w życiu człowieka. Jeśli tak jest w warunkach normalnych, to jaki mnożnik należy zastosować, by określić prawdziwy wiek miesięcznika, który, jak *Kultura*, był nieco ponad czterdzieści lat emigranckim politycznym? Który nie miał debitu we własnym kraju, dokąd nie dopuszczały go strażnice graniczne i służby celne, gdzie ścigali go towarzysze z bezpieczeństwa, gdzie zwalczał go aparat propagandy. Za którym nie stała żadna stabilna i zamożna instytucja. Który, by móc przetrwać, musiał zdobyć i, co znacznie trudniejsze, zatrzymać na dziesięciolecia kilka tysięcy czytelników rozproszonych po wszystkich kontynentach z wyjątkiem Antarktydy. Mierzona tą miarą *Kultura*

Uzasadnienie wniosku o nadanie tytułu doktora *honoris causa* Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie Redaktorowi Jerzemu Giedroycowi.

byłaby nestorką światowego czasopiśmiennictwa.

Nawet mierzona zwykłą miarą *Kultura* osiągnęła długo-wieczność rzadką, a wśród pism emigracyjnych – nie tylko polskich – wręcz wyjątkową. I tym dziwniejszą, że zawsze była w pełni niezależna, co znaczy że jej linię polityczną wytyczał wyłącznie Redaktor, często po dyskusji z Józefem Czap-skim lub Konstantym Jeleńskim, i z reguły w porozumieniu ze swym przyjacielem i głównym doradcą, Juliuszem Miero-szewskim, a po jego śmierci w 1976 roku – z Gustawem Herlingiem-Grudzińskim, aż do urwania się tej współpracy. Jak każdy, kto musi zajmować stanowisko w toku wydarzeń, Redaktor mógł się mylić w analizie układu sił, w przewidy-waniu kierunku zmian, w ocenie osób. Ale błędy te dotyczyły środków. Nigdy celu, którym niezmiennie pozostawało odzyskanie przez Polskę niepodległości i ustanowienie w niej ustroju demokratycznego.

Niezależność *Kultury* znaczyła też, że jej istnienie było zawieszona na corocznie odnawianych decyzjach czytelników, którzy zawsze mogli przecież zrezygnować z prenumeraty i niekiedy, acz rzadko, robili to na znak protestu. Redakcja pamiętała o tym nieustannie. Nie schlebiała jednak czytelnikom i nie ulegała ich gustom; bywało też, że uderzała w ich poglądy. Redaktor odrzucał wszystko, co schodziło poniżej poziomu artystycznego ustawionego na ogół bardzo wysoko. I nie unikał tematów politycznych trudnych, spornych, draż-liwych, bolesnych. Gdy uważał to za konieczne, „bił siekierą w szczękę”. Również swych autorów traktował bez pobłażania. *Kultura* nie była nigdy pismem wzajemnej adoracji. Nie ominęły jej dramatyczne konflikty wewnętrzne i bolesne rozstania. Zresztą nie otaczała kultem siebie samej, nie celebrowała swych jubileuszy, nie przypominała zasług. Nie odprawiała aktów strzelistych do swoich piór. Pozwalała polemizować z nimi, nawet ostro, byle rzeczowo. Dopuszczała poglądy różne, niekiedy sprzeczne. Pozostawiała poza nawia-sem tylko rzeczników PZPR, maniackalnych antykomunistów i endeków. Za sprawą Redaktora, dla którego miało to i nadal ma zasadnicze znaczenie, *Kultura* jest jedynym pismem pol-skim, które nigdy nie śpiewało *unisono*.

Nieugięcie przestrzegana niezależność i nieodłączna od niej polifoniczność pozwalały *Kulturze*, w ciągu jej pierwszych



czterdziestu lat, być znacznie więcej niż tylko pismem. Również łącznikiem między skupiskami polskimi, źródłem wiadomości o życiu w Polsce i na uchodźstwie, biblioteką i archiwum, oficyną wydawniczą, salonem literackim, ośrodkiem politycznym początkowo zwracającym się wyłącznie do emigracji, a po 1956 roku w coraz większym stopniu do Kraju. Nadto zaś, przed powstaniem prasy niezależnej i nowego pokolenia pism emigracyjnych, jedynym forum swobodnej dyskusji o stanie teraźniejszym i perspektywach Polski, a później, po roku 1976 – inspiratorką ruchu dysydenckiego i trybuną większości jego orientacji. Namiastką parlamentu. I zawsze – łącznikiem z Zachodem oraz pomostem między Polską a jej sąsiadami, których losy znajdowały w niej żywy oddźwięk.

Trudno wskazać na świecie inny miesięcznik, który, dysponując tak nikłymi środkami, odegrałby tak wielką rolę.

## 2.

Czym by była literatura polska bez wydawnictwa stworzonego przez Giedroycia z garstką przyjaciół? Ilu dzieł w ogóle by nie napisano? Ile zaginęłoby bez śladu? Ile by wydobyto z rękopisów dopiero teraz, a ile za następnych pięćdziesiąt lat? Nie ma odpowiedzi na te pytania. Wiadomo tylko, jak długa jest lista pisarzy, którzy publikowali wyłącznie lub niemal wyłącznie w Instytucie Literackim. Bobkowski, Czapski, Gombrowicz, Herling-Grudziński, Jeleński, Miłosz, Stempowski, Straszewicz – to tylko najbardziej znani z tego kręgu. Ci, o których można powiedzieć, że byli pisarzami *Kultury*, gdyż ogłaszali się na jej łamach i utrzymywali bliskie związki z Redaktorem nawet wtedy, gdy – jak Bobkowskiego czy Gombrowicza – dzielili ich od niego tysiące kilometrów. Są wśród nich tacy, których trudno sobie wyobrazić gdzie indziej. Gdzie ukazałby się „Trans-Atlantyk”, gdyby nie ukazał się był w *Kulturze*? Gdzie drukowałby Miłosz, gdy był wyklęty przez znaczny odłam emigracji? Znacznie później pisarze krajowi, gdy już przestali ulegać cenzurze, a jeszcze nie mogli korzystać z wydawnictw niezależnych, posyłali swe rzeczy do Maisons-Laffitte. Nikt nigdy nie ustali, bo nie sposób, ile wartościowych utworów literackich powstało, ponieważ można było liczyć na ogłoszenie ich przez Giedroycia.

Samo istnienie Instytutu Literackiego było więc zachętą do pisania. I to takiego, które, na emigracji, mogło ignorować obyczajowe tabu i patriotyczne świętości, co gorszyło i budziło sprzeciw części czytelników; wystarczy przypomnieć reakcję na „Przyjaciela Flora” Józefa Mackiewicza i na „Traktat poetycki” Miłosza. I które w Kraju pozwalało łamać obręcz cenzury, czego efektem były powieści Stalińskiego (Kisielewskiego), „Apelacja” Andrzejewskiego, „Nierzeczywistość” Brandysa, „Raport z oblężonego miasta” Herberta – a to tylko kilka przykładów wybranych z wielotomowej biblioteki krajowej poezji i prozy ogłoszonej przez Giedroycia.

Uzupełniała ją biblioteka rosyjska: Borys Pasternak, Daniel i Siniawski, których pierwsze wydania na Zachodzie ukazały się w Instytucie Literackim, Sołżenicyn i wielu innych. I biblioteka ukraińska – Łobodowski, Lewicki, Koszelewicz – na czele z ogromną antologią Ławryniuki, „Rozstriliane wrodzennia”, która przywróciła ukraińskiej pamięci czołowe osiągnięcia poezji i prozy lat dwudziestych, i przyczyniła się przeto do ponownego zmartwychwstania literatury na Ukrainie. Dodajmy przekłady z języków zachodnich: Aron, Burnham, Camus, Greene, Koestler, Silone, Simone Weil...

Rola Giedroycia nie ograniczała się jednak do wydawania rzeczy już napisanych. Niektórych pisarzy musiał naprzód odnaleźć, by móc nawiązać z nimi ponownie kontakt. Później starał się dla nich o pomoc, o nagrody, zasiłki czy stypendia, o możliwość przyjazdu do Europy. Wreszcie niektórych namawiał do uprawiania rodzaju literackiego najbardziej przydatnego, jego zdaniem, dla *Kultury*: dziennika. Tak więc literatura polska zawdzięcza inspiracji Giedroycia to arcydzieło, jakim są dzienniki Gombrowicza, nadto zaś „Notatnik niespiesznego przechodnia” Stempowskiego i „Dziennik pisany nocą” Herlinga. Zawdzięcza mu też przechowanie dzienników Kisielewskiego i Mycielskiego do czasu, gdy mogły wreszcie ukazać się w druku.

Giedroyc wniósł jeszcze jeden ważki wkład do literatury polskiej, tym razem – jako autor. Już dziś bowiem, choć znaczna część jego korespondencji czeka jeszcze na wydanie, jawi się on jako najwybitniejszy bodaj polski epistolograf XX wieku. Nie tylko z uwagi na ilość napisanych przez siebie listów. Również dlatego, że są wśród nich teksty świetne,



doskonale skomponowane, dowcipne, niekiedy złośliwe, uderzające swobodą tonu, brakiem jakiegokolwiek sztuczności i pozy. Giedroyc, choć zapewne, jak wielu z jego pokolenia, lubi pisać listy, pisał je z konieczności, bo były dla niego jedynym sposobem utrzymania więzi z autorami rozsianymi po świecie. Tak oto, w ramach wykonywania obowiązków służbowych, powstał ten jedyny w swoim rodzaju twór, jakim jest zbiór jego listów, zarazem źródło historyczne i dzieło literackie: obraz epoki przełamany przez pryzmat jego osobowości.

3.

*Zeszyty Historyczne* Giedroyc zaczął wydawać w 1962 roku. Ale zbieraniem gazet i czasopism, druków ulotnych, pamiętników, dokumentów osobistych i publicznych oraz wszelkiego rodzaju poloników, zespół *Kultury*, a w pierwszym rzędzie jej Redaktor, zajmował się od początku. To systematyczne kompletowanie zbiorów uczyniło z Instytutu Literackiego w ciągu jego ponad półwiekowego istnienia jedną z najważniejszych polskich placówek archiwalnych w zakresie historii najnowszej. Bez uwzględnienia złożonych tam materiałów niepodobna porządnie zbadać historii emigracji żołnierskiej, okresu międzywojennego, drugiej wojny światowej i PRL.

Gromadzenie źródeł, jak inne poczynania Giedroycia, wynikało z przekonania, że walka z panowaniem sowieckim nad Europą Środkową i Wschodnią oraz z ideologią komunistyczną, która uprawomocnia je w oczach znacznych odłamów tamtejszej inteligencji i lewicy zachodniej – że walka ta toczy się w istotnej mierze na obszarze kultury, że jest walką o rozumienie kultury, a tym samym, w swej zasadniczej treści, walką o pamięć. Tym ważniejszą, że przeszłość Polski była cenzurowana i zakłamywana bardziej chyba niż jakiegokolwiek innego kraju. Stosunki polsko-rosyjskie i polsko-ukraińskie od średniowiecza do pierwszej wojny światowej; okoliczności odzyskania przez Polskę niepodległości i wojna z 1920 roku; polityka wewnętrzna i zagraniczna II Rzeczypospolitej, zwłaszcza zaś – stosunki z Niemcami i ze Związkiem Sowieckim; druga wojna światowa – pakt Ribbentrop-Mołotow, agresja sowiecka z 17 września, ruch oporu w Kraju, Katyń, wywózki, polskie siły zbrojne na Zachodzie, Powstanie Warszawskie, zagłada Żydów; – ruch komunistyczny,

w tym zwłaszcza KPP i okupacyjna PPR; emigracja powojenna; Polska Ludowa od manifestu PKWN poczynając. Oto niepełna zapewne lista tematów, które za czasów PRL nie doczekały się w oficjalnej historiografii rzetelnego opracowania.

Wszystkie te tematy były od początku podejmowane w *Kulturze*. Później przejęły je w znacznej mierze *Zeszyty Historyczne*; dotyczy to zwłaszcza publikacji dokumentów. Równoległe ukazywały się poświęcone im książki: prace oryginalne, niekiedy pisane na zamówienie Giedroycia, oraz przekłady, które pozwalały zapełnić luki produkcji rodzimej. Szczególna rola w tym zakresie przypadła serii „Archiwum Rewolucji” ale wiele ważnych pozycji ukazało się poza nią. Wystarczy wymienić rzeczy tak skądinąd różne, jak Aleksandra Hertza „Żydzi w kulturze polskiej”, Swianiewicza „W cieniu Katynia”, „Moje wspomnienia” Witosa, „Historię Stanów Zjednoczonych” Pawła Zaremby, „Raporty (Polska 1945-1946)” Eugenio Reale, Daniela Beauvois „Polacy na Ukrainie 1831-1863”, Jerzego Holzera „Solidarność 1980-1981” i „Po wyzwoleniu” Wiktorii Kraśniewskiej (Barbary Skargi), by dać pojęcie o miejscu i zakresie tematyki historycznej w programie wydawniczym Giedroycia.

Publikowanie relacji, źródeł i opracowań, przypominanie osób i wydarzeń przemilczanych, prostowanie przeinaczeń, fałszerstw i zmyśleń – wszystko to podważało wiarygodność peerelowskiej propagandy, a zarazem budowało, cegiełka po cegiełce, rzetelny obraz przeszłości. Obraz ten, choć powodował niekiedy spory na emigracji i budził odruchy oburzenia u czytelników krajowych, wywierał jednak wpływ na polską historiografię akademicką i ożywił pamięć zbiorową. Jeśli inteligencja polska nie cierpiała na zbiorową amnezję, jeśli znała, a przynajmniej mogła znać własną historię, stało się tak za sprawą wielu czynników: tradycji rodzinnych przekazywanych z pokolenia na pokolenie, Kościoła katolickiego, rozgłośni polskojęzycznych na czele z RWE, tych historyków w Kraju, którzy chcieli i umieli wykorzystać każde rozluźnienie cenzury. Wśród tych czynników jednym z najważniejszych był Jerzy Giedroyc.

4.

Niepodległość, granice, sąsiedzi, demokracja, Europa: takie były najważniejsze kwestie polityczne dyskutowane na



łach *Kultury* podczas jej pierwszych trzydziestu lat. Podejmował je przede wszystkim czołowy publicysta i rzecznik pisma, Juliusz Mieroszewski. Jak świadczy jego korespondencja z Giedroyciem, ich współpraca była jednak tak ścisła, że artykuły pierwszego wyrażały zazwyczaj poglądy drugiego, co zrozumiałe, gdyż poglądy obu kształtowały się i uściślały w toku wymiany zdań, niekiedy ostrej, między nimi.

Śmierć Mieroszewskiego w czerwcu 1976 roku nastąpiła kilka lat po przyjeździe do *Kultury* nowego pokolenia współpracowników: od 1969 pisze w niej Michał Heller, od 1970 – Leopold Unger, od 1971 – Leszek Kołakowski; obok nich pojawia się sporadycznie wiele innych nazwisk emigracji pomarszowej. Śmierć Mieroszewskiego zbiegła się też w czasie z początkami nowej sytuacji politycznej w PRL, której widomymi przejawami były protesty przeciw zmianom w Konstytucji, manifestacja robotnicza w Radomiu i utworzenie KOR-u oraz upolitycznienie listów pasterskich Episkopatu. Odtąd *Kultura* drukuje coraz więcej dokumentów i artykułów przesyłanych z Kraju, a Giedroyc i cały krąg *Kultury* zajmują się coraz bardziej pomocą dla polskiej dysydencji, a po roku 1980 – dla Solidarności, naprzód jawnej, później w podziemiu: informowaniem mediów w krajach zachodnich, inspirowaniem protestów przeciw prześladowaniu działaczy ruchów niezależnych i organizowaniem innych przejawów poparcia, zbieraniem i przesyłaniem pieniędzy, załatwianiem stypendiów i opieki lekarskiej dla osób czasowo przebywających na Zachodzie...

W okresie Mieroszewskiego *Kultura* określiła warunki niepodległego istnienia Polski. Wykazała, że można je zapewnić tylko w ramach zjednoczonej Europy – wtedy myślaro wręcz o federacji europejskiej, – w której wpływy niemieckie są równoważone przez Francję. Stąd stanowisko konsekwentnie proeuropejskie temperowane jedynie przekonaniem o zależności Europy od Stanów Zjednoczonych jako jedyne go mocarstwa zdolnego powstrzymać ekspansję Związku Sowieckiego. *Kultura* zakładała przy tym nienaruszalność granic Polski wytyczonych w następstwie drugiej wojny światowej. Dotyczyło to granicy zachodniej na linii Odry i Nysy, co zmuszało do szukania dróg porozumienia z Niemcami; przyświecała temu nadzieja, że Niemcy prędzej czy później przystaną na tę granicę, gdyż bez tego nie będą w stanie wyrwać

Polski z orbity sowieckiej i zyskać w niej sojusznika. Dotyczyło to również granicy wschodniej. *Kultura* zajęła stanowisko, że Lwów powinien należeć do Ukrainy, a Wilno – do Litwy, i że tylko pogodzenie się z tym stanem rzeczy może uzdrowić stosunki Polski z tymi krajami i otworzyć perspektywę sojuszu z nimi, co by wzmocniło pozycję wszystkich wobec Rosji bez względu na jej orientację ideologiczną. Powiązanie sprawy niepodległości Polski z uznaniem granic powojennych, z określeniem po nowemu stosunków z sąsiadami ze Wschodu i z Zachodu, i z przynależnością do zjednoczonej Europy – to najbardziej trwałe wkład Mieroszewskiego i Giedroycia do polskiego myślenia geopolitycznego.

W okresie Mieroszewskiego *Kultura* określiła też swe stanowisko wobec przyszłego ustroju Polski, opowiadając się jednoznacznie za demokracją w stylu zachodnim. Również w tym zakresie Polska miała stać się częścią Europy. Było to odrzuceniem wszelkich odmian myślenia totalitarnego i autorytarnego: komunistycznej, co oczywiste, oraz tradycjonalistycznej i endeckiej, które miały jeszcze całkiem wpływowych wyznawców na emigracji. Demokracja w rozumieniu Giedroycia i Mieroszewskiego nie ma być ani „ludowa” ani „narodowa”. Ma zasadzać się na uznaniu konfliktu politycznego za zjawisko normalne, a wraz z tym – na uznaniu opozycji za niezbywalny składnik życia publicznego i na przyjęciu za regułę, że dzisiejsza opozycja może jutro stać się rządem. Znaczy to, że polityka nie jest przedłużeniem wojny domowej innymi środkami, że jest od niej radykalnie odmienna; co wymaga poniechania raz na zawsze wszelkich prób unicestwienia przeciwnika jeśli nie fizycznie, to prawnie.

W tym punkcie program Giedroycia i Mieroszewskiego czeka jeszcze urzeczywistnienia. Jakoż wśród aktorów polskiej sceny politycznej nadal występują tacy, którzy marzą o społeczeństwie bezkonfliktowym, zespolonym jedną wiarą i rządzonym przez jedną partię z jednym wodzem. I dla których uprawianie polityki jest zatem prowadzeniem wojny, co świadczy że mentalność totalitarna bynajmniej nie znikła bez śladu. Program ten czeka jeszcze urzeczywistnienia również w innych punktach. Postulował on bowiem administrację państwową poddaną, rzecz jasna, kontroli instytucji przedstawicielskich ale wyłączoną z gry politycznej, praworządną i zdolną przeto zapewnić porządek pub-



liczny i szacunek dla procedur demokratycznych na wszystkich szczeblach. Polska jest jeszcze od tego bardzo odległa.

5.

Od z górą dziesięciu lat Jerzy Giedroyc występuje w nowej roli. Nadal wydaje *Kulturę*, która pozostaje najbardziej chyba niezależnym pismem w języku polskim. Ale zarazem uczestniczy w życiu politycznym wypowiadając się na aktualne tematy w *Kulturze* i w innych mediach oraz podczas spotkań z politykami, którzy gęsto odwiedzają Maisons-Laffitte. Działa zatem na rzecz zbliżenia Polski z Ukrainą, Litwą i Białorusią, które – jego zdaniem – nie tylko nie koliduje z jej członkostwem w Unii Europejskiej ale jest jego naturalnym dopełnieniem. Zwalcza antysemityzm, wszelkie przejawy ksenofobii i – ogólnie – ideę narodu o przynależności do którego decydować by miały kryteria wyznaniowe, oraz ideę państwa, które by nie było całkowicie oddzielone od Kościoła. Robi to codzień, wkraczając w sprawy, które zdają się niekiedy mieć znaczenie czysto lokalne, ale w których dostrzega niepokojące oznaki żywotności odruchów endeckich i kontrreformacyjnego, wojującego katolicyzmu. W ten sposób tłumaczy ogólne zasady na język konkretów.

Włożył wiele wysiłku w sprawę pojednania narodowego. Pokazał własnym przykładem, że można być całe życie konsekwentnym antykomunistą i być równie konsekwentnym wrogiem totalitaryzmu we wszystkich jego postaciach i odmianach. Sytuuje się ponad partiami, nie kieruje się resentymentem, stara się oceniać jednostki i organizacje z perspektywy interesów Polski. Cała jego działalność w ciągu minionych dziesięciu lat ilustruje i potwierdza to rozumienie demokracji i polityki, które *Kultura* wpajała swym czytelnikom. Jest rzadkim przykładem osobistości publicznej, której stanowisko pozostaje w zgodzie z zasadami, jakie zawsze wyznawała.

Lata po drugiej wojnie światowej można zasadnie określić jako czas Jerzego Giedroycia nie tylko w historii polskiego czasopiśmiennictwa. Również w historii literatury polskiej, historiografii polskiej, polskiej myśli politycznej i polskiego życia publicznego. W historii Polski.

Krzysztof POMIAN

Antony, w sierpniu 2000 r.

## Niedoszły polski „Lawrence of Arabia”...

Za moich lat studenckich (1921-25) popularną osobą był w Krakowie prof. dr Jerzy hr. Mycielski. Wykładał on historię sztuki, jako profesor zwyczajny; jego następcą na tej katedrze był i jest mój przyjaciel, Karol Estreicher, syn wielkiego Stanisława Estreichera, Rektora i profesora U.J., publicysty *Czasu* i jednego z ostatnich „Stańczyków”. Mycielski miał kozią bródkę, miał słabość do młodych studentów, m.in. do mnie, których nawet na A-B krakowskiego Rynku obejmował i klepał przy powitaniu, mówił bardzo głośno, był starym kawalerem, i był człowiekiem sympatycznym, kulturalnym i życzliwym. Otóż na jego temat krążyła po Krakowie sławna anegdota-pytanie, które brzmiało: „Jaka chwila była najszcześniejsza w długim życiu Jerzego Mycielskiego?” Właściwa odpowiedź była następująca: „Chwila, gdy Mycielski rodził się z Tarnowskiej...”.

Największą katastrofą Jerzego Giedroycia była data jego urodzin. Gdyby Giedroyc się urodził tylko o 10 lat wcześniej, w 1896 zamiast w 1906, miałby on akurat 18 lat w chwili wybuchu Wojny 1914, byłby więc świeżo upieczonym maturzystą. Nie wątpię ani sekundy, że choć Giedroyc urodził się w Warszawie, i tam skończył studia, zarówno gimnazjum, jak i uniwersytet, to jednak znalazłby na pewno jakiś sposób przedostania się do Krakowa, i tam by na pewno zaciągnął się do Legionów, może by brał udział w wymarszu Pierwszej Kadrowki. Któż może wątpić, że byłby dzielnym

Z prywatnych papierów Jerzego Giedroycia.



żołnierzem, doskonałym oficerem, oddanym ciałem i duszą „Dziadkowi”, „Komendantowi”, słowem Józefowi Piłsudskiemu, a ten wnet by zauważył tego krajana, potomka wielkiej i prastarej rodziny litewskiej, że nie tylko by polubił, ale nabrałby prawdziwego sentymentu do tego tak niebywale rasowego, tak fenomenalnie przystojnego chłopaka, który jeszcze w latach trzydziestych nie mógł przejść przez ulicę ani sięść w kawiarni bez zwracania natychmiast uwagi wszystkich na siebie. Nici pochodzenia, klasowe, sytuacji socjalnej, a jeszcze bardziej wspólnych dusz romantycznych, wspólnych marzeń o wskrzeszeniu Polski Jagiellońskiej i Wielkiego Księstwa Litewskiego, wspólna pasja do konspiracji, do tajemnicy, wspólna bezinteresowność i pogarda dla materialnej strony życia, wspólna obcość wobec problemów XX wieku, wspólna odwaga, oddanie młodszego, życzliwość ojcowska starszego – wszystko to zrobiłoby z Giedroycia autentycznego i może nawet czołowego Piłsudczyka. Jak daleko by Giedroyc „zajechał”? Myślę, że w Legionach by się szybko dochrapał stopnia kapitana albo majora, że w 1917 roku znalazłby się w P.O.W., że bardzo prędko by trafił do politycznego otoczenia marszałka Piłsudskiego, że byłby już w bardzo młodym wieku, już w latach 1919-20, przeznaczony do ważnych misji na Wschodzie, na Litwie, na Białej Rusi, czy na Ukrainie. Któż może wiedzieć, jakie to byłyby misje: czy wywiadu w Rosji, na tyłach nieprzyjaciela, czy organizowania powstań narodów, szukających na Wschodzie niepodległości, czy szukania kontaktów z bratnią Litwą? W każdym razie widzę w tych pierwszych latach niepodległej Polski wielką rolę dla Giedroycia, zupełnie niewspółmierną do jego wieku (skoro zakładam, że urodziłby się w roku 1896, miałby w 1920 r. zaledwie 24 lata, a więc byłby gołowąsem), widzę go jako męża zaufania, jako polskiego „Lawrence of Arabia”, w trudnych i odpowiedzialnych misjach, z ramienia zarówno samego Marszałka, jak i Sławka; tylko do tych dwóch ludzi, jak on sam romantyków z krwi i kości, jak on sam bez reszty żyjących ideą „prometejską”, ideałem federacji ludów dookoła Polski wielonarodowej, powstającej, jak Feniks z popiołów, Giedroyc się naprawdę nadawał. Nie ma ofiary, nie ma bohaterstwa, przed którym Giedroyc by się cofnął, gdyby w roku 1920 danem mu było pracować i walczyć u boku Piłsudskiego

i Sławka. Byłby konspiratorem, jak oni, marzycielem, jak oni, romantykiem, jak oni. Ależby Giedroyc był szczęśliwy, bez reszty szczęśliwy, nawet ginący, nawet ranny, nawet torturowany, gdyby mógł wówczas odgrywać prawdziwą rolę przy boku Józefa Piłsudskiego! Ależby mu pozostał wierny i oddany, także po zamknięciu heroicznej karty lat rządów i bojów Pierwszego Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza!

Niestety, to wszystko, mogło być, ale nie było. W heroicznym okresie Legionów, P.O.W., prób budowania Ukrainy, Jerzy Giedroyc był dzieckiem, później chłopakiem, ale nie mógł włożyć munduru, nie mógł pochwycić karabinu, nie mógł być żołnierzem Józefa Piłsudskiego. Może dziecinnym głosem zawołał raz czy drugi „Niech żyje Dziadek” na widok zwykłego powozu, zaprzężonego w parę pięknych, siwych arabów, którym Marszałek, wówczas z ciemnym wąsem i w maciejówce, udawał się niekiedy z Belwederu na Wiejską, do Sejmu.

Ale na tym nie koniec. Pięknie i dobrze świadczy o Giedroyciu, o jego głębokim respekcie dla Piłsudskiego, że nigdy siebie piłsudczykiem nie nazywał, uważał, że to miano, a może ten tytuł, jest własnością wyłączną tylko dawnych żołnierzy Józefa Piłsudskiego. Tak naprawdę było. Księgę swoich „wiernych chłopców”, jak ich nazywał, Piłsudski zamknął definitywnie w dniu, w którym opuszczał Belweder w grudniowy poranek w 1922 r. To był koniec okresu heroicznego. Potem miał podwładnych, ministrów, dostojników, wielbicieli, zwolenników, ale już nie „chłopców”; lista była definitywnie zamknięta. Piłsudski przedwcześnie się postarzał, nowe pokolenie przestało go interesować, a zresztą do czego miało służyć? Myślę, że miał rację Kazimierz Okulicz, gdy mi dowodził, że już po Traktacie Ryskim Piłsudski wewnętrznie przestał wierzyć, iż ma jeszcze jakąś „misję” do spełnienia. Właściwie jego wielki plan, czy marzenie federacyjne, było odłożone do lamusa w roku 1926; jako faktyczny dyktator, Piłsudski poczynił tylko robotki konserwacyjne, jeżeli chodzi o jego politykę wschodnią, jedyką, którą się naprawdę interesował, robotki, które „na wszelki wypadek” uprawia każde MSZ, każdy Sztab Generalny, za sekretrem ciężkich kas ogniотrwałych.

Gdyby Giedroyc był takim „chłopcem” Piłsudskiego, to, być może, zrobiłby, po maju, karierę Hołówek; nie zrobiłby kariery Becka. Ale, jak mówiłem, fatalna data urodzenia za-



mykała mu wszystkie drogi do Piłsudskiego. „Wódz” organizacji studenckiej mógł interesować konspiratora na przełomie wieku, ale był obcy i obojęty steranemu i schorowanemu Marszałkowi, który, bodajże raz tylko, Giedroycia przyjął w Belwederze w roku 1929. Poza samym Piłsudskim tylko jeden Sławek mógł być znaleźć z Giedroyciem ten wspólny język, który kreuje prawdziwe oddanie, prawdziwą współpracę. Znowuż było na to za późno. Sławek był tylko echem Piłsudskiego, to nie był samodzielny umysł. I Sławek też przedwcześnie się postarzał, i po Przewrocie Majowym nie był nigdy w stanie nowego „narybku” sobie wychować.

To wszystko są domysły, przypuszczenia. Jak wyglądała rzeczywistość? Młody chłopak, arystokrata z tradycji rodzinnej, z atawizmów, z usposobienia, jest jednocześnie bardzo typowym przedstawicielem tej inteligencji polskiej, która wchodzi do życia, w kraju absolutnie niezdolnym do zatrudnienia i stworzenia przyszłości dla tej warstwy, liczniejszej niż kiedykolwiek przedtem, i co roku coraz liczniejszej, a ta warstwa nie jest w stanie Polsce dać tych *cadres*, których ten kraj, zacofany w stosunku do Zachodu, na wprost wschodni, pozbawiony kapitałów, pozbawiony biznesmenów, pozbawiony techniki, na gwałt potrzebuje. Ta inteligencja rwie się nie do techniki, ale do polityki, szuka zatrudnienia w urzędach albo w wojsku.

Giedroyc kończy prawo, ale nie w Krakowie, gdzie studia prawnicze były serio, lecz w Warszawie, gdzie niestety nie były wiele warte. Co gorsze, Giedroyc nigdy nie miał prawdziwego zamiłowania do studiów prawniczych, tym bardziej ekonomicznych. Romantyk, o woli i ambicji, silniejszych od zainteresowań czysto intelektualnych, byłby zapewne poczuł się szczęśliwszym, gdyby studiował polonistykę albo historię, a zwłaszcza gdyby skończył szkołę oficerską, później Wyższą Szkołę Wojenną. Jako młodego wojskowego widzę go w roli ś.p. St. Zaćwilichowskiego; był od niego człowiekiem nierównie większej kultury, nierównie bardziej czytany, bardziej subtelnym, bardziej „ideowym”, mniej zajęty rozgrywkami i intrygami, które niektóre służby rozwijają zapewne nad-

miernie. Dałoby mu to też lepszy punkt wyjścia dla „kariery”, dla dostania się na naprawdę odpowiedzialne stanowisko. Giedroyc nigdy nie miał w sobie dość siły, by zająć naczelne stanowisko, nigdy by nie potrafił stać się nie tylko Piłsudskim czy Sikorskim, ale nawet Beckiem. Ten człowiek tak często uważany za suflera, w gruncie rzeczy nie mógł wydobyć z siebie maksimum bez szefa, bez kochanego, uwielbianego szefa. Tego w Polsce, rządzonej w gruncie rzeczy przez armię, znalazłby łatwiej i prędzej, gdyby sam poszedł po linii kariery wojskowej. Ale i to nie jest pewne. Trzeba by było zdumiewającego zbiegu okoliczności, by szybko starzejący się Marszałek Piłsudski mógł koło roku 1930 zauważyć młodego oficerka, tym bardziej się na nim poznać, tym bardziej go polubić. A jego następcy? Nie sądzę, by Rydz się na Giedroyciu poznał; był zbyt apatyczny, by zrobić wysiłek, którego wymaga bliska i szczerza współpraca przez ćwierć wieku różnicy w latach. Sikorski na pewno nie był romantykiem, i nigdy by Giedroycia nie polubił. A Giedroyc miał zbyt wiele indywidualności, zbyt wiele ambicji, by się kontentować zwykłą karierą urzędniczą albo oficerską, i by się naprawdę przywiązywać do szefa, który by nie był politykiem z prawdziwą klasą. A jednak właśnie mu na to zeszło.

Za młody, za późno urodzony, niedokształcony, bez zmysłu do spraw gospodarczych, nie dlatego, by do nich nie dorastał, ale po prostu dlatego, że zagadnienia ekonomiczne i socjalne go nigdy naprawdę nie interesowały, Giedroyc znalazł się w szeregu tych młodych, ambitnych urzędników do zleceń, którzy w świecie administracji państwowej próbowali po roku 1930 a przed wrześniem, wybić się, wyrósć, nabrać prawdziwego politycznego ciężaru gatunkowego.

We wszystkich krajach świata, we wszystkich reżymach, istnieją takie kariery, istnieją tacy młodzi i ambitni urzędnicy, których można określić, jako polityków biur ministerialnych. I tu znowuż Giedroyc miał pecha. Wszystkie starsze, bardziej wpływowe stanowiska *dans les allées du pouvoir*, „w korytarzach władzy”, jak mawiają Franzuci, były w Polsce obsadzone przez wojskowych, i wyrąbać sobie miejsce pod słońcem w tym nadmiarze ludzi, uczciwych, patriotycznych, ale bez cienia przygotowania do zadań administracyjnych, cóż dopiero do polityki, nie było łatwe. Dla Giedroycia widział-



bym miejsce tylko albo w MSZ-cie, naprzód u wzorowego urzędnika, jakim był np. Lipski, potem u boku Hołówki; albo też w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, w wydziale spraw narodowościowych, do których wniósłby i zapał, i dobrą wolę, i świeżość spojrzenia, i mógłby sobie zdobyć zaufanie partnerów. W obu tych dykasteriach, w tych obu domenach, Giedroyc by się może wyżył. Ale przy Rogerze Raczyńskim, w Ministerstwie Rolnictwa, Giedroyc nie był na tyle ekspertem, by móc wywrzeć wpływ fachowca; i to samo, i jeszcze bardziej, trzeba by powiedzieć o [Antonim] Romanie i Ministerstwie Przemysłu i Handlu. Giedroyc mógł obu swoim szefom dać doskonałe rady taktyczne, ale daleko to sięgać nie mogło: raz, bo i Roger, pomimo ogromnego osobistego uroku i dużej inteligencji, nie był człowiekiem, nadającym się na ministra rolnictwa, a tym bardziej Roman nie nadawał się na „wielkiego” ministra przemysłu i handlu: był to człowiek miły, dość przeciętny, ale bez pazura, bez większej dynamiki. A poza tym Polska, tak uboga, tak słaba, o tak archaicznej strukturze, o tak fatalnym układzie socjalnym i narodowym, o tak złych stosunkach ze wszystkimi sąsiadami, ta Polska nie miała nigdy najmniejszych szans wyrwania się z toni światowego kryzysu o własnych siłach. I Roger Raczyński, i Roman potrzebowali u swego boku Bóg wie jakich fachowców, o kolosalnym doświadczeniu w prowadzeniu gospodarstw rolnych albo koncernów przemysłowych; Romanowi byłbym radził zawsze wziąć na swego mentora Tennenbauma, pomimo jego przerażającego protekcjonizmu, a na mentora dla Rogera Raczyńskiego doprawdy nie widzę nikogo, bo w Polsce trzeba było, wobec przeludnienia wsi, wszystko pakować w uprzemysłowienie, nic nie dając rolnictwu, gdzie szanse zatrudnienia i zarobku były zawsze dużo mniejsze. A poza tym, nie trzeba się łudzić: w każdym kraju, w każdym państwie, w każdym ustroju, decydującą rolę w polityce gospodarczej odgrywa nie Ministerstwo Przemysłu i Handlu, i nie Ministerstwo Rolnictwa, ale tylko i wyłącznie Ministerstwo Skarbu; albo minister skarbu jest dyktatorem gospodarczym, i siłą rzeczy drugą osobą w państwie, albo jest bałagan. We Francji, gdzie podział na administrację polityczną i zwykłe „urządzenie” jest przeprowadzony konsekwentnie i doskonale, „gabinetu ministrów”, czyli zespół urzędników do zleceń,

podlegający zupełnie innej pragmatyce służbowej, niż reszta urzędników, są nafaszerowane urzędnikami Ministerstwa Skarbu, z tytułem *inspecteurs des finances*; i to ci ludzie, którzy mają za sobą szalenie trudne konkursowe egzaminy, oraz kolosalne doświadczenie, stanowią sztab i grono wpływowych doradców każdego resortu i każdego kierownika resortów gospodarczych. Później z tych to *inspecteurs des finances*, którzy współpracowali z tuzinami najrozmaitszych ministrów w najrozmaitszych ministerstwach, rekrutują się bądź kandydaci na deputowanych, i to nie tylko partii u władzy, ale i najbardziej opozycyjnych (jak np. Michel Rocard, b. *inspecteur des finances* u samego pana Giscarda d'Estaing, a potem sekretarz gen. PSU, *ditto* młody Chevènement, który jest wodzem „młodych Turków” w partii Mitterranda) i ci później stanowią śmietankę kandydatów na ministrów, są to tak zwani *ministrables*, bądź też idą do przemysłu upaństwowionego lub prywatnego na najwyższe stanowiska (tak zwany *le pantouflage*). Otóż niewątpliwie w Polsce podobna reforma gabinetów ministerialnych była konieczna, ale sposób rekrutacji tego „narybku” był błędny; oficerowie zawodowi się do tej roli nie nadają, trzeba tu mieć wybornych prawników, doświadczonych administratorów, pierwszorzędnych skarbców, a nie zbyt młodych, zbyt obiecujących młodych ludzi; we Francji był jeden taki przykład młodego gołowaśa, który przy boku p. Albina Chalandon wyrósł dalej i szybciej, niż się należało, i to się źle skończyło, i dla ministra, i dla p. Aranda. A mamy i inny przykład, jeszcze bardziej wymowny, mianowicie w Ameryce: całego *Watergate* nigdy by nie było, gdyby pp. Haldemann, Ehrlichmann, Dean i inni rekrutowali się z prymusów egzaminów prawno-skarbowych, którzy przeszli porządną i twardą szkołę po wszystkich dykasteriach i na wszystkich szczeblach kariery.

Pech Giedroycia nie kończył się na tym. W sposób niezmiernie typowy dla Polski, Giedroyc już od najmłodszych lat łączył działalność urzędniczą z aktywnością dziennikarską i redakcyjną, mianowicie założył pismo młodzieżowe *Bunt Młodych*, później przezwane *Polityką*, i dzielił swój czas pomiędzy swym biurem męża zaufania u boku najprzód Rogera Raczyńskiego, a potem Romana, a swą redakcją na ulicy Długiej, gdzie redagował z talentem i niezmiernym wysiłkiem



pismo względnie opozycyjne, ale wewnątrz systemu pomajowego.

Nie tylko konkretne zadania i obowiązki, ale i mentalność urzędnika do zleceń, choćby na najwyższym szczeblu, choćby cieszącego się największym zaufaniem przełożonych, i redaktora czasopisma są, i muszą być, radykalnie różne. W każdej administracji obowiązuje, bo obowiązywać musi, hierarchia służbowa i dyscyplina; urzędnik, choćby najwyższy, nie jest samodzielnym źródłem decyzji, tym bardziej polityki, jest wykonawcą. Redaktor musi być przede wszystkim niezależny, a więc niezależny także od rządu, od władz, od biurokracji, musi być zawsze, jeżeli nie opozycyjny, to co najmniej krytyczny, inaczej traci czytelników. Redaktor pisma, które jest samowystarczalne, to znaczy nie zależy ani od ogłoszeń, ani od subwencji, musi trzymać ucho przy ziemi, być bardzo wrażliwym na nastroje swoich czytelników, nie może iść za daleko w markowaniu swych osobistych poglądów, zwłaszcza gdy te kolidują zbyt silnie z ich interesami, a więc i poglądami.

Szansę kariery politycznej redaktora, wydawcy, publicyści, dziennikarza, a także radioty, są bardzo nikłe, dużo mniejsze od szans zawodowego polityka, czy wysokiego urzędnika: ci mogą zawsze znaleźć bezpieczną przystań w milczeniu, które dla nikogo nie jest do tego stopnia złotem, jak właśnie dla kandydatów do władzy; wydawca, redaktor, dziennikarz musi się  *nolens volens*  WYCHYLAĆ, a każde zajęcie stanowiska jest pełne zasadzek; któż może być pewny, że stawia na dobrego konia, że przewidział wszystkie możliwości, że nieprzewidziane wypadki nie postawią go w zupełnie innej sytuacji? We wszystkich podobnych wypadkach przezorna milkliwość jest wskazana; i jakżeż jest łatwa dla polityka, który zamyka się w swoim mieszkaniu, dla urzędnika, który zagłębia się w rutynowe papierki na swoim biurku, albo bierze urlop zdrowotny? Ale brać dziennikarską, z wydawcami i redaktorami włącznie, raz po raz się naraża, i na niej jakże często się wszystko skrupia. Wydawcy, redaktorzy, publicyści, dziennikarze mają z reguły dużo więcej wrogów, niż urzędnicy; i niestety jest bezlik dziennikarzy, którzy podstawiają sobie nogę, uprawiając kretyńskie polemiki, zarzucając kolegom zawodowym, od których ich dzielą nic nieznaczące drobniaki, że ci „nie uprawiają POWAŻNEJ

publicystyki”: jakby kryterium publicystyki „poważnej”, albo „niepoważnej” było łatwe do ustalenia. Jedno takie kryterium jest wyraźne i niewątpliwe: czy pismo, czy publicystyka jest nudna, czy też interesująca, czy pismo jest redagowane, względnie artykuły są pisane z talentem, lub bez.

Znam Giedroycia, urzędnika do zleceń, bardzo mało; nigdy nie byłem u niego w ministerstwie, nigdy nie uczestniczyłem w jego konferencjach z szefami. Natomiast Giedroycia-redaktora znam od 40 lat doskonale, i mogę być pod tym względem świadkiem koronnym. Był on naprzód redaktorem pisma młodzieżowego, omal akademickiego, *Bunt Młodych*, później przemianowanego na *Politykę*. Nie pamiętam dokładnie daty tego przemianowania, ale z grubsza data ta zbiegała się ze śmiercią Marszałka Piłsudskiego, która wyzwoliła w pewnym sensie prasę w ogóle, a specjalnie prasę pr rządową, specjalnie Piłsudczyków; podczas gdy za życia Marszałka opozycja prasy „sanacyjnej” wobec „rządów Pana Marszałka” była nie do pomyslenia, nawet gdy faktycznie rządu w imieniu Marszałka były sprawowane przez kogo innego, to po jego śmierci prasa ta stała się dużo bardziej samodzielna, czego najlepszy przykład dała półoficjalna *Gazeta Polska*, póki była redagowana i kierowana przez płk. Matuszewskiego.

Giedroyc był założycielem, wydawcą, redaktorem, twórcą, inspiratorem i *Buntu Młodych*, i *Polityki*, i później, po wojnie, paryskiej *Kultury*. W warunkach polskich, beznadziejnej nędzy, ogromnie ograniczonego czytelnictwa, stworzenie, kontynuowanie wydawania pisma, było zadaniem piekielnie trudnym, i fakt, że naprzód młody chłopak, potem człowiek bez środków, bez poważnego oparcia finansowego, potrafił przez całe życie, z wyjątkiem przerwy wojennej, wydawać własne pismo, utrzymać swą niezależność, głosić plus minus całe życie mniej więcej te same poglądy, „prometejskie”, piłsudczykowskie, ściśle inteligenckie, romantyczne, mocarstwowe, z dziwnym, ależ jakże polskim miszmaszem kultu wielkich ludzi i silnej władzy, oraz sentymentalnej „lewicowości” – to jest wyczyn nadzwyczajny, i którego nigdy nie oczekiwałem. Uważałem przez całe życie Matuszewskiego i St. Mackiewicza za ludzi dużo bardziej utalentowanych od Giedroycia, jako publicystów i redaktorów; obaj nie potrafili



stworzyć sobie trwałego pisma, Giedroyc potrafił! Dotąd nie rozumiem, jak to mógł zrobić.

Wracając do czasów przedwojennych – o *Kulturze* pomówię później, – było wówczas wiele periodyków, które próbowały dawać wyraz opinii mniejszych grup czy zespołów, czasami klik i kanap; prawie wszystkie wiodły żywot suchotniczy i nie zostawiły po sobie żadnego śladu. Był np. taki *Pion*, wydawany przez Tadeusza Świącickiego, człowieka bardzo miłego i uroczego: ale któż dzisiaj to pismo pamięta? Był *Przegląd Współczesny* Stanisława Wędkiewicza, finansowany przez Stanisława Badeniego; ocean nudy i banału. Poza prasą codzienną, która należy do innej kategorii, istniały tylko trzy tygodniki, które się w Warszawie przedwojennej naprawdę liczyły: *Wiadomości Literackie*, *Prosto z Mostu* i *Bunt Młodych*. Dwa pierwsze wydawnictwa miały oparcie w poważnych, na nasze stosunki, kapitałach, miały licznych czytelników, miały echo w dużych odłamach opinii inteligentkiej; organy Giedroycia były mrówką w porównaniu z tymi wielkoludami, a jednak coś znaczyły, czymś były, i jakiś ciężar gatunkowy miały. *Prosto z Mostu* nie czytywałem regularnie, St. Piaseckiego spotkałem tylko raz czy dwa, i całkiem przełotnie, ale znałem większość współpracowników *Wiadomości*, i zwłaszcza ich wydawcę i redaktora, M. Grydzewskiego. Grydzewski miał w stosunku do Giedroycia szereg atutów: był zawodowym historykiem i polonistą, znał bez porównania lepiej literaturę polską, i był sam dużej miary eseistą; po 1950 roku, kiedy grono wartościowych współpracowników *Wiadomości* zaczęło z natury rzeczy wymierać i maleć, *Wiadomości* londyńskie stały głównie kolumną samego Grydzewskiego, która aż do jego choroby, stała się najlepszą i najcenniejszą rubryką tego pisma. A Giedroyc nie był, nie jest pisarzem, musi zawsze się wypowiadać przez kogoś; to nie jest to samo. Obaj byli liberałami, obaj szanowali wolność autorów, a to dla redaktorów jest jedynym sposobem zaskarżenia sobie uznania i szacunku u swoich współpracowników. Ale na tym analogie się kończyły. Grydzewski był w gruncie rzeczy konwencjonalny, w gruncie rzeczy szedł za prądem; mimo pozorów, był on znacznie bliższy *Kurjera Warszawskiego*, niż czy to *Gazety Polskiej*, czy *Naszego Przeglądu*. Grydzewski, pomijając może Skamandrytów, dla których zachował do końca

życia sentyment, w gruncie rzeczy szukał uznanych i nie-spornych „nazwisk”; Giedroyc, przeciwnie, miał całe życie pasję do odkrywania „nowych” talentów, i tylko z żalem, z bólem, rozstawał się z własnymi „wynalazkami”, i dopiero z chwilą, kiedy kontynuowanie takiego czy innego nudziarza albo grafomana okazywało się absolutnie niemożliwe. Biorąc terminy wyścigowe, można powiedzieć, że Grydzewski stawiał zawsze na faworytów, a Giedroyc – na outsiderów. Oczywiście, ten który stawia z reguły na faworytów, wygrywa częściej, ale za to mniejsze ma wygrane, niż ten, który ryzykuje dużą stawkę na outsidera; a *per saldo*, która polityka się opłaca? Osobiście, nie byłem i nie jestem ryzykantem, więc, gdybym grał na wyścigach, stawiałbym na faworytów, nie na outsiderów. Grydzewski był uszczęśliwiony, ilekroć uznana wielkość literacka pojawiała się na jego łamach; cieszył się z każdego Boya, triumfował z każdego Nowaczyńskiego czy Kota, a już szalał, gdy blisko stuletni Aleksander Świętochowski nareszcie raczył napisać artykuł dla *Wiadomości*. Każdy, kto stawia na outsiderów, musi się liczyć z szeregiem wpadek. W *Buncie Młodych-Polityce* tych wpadek było dużo, może najwięcej wśród piramidalnie nudnych „ekonomistów” i tym podobnych, ale Giedroyc wygrał dwa extra-numery, mianowicie Adolfa Bocheńskiego i Ksawerego Pruszyńskiego. Bocheński miał żywy i oryginalny talent historyczno-polityczny, doktrynera czy teoretyka polityki zagranicznej; A. Bocheński był dużo bliższy prawdy niż Beck, czy tym bardziej opozycja Frontu Morges, jedyna, która się liczyła, a której teorii, szlachetne i piękne w zasadzie, miały ten minus, że kompletnie zapoznawały potworną słabość Polski, ambicje Rosji, egoizm i zmęczenie Francji. Ksawery Pruszyński był doskonałym stylistą, miał wielki talent narracyjny, wielką łatwość pisania, może aż za wielką, zwłaszcza w czasie wojny, ale jego багаż intelektualny był niewielki. To były dwa asy atutowe Giedroycia przed wojną; inne mu się nie udały, ale był on zawsze pewnym fermentem, pobudzał, dopingował, czego o redakcjach dziesiątków wydawnictw, z którymi też współpracowałem – aby żyć – jak np. *Przeglądu Współczesnego*, *Przeglądu Gospodarczego* Lauterbacha, *Tygodnika Ilustrowanego* etc., powiedzieć nie mogę.

Zasoby Giedroycia były zawsze b. skromne, ale był on,



na swoje warunki, hojny i zawsze pełen dobrej woli; ja sam dzięki jego pomocy przeżyłem niejedną ciężką chwilę, a takich jak ja, były nie dziesiątki, a setki. Ta hojność i szczodropliwość były możliwe tylko dlatego, że Giedroyc ścisłał swe wydatki wydawnicze i redakcyjne do nieprawdopodobnego minimum; w przeciwieństwie do pism i radiostacji oficjalnych, sam dawał przykład abnegacji, niespożytej pracowitości i nieliczności stałego personelu, wszystko pakował zawsze w tak zwanych dzisiaj *free-lance* ów, i ta polityka, po stokroć słuszna, mu się opłaciła; to ona mu zrobiła grono oddanych przyjaciół, a bez takiego grona utrzymać pisma nie można.

Dopiero po wojnie, jako wydawca i redaktor *Kultury*, Giedroyc dał pełnię swych talentów w tej dziedzinie: *Bunt Młodych* był zajmującym pismem młodzieżowym, ale ze wszystkimi przesadami i wadami tego typu wydawnictw; dobre piśmarstwo, dobra publicystyka, przychodzą dopiero z wiekiem, dopiero po czterdziestce. Żaden talent nie zastąpi doświadczenia, wyrobienia; jedynym wyjątkiem, a i to nie zawsze, może być poezja, czyli najbardziej romantyczna, najmniej przemyślana część literatury

Tak się składa, że nasza epoka, która ma zapewnić po raz pierwszy godziwą stopę życiową wszystkim warstwom i wszystkim narodom, a więc epoka egalitaryzmu, a nie wolności, odwraca się od romantyzmu, i to zarówno w polityce, jak i w poezji, w malarstwie itd. Tym niemniej Giedroyc zaczął wydawać swoją paryską *Kulturę*, jako wyraźny organ romantyków, nostalgików, epigonów Piłsudczyzny i „misji Polski na Wschodzie”. Osobiście nigdy nie wierzyłem, by dało się wskrzesić Rzeczpospolitą Obojga Narodów, do której byłem sentymentalnie przywiązany, tym mniej stworzyć to, co nie doszło do skutku w XVII wieku, a więc w nierównie lepszych warunkach, mianowicie Rzeczypospolitej Trzech Narodów, Polaków, Litwinów i Ukraińców; poza tym heroldzi tej koncepcji na łamach *Kultury*, Wraga i Bączkowski, nie imponowali mi ani talentem, ani poziomem swej wiedzy i swej znajomości gry, zwanej dyplomacją Wielkich Mocarstw. Upatrywałem poza tym najgłębszą antynomię w programie, który zdawał się zdążać do zażyłej przyjaźni „polsko-radzieckiej”, na tle wrogości, a co najmniej podejrzliwości

wobec Niemiec, fanatycznej „obrony” granic zachodnich i prób popierania nacjonalizmu ukraińskiego. Wydawało mi się, i dzisiaj wydaje mi się bardziej niż kiedykolwiek, iż naród polski, żyjąc po raz pierwszy od 700 lat bez żadnych większych mniejszości w swoim łonie, doszedł do wniosku, że tak jest lepiej, i że naród ten wcale nie dąży do sytuacji, w której by znowu musiał się głowić nad zagadnieniami współżycia różnych narodów. Można powiedzieć, że takie nastawienie jest zubożeniem duchowym: to prawda. Można powiedzieć, że prędzej lub później naród polski przekona się, iż nie może dalej istnieć samotnie wobec dwóch olbrzymów, rosyjskiego i niemieckiego. To nie tylko prawda, ale to już nastąpiło.

Ale równocześnie nastąpił i inny proces, jeszcze ważniejszy; naród polski sobie powiedział, czego nie chciał sobie powiedzieć w latach Niepodległości, że jest narodem środkowo-europejskim, który chce za wszelką cenę odwrócić się od Wschodu i jego problemów, a współżyć z Czechami, z Austrią, z Niemcami, także z Węgrami i Rumunią, tym bardziej z całą Zachodnią Europą, jeżeli ta nas tylko przyjmie na swoje łono i uzna nas za swoje dzieci, a odwrócić się od Wschodu, który nam przyniósł same zawody, same katastrofy.

Lubimy powtarzać, że wysiedleńcy niemieccy z ziem nadodrzańskich zaaklimatyzowali się w Niemczech Zachodnich, i nie chcą wracać do swych dawnych ziem ojczyстых. To prawda. Ale tak samo jest prawdą, że młode pokolenie, urodzone w Szczecinie czy Wrocławiu, z rodziców ze Lwowa, czy nawet z Wilna, nie tęskni do stron ojczyстых, których nigdy nie znało. Odnosi się to także do tych, co pamiętają nasze Kresy Wschodnie, ale jakoś się urządzili w Warszawie, czy w Krakowie. A już nigdy nie spotkałem Polaka, z Kresów czy skądinąd, specjalnie pochodzenia chłopskiego czy robotniczego, który by mi powiedział, że tęskni do współżycia z Ukraińcami, Białorusinami, Żydami etc. Nie, dzisiejsza Polska nie chce być szeregiem Ulsterów, ani też nową edycją Austro-Węgier; chce być państwem narodowościowo jednolitym, językowo jednolitym, ale ściśle powiązaniem z Europą Środkową i Zachodnią; tylko w ideale europejskim, w przycupnięciu, jako lojalna stacja kresowa Europy, widzi Polska dzisiejsza nadzieję swobód narodowych i wyższego poziomu



zycia, oraz pojęć cywilizacyjnych, które nam zawsze odpowiadały. Toteż nigdy nie robiłem dramatów z powodu tendencji *Kultury*; gdyby nastroje w Polsce, specjalnie w młodym pokoleniu, były inne, to bym może się bardziej tymi teoriami zaniepokoił, a zwłaszcza, gdyby Rosjanie okazywali najmniejszą chęć pójścia po drodze tez liberalnych i wolnościowych, Giedroyciowi drogich; ale nigdy poważnych wskazówek takich tendencji w Moskwie nie było, wręcz przeciwnie. Witanie w Gomułce nowej ery, rozpisywanie się o „polskiej drodze do socjalizmu”, upatrywanie lepszego jutra w rozszerzanie titoizmu na plus minus całe imperium satelickie wydawało mi się naiwne; ale to nie znaczy, by takie złudzenia były szkodliwe. Były szkodliwe w biednej Czechosłowacji, gdzie nieszczęsny Dubczek, choć wychowany w Rosji, zapoznał całkowicie mentalność Rosji, którą rozumiał dużo gorzej, niż niejaki Hitler; ale nie był on jedynym – pani Meir także całkowicie się na mentalności komunistów rosyjskich zawiodła, a natomiast szejki arabskie, choć, w przeciwieństwie do pani Meir, nie znały Rosji zupełnie, nie mówiły po rosyjsku, miały dużo trzeźwiejsze poglądy na Rosję i na politykę jej rządu. Co do Gomułki, Giedroyc żył w świecie pełnej ułud; ale na szczęście są to *tempi passati*; dzisiaj jego stosunek do Rosji i do Polski Gierka jest dużo trzeźwiejszy, chociaż wciąż mi się wydaje, że jego pasja do analizowania „komunizmu” czy „socjalizmu” jest walką z wiatrakami.

Obok reminiscencji, dzisiaj dużo słabszych niż 20 lat temu, dawnych marzeń romantycznych z epoki Józefa Piłsudskiego, widzę w *Kulturze* Giedroycia duży wpływ lewicującej, a raczej pseudolewicowej publicystyki i pseudoliteratury francuskiej, jej pasji do poruszania zagadnień rzekomo ekonomicznych, rzekomo socjologicznych, rzekomo filozoficznych, do tarzania się w neoscholastyce, zwanej marksizmem. Było rzeczą nieuniknioną, iż przy obecnym rozpowszechnieniu tych manii w kołach „postępowych” w Paryżu, snobistyczna część polskiej inteligencji, specjalnie tej, którą cechuje totalna ignorancja problemów ekonomicznych, również rzuciła się na marksizm, by ugrymować się na ostatnią modę. To samo było w ubiegłym stuleciu z heglizmem. Słowacki, i nierównie inteligentniejszy, i bardziej od „Juleczka” wykształcony Krasiński, pisali długie i przenudne tasiecmce na temat

Hegla, i dzisiaj cała ta pisanina jest nie do czytania, i wszyscy zgodnie uważają, że Krasiński, Słowacki, Hoene-Wroński *etc.* marnowali czas i papier, o filozofii nie mieli pojęcia, o Heglu nie mieli pojęcia, cały ich udział w interpretacji heglizmu, w przeciwieństwie do *gloss* Marksa na tenże temat, był równy zeru. To samo jest dzisiaj z marksizmem.

Polacy nie są narodem filozofów, ani teoretyków, nigdy nie wydali ani jednego teologa, ani jednego filozofa godnego tej nazwy, i, jako naród, nigdy się nie interesowali i nie interesują się nawet metafizyką, cóż dopiero autorami, którzy, jak Hegel i Marks, metafizykę negują. Ale znowuż, *il n'y a pas de quoi fouetter un chat*. Gomułka gadał bez końca o marksizmie, o socjalizmie, i znudził i zanudził cały kraj, stał się zniechęcony. Gierkowi wszyscy mają za dobre, że przestał uprawiać styl „Gomułko-godzin”; przynajmniej tyle dobrego. Nieszczęsna inteligencja, o studiach prawniczych czy humanistycznych, zbyt liczna, zatrwożona o swe posady i przywileje, zagrożona przez świat robotniczy, który nie chce tych darmożjadów utrzymywać, szuka nerwowo jakiejś doktryny, która by mogła uzasadnić płacenie z takiej czy innej kasy państwowej część (jak największą) pieniędzy podatkowych tym nieszczęsnym pasożytom. Doświadczenie uczy, że to udaje się tylko sługom kultu, wyznania, religii, ale nie filozofii, nie teorii; może z nich żyć paru t.zw. geniuszów, ale nie hordy nudziarzy. Ludzie prości gotowi dzielić się zarobkami z tymi, co ich bawią, z aktorami telewizji, kina, z rykajłami, z pornografami, ale tylko totalizm może zmusić jakiś kraj do utrzymywania tabunów przenudnych ideologów.

Nic nie zostanie po Sartrze i Camusie, po Marcuse'ach, czy Clavel'ach, *e tutti quanti*. Ale znowuż nie widzę powodów do rozdzierania szat z powodu dawania tym „fałszywym prorokom” możności wygadania się.

Nigdy nie ceniłem „głębi” ś.p. hrabiego (tytuł ten nadał mu *Le Monde*) Gombrowicza, ale nigdy mnie nie irytował, bo go po prostu nie czytałem. Zawsze mnie dziwiło, gdy moja kuzynka, ś.p. Rena Jeleńska, kobieta pełna uroku i subtelnej kultury, szalała na temat kultu, który jej syn, K.A. Jeleński, miał dla Gombrowicza: *Comment peut-il, comment peut-il?* – powtarzała bez końca w tej polsko-francuskiej rozmowie, tak typowej dla pewnych klas socjalnych ub. wieku,



a których była jedną z ostatnich, i najbardziej czarujących, przedstawielek. Zawsze próbowałem przeciąć ten potok wymowy i oburzenia, łagodnie sugerując: *Mais ma Chère Rena, pourquoi T'excites-Tu comme celá? Quelle importance l'admiration de Ton fils pour Gombrowicz peut-elle avoir? Fais comme moi: s'il T'irrite, ne le lis plus, ni rien sur lui!* Ileż było takich „popularności”: Hoene-Wroński, o którym pisałem kiedyś całą rozprawę dla Władysława Leopolda Jaworskiego, Irzykowski, który wydawał mi się pretensjonalnym beztalenciem, Stanisław Brzozowski, u którego nie znalazłem ani jednej ciekawej i oryginalnej myśli itd. Wielkich pisarzy jest niezmiernie mało, po kilku zaledwie w każdym narodzie na stulecie. *Et encore!* Na dobrą sprawę uważam, że z całej prozy naszego Dwudziestolecia, zostaną tylko dla potomności Boy i Maria Dąbrowska. W publicystyce tegoż okresu, kto zostanie? Stanisław Estreicher, którego artykuł p.t. „Rokosz” na wieść o Zamachu Majowym, ma akcenty ks. Skargi; politycznie ten artykuł był dla Partii Krakowskiej katastrofą, literacko będzie zawsze arcydziełem. A poza tym byli St. Mackiewicz i Matuszewski, i na tym koniec. Tak jest wszędzie. Jest 12 tysięcy zawodowych dziennikarzy francuskich, i z tych tylko 80 jest znanych na jakimś poziomie, reszta się zupełnie nie liczy. A z polityków kto zostaje? Z generałów? Z ministrów skarbu? Z rewolucjonistów? A i to trzy czwarte nazwisk, znanych w historii – to potwory.

Nie wierzę, by Péguy i jego *Cahiers de la Quinzaine* wywarł prawdziwy wpływ na Francję, i nawet na de Gaulle'a osobiście, choć wielu historyków twierdzi, że de Gaulle był bliższy myślowo Péguy, niż Charlesa Maurras. Wpływ Voltaire'a czy J.J. Rousseau był też przereklamowany, choć były to czasy, kiedy panował tylko jeden język, francuski, jedna literatura się liczyła, francuska, a dzisiaj króluje wieża Babel. Nagroda Goncourtów dzisiaj nic nie znaczy, nagroda Nobla z literatury dzisiaj nic nie znaczy, nasze własne nagrody „literackie” są tylko zasiłkami dla nędzarzy, nic więcej, więc wszystkie moje laurki dla współpracowników *Kultury*, tak samo, jak i moje krytyki, są bez znaczenia. Powiem jednak, że gdybym miał być kiedyś powołany do jury dla oceny blisko już trzydziestoletniej pracy Giedroycia jako redaktora, jako promotora tych czy tamtych, to bym mu dał złoty medal

za znalezienie dwóch piór: Jerzego Stempowskiego i Marka Hłaski. Można powiedzieć, że dopiero Giedroyc ich odkrył, bo przedtem Stempowski był mało znany, a Hłasko właściwie wcale. Inni byli już odkryci przez *Wiadomości*, jak np. Józef Mackiewicz, którego „Ballada o nowym sterniku”, drukowana po raz pierwszy w *Kulturze*, powinna się znaleźć we wszystkich wypisach szkolnych w Polsce aż po koniec czasów. Miłośz, gdy nie nudzi na temat komunizmu, jest doskonałym krytykiem literackim, oczywiście niesprawiedliwym, stronniczym, ale któryż krytyk nim nie jest? Sainte Beuve? Przecie to kpiny. Wyliczyłem już cztery wybitne nazwiska, pewno przeoczyłem jedno lub drugie. Na jeden miesięcznik, to już fenomenalne. A że obok ziarna są i plewy, to co można na to poradzić? Brzydule też muszą żyć, i tak samo nudziarze i grafomani. By nie wywoływać burzy protestów, zaznaczam, że Tadeusza Nowakowskiego, Łobodowskiego *etc.* zaliczam do „stajni” *Wiadomości*, bo tam pisywali i dłużej, i częściej, i wcześniej, niż w *Kulturze*.

Czas już kończyć. Zły los, zbyt późne przyjsie na świat, nie pozwoliły Giedroyciowi stać się naszym „Lawrence of the Ukraine”, w roku 1920, kiedy prawdopodobnie zginąłby bohatercko, nie zrealizowawszy swych marzeń. Byłaby to piękna karta w dziejach polsko-ukraińskich, a legendy i ich bohaterzy mają swoją wartość. Ale wówczas nie znałbym nigdy Giedroycia, byłby dla mnie tylko nazwiskiem, jak Ordon, jak Emilia Plater, jak Emir Rzewuski, do którego może jest z temperamentu, z urody, z urodzenia najbardziej podobny. Giedroyc, urodzony wcześniej, może by odpłacił dług Włochom za pułkownika Nullo, ginąc w marszu Tysiąca Walecznych. Ale bym go nie znał. A tak nigdy nie zapomnę chwili, gdy go widział po raz pierwszy w życiu na tarasie warszawskiego Yacht-Klubu, w piękny dzień czerwcowy, razem z żoną, Tatjaną, Tanią dla przyjaciół. Była to najpiękniejsza para, jaką widziałem w życiu, on wyglądał na księcia z Tysiąca i Jednej Nocy, ona na królową piękności, mody, szyku, szarmu, uśmiechu. W porównaniu z tą promienną parą, John Kennedy i Jackie, wyjeżdżający do Londynu z MacMillanami, to była tylko kopia, tylko naśladownictwo.



## Archiwum polityczne

### Widziane z Brukseli (ostatni raz)

#### REMANENT PUDŁA

Jerzy Giedroyc wiedział, że na Forum Ekonomicznym w Krynicy (wrzesień 2000) mam zagaić i prowadzić z udziałem premiera Jerzego Buzka, byłego prezydenta Białorusi Stanisława Szuszkiewicza, Lecha Wałęsy (nie przyjechał) i Borysa Berezowskiego (zmienił program) dyskusję na temat stanowiska Rosji wobec ewentualności dalszego rozszerzania NATO na terenie posowieckiej Europy. Na prośbę Redaktora miałem ten temat opracować w kolejnym „Brukselczyku” dla *Kultury*. Nie zdążyłem. Dziś, z braku czasu (numer, pierwszy i ostatni bez Redaktora, jest spóźniony), oddaję do druku tylko lekko podrysowany konspekt, przygotowany jako podstawa ustnego wystąpienia w Krynicy.

L.U.

#### I. Te same drzwi

1) Zaczęło się, tak mówi legenda, w kwietniu 1993 roku w Waszyngtonie, kiedy, z okazji otwarcia Muzeum Holocaustu, Clinton spotkał się, to już nie jest legenda, kolejno z prezydentami Polski, Czech i Węgier, i doszedł do wniosku, że trójka z Centralnej Europy ma rację: Clinton, mówili, wejdzie do historii przez te same drzwi, przez które te trzy kraje wejdą do NATO.

W istocie, koncepcja rozszerzenia NATO, bez jej nazywania, jest dawniejsza. Zrodziła się z przeświadczenia, że po rozpadzie ZSSR, i przez jakiś, raczej dłuższy niż krótszy, czas, bezpieczeństwu Sojuszu nie zagraża otwarta agresja ze strony b. ZSSR, a raczej zagrażać by mogły skutki destabilizacji, w wyniku trudności gospodarczych, społecznych czy etnicznych, w krajach Europy Środkowej. To wtedy powstał „Koncept strategiczny 1991”, który właśnie w takich destabilizacjach widział zarówno źródło dwóch wojen światowych i dwóch totalitarnych dyktatur w Europie, co i groźbę potencjalnie tkwiącą w nowym układzie posowieckim.

2) Resztę, w zasadzie, znamy. Proces rozszerzania NATO o trzy wspomniane kraje trwał, jak pamiętamy, długo, toczył się przy akompaniamencie ostrych sporów, silnej opozycji wewnątrz NATO, zwłaszcza w USA, a przede wszystkim ostrego sprzeciwu Rosji. Trzeba było wielkiej debaty, i na otwartej scenie, i, zwłaszcza, za kulisami, a także mniej lub bardziej istotnych koncesji, nie po to aby to rosyjskie *niet* wyeliminować, to było po prostu niemożliwe i nikt się tego nie spodziewał, ale aby je maksymalnie zneutralizować i szok zamortyzować. W tych warunkach, o kolejnym rozszerzeniu nie mogło być nawet oficjalnie mowy. Nic dziwnego więc, że to dopiero w kwietniu 1999, kiedy szczyt NATO zebrał się w Waszyngtonie na uroczystym „ingresie” trzech nowych państw (Polska, Węgry i Czechy), sojusznicy, już w 19, zdecydowali się nieśmiało te sprawę poruszyć, wyrazić wolę przyjęcia nowych członków i zapowiedzieć wystosowanie nowych zaproszeń „w ciągu, jak obiecali, nadchodzących lat”.

#### II. Nikt nie woła

Lata te ciągle nadchodzą... Bardzo wyraźnie nie jest to dla NATO kwestia pierwszej potrzeby. Powody są różne, o rozmaitym zasięgu i niekoniecznie jednomyślnie podzielane przez wszystkich zainteresowanych. Wystarczy przytoczyć kilka:

a) Sojusz atlantycki, mówiąc niedelikatnie, nie strawił jeszcze poprzedniej potrójnej „dawki”. Trwa jeszcze, i będzie trwać długo, wielobranżowy i wielostopniowy (także finansowy) proces dopasowywania Polski, Węgier i Czech do zmie-



nających się zresztą „w marszu”, struktur, wymagań i zadań NATO. Wymagania NATO się nie zmieniły, ale będą trudniejsze do spełnienia niż w przypadku poprzedniej „trójki”. Stopień przygotowania państwa kandydującego: *interoperability* z NATO, poszanowanie reguł OBWE, demokracja, gospodarka rynkowa, państwo prawa, pokojowe rozwiązywanie problemów mniejszości narodowych i sporów terytorialnych z sąsiadami, cywilna kontrola nad wojskiem, jest z reguły, wśród nowych kandydatów, mniej zaawansowany niż był w Polsce czy w Czechach i na Węgrzech.

b) Ten proces będzie więc trudniejszy (i bardziej kosztowny) w odniesieniu do prawie wszystkich nowych kandydatów, z reguły biedniejszych i mniej zaawansowanych technicznie od poprzedniej trójki. Dlatego w stosunku do tych dziewięciu państw kandydackich: trzech Bałtów, Słowenii, Słowacji, Bułgarii, Rumunii, Macedonii i Albanii, uruchomiono MAP, „Membership Action Plan”, program „niesienia rady, pomocy i praktycznego poparcia”, wykoncypowany w USA, polegający na przyglądaniu się i pomaganiu w jakimś, na razie raczej dyskretnym stopniu, w realizacji ich programu, m.in. w dziedzinie obrony, dostosowywania się do wymagań NATO. Wiosną 2000 odbyło się w Wilnie spotkanie „9”. Było ono częścią i przykładem tego programu. Jak mi powiedział w Brukseli (wywiad dla *Le Soir*), Vytautas Landsbergis, przewodniczący (wówczas) parlamentu litewskiego, chodziło raczej o efekt medialny (ten się nie udał, echo było nikłe) ale głównie o sygnał (to się udało) wysłany do Moskwy, że, niezależnie od złego humoru Putina, sprawa dalszego rozszerzania NATO jest ciągle aktualna. Spotkania takie są ważne, nawet jeżeli praktycznie mało skuteczne. Potwierdzają bowiem, że Europa i NATO stanowią definitywny strategiczny wybór tych państw i nie pozwalają tej hipotezie spaść z porządku dziennego polityki światowej.

c) Dopóki Finlandia i Szwecja nie są członkami NATO, plany wejścia Bałtów w struktury i pod parasol NATO, są, zdaniem niektórych specjalistów, strategicznie nierozumne. Równocześnie Bałkany i Europa Południowo-Wschodnia w ogóle, wystarczy wymienić kolejno Bośnię, Kosowo i Jugosławię wraz z otoczeniem, zajmują w tej chwili ważniejsze miejsce na liście problemów NATO.

d) NATO ma także inne, pilniejsze wewnętrzne zmartwienia, w tym ważne pytania dotyczące własnej przyszłości. Np. czy ma być mocno zintegrowanym sojuszem wojskowo-politycznym czy też ewoluować w kierunku regionalnego systemu bezpieczeństwa, albo kwestia operacji *out of area* (wnioski z Kosowa), albo rola sił zbrojnych Europy w sojuszu a obecność USA... itd.

e) Wybory w USA; każda nowa administracja ma nowe idee, nie należy nowego Białego Domu stawiać przed faktami dokonanymi. Można przewidzieć, że opinia amerykańska, a więc i Kongres, będą zapewne znacznie mniej entuzjastycznie nastawione wobec nowych propozycji rozszerzeniowych, niż wobec poprzedniej tury. Poglądy te wahają się od przychyłnej hipotezy, wychodzącej z założenia, że zablokowanie tego procesu byłoby demoralizujące i szkodliwe dla bezpieczeństwa Europy (Brzeziński), aż po kategorię opozycję nie tylko wobec tempa czy procedury, ale samej idei dalszego rozszerzenia. Tak myślą, to nie rewelacja, ci wszyscy w USA i na Zachodzie, którzy, tak jak np. prof. Pipes czy pani Eisenhower, grali rolę ideologów wśród przeciwników pierwszej tury rozszerzenia.

f) Nowego prezydenta Rosji także nie należy stawiać przed faktami dokonanymi. Zachód na razie nie widzi, i nie szuka, alternatywy do Putina, przyznał mu spory kredyt zaufania, dał mu ósme pełne miejsce przy stole G7. Putin ma sporo zmartwień, wojna w Czeczenii trwa, dramat „Kurska” ujawnił rosyjską niezdolność rozwiązywania kryzysów, Zachód nie chce mu (na razie) nową ekspansją NATO jeszcze bardziej komplikować życia... Inaczej mówiąc, problematyka stosunków z Rosją Putina figuruje na wyższym niż rozszerzenie miejscu porządku dziennego NATO. Także w tym kontekście, sojusz, twierdzą w Brukseli, powinien unikać zbyt pochopnych i źle przygotowanych decyzji rozszerzeniowych.

### III. Bądźmy sprawiedliwi

1) Choć nie ma na razie ani zarysów choćby kalendarza, ani ustalonych kryteriów wchłaniania nowych członków, kampania zastrzeżeń czy sprzeciwu wobec planów ekspansji



obszaru NATO jest już w toku. Rosja jest zdecydowanie przeciwna idei rozszerzenia w ogóle, a w szczególności w odniesieniu do byłych republik sowieckich, to znaczy (na razie) Bałtów. Słyszeliśmy, jeszcze od Jelcyna, groźby, że w razie gdyby któryś z Bałtów znalazł się formalnie w strukturach NATO, to równałoby się to rozpętaniu nowej zimnej wojny. Mimo zmiany stylu, Putin jest tego samego zdania. Wiosną 2000, w Berlinie, Putin co prawda nie mówił o zimnej wojnie, ale, właśnie w kontekście dalszego rozszerzenia NATO (i perspektywy Kaliningradu między dwoma państwami NATO, Polską i Litwą), wymachiwał „groźbą destabilizacji sytuacji w Europie i na całym świecie”.

2) Formalnie biorąc, wszyscy są zgodni co do tego, że żadne państwo nie może decydować o strategicznych wyborach innego suwerennego państwa. I że, wobec tego, choć należy dążyć do jak najlepszych partnerskich stosunków z Rosją, to nie należy jej przyznawać prawa weta wobec aspiracji jej suwerennych sąsiadów.... To prawda, ale jest także real-polityka. Sojusz uważa, że powinien się ze stanowiskiem Rosji do pewnego stopnia liczyć i brać pod uwagę ogromny rosyjski potencjał szkodzenia we wszystkich planach urządzania świata.

3) Tym bardziej, że – bądźmy sprawiedliwi – rosyjskie zastrzeżenia są w pewnym stopniu uzasadnione. Poprzednie rozszerzenia NATO stanowiły niewątpliwie wzmocnienie sojuszu i geopolityczne względne osłabienie pozycji Rosji. Ewentualna druga tura może tylko ten proces zaostriżyć i stosunek sił nadal zmieniać na niekorzyść Rosji.

4) Stąd, można bez ryzyka przewidzieć, że choć nowa tura rozszerzania nie jest ani strategicznie, ani politycznie kwestią najbliższej przyszłości, to opozycja Rosji będzie wobec drugiej tury równie, a może, z uwagi na Bałtów, nawet bardziej zdecydowana niż wobec pierwszej.

5) Można więc sformułować pytanie: czy taka bardziej zdecydowana opozycja będzie także bardziej skuteczna, lub inaczej, co Rosja może zrobić, aby przeszkodzić w nadejściu kolejnej tury? Odpowiedź brzmi: niewiele więcej niż w toku pierwszej. Analiza argumentów Rosji przeciw kontynuacji rozszerzania, nie jest trudna. Po prostu: aktualne argumentarium rosyjskie stanowi lekko tylko zmodyfikowaną wersję

stanowiska Moskwy wobec pierwszej tury rozszerzania i przyjęcia Polski, Czech i Węgier. Do tej akcji zaporowej Rosja wprowadziła już najcięższe działa polityczne i dyplomatyczne. Można powiedzieć, że w toku opozycji wobec ostatniej tury Rosja wyczerpała swój cały, z wyjątkiem wojskowego, ale ten nie wchodzi w rachubę, antynatowski arsenał.

#### IV. Dziewięć razy „niet”

A więc po kolei, co wtedy mówiła (i dziś powtarza) Moskwa i co z tego wynikło;

Moskwa twierdziła że:

a) NATO plus nowa „trójka”, to zagrożenie Rosji. Nieprawda. W pewnym sensie jest wprost przeciwnie. Polska, Czesi czy Węgrzy w NATO prowadzą politykę NATO, to znaczy politykę ostrożną (np.: „dyskrecja” wobec Czeczenii). Jeżeli Rosja sama nie da powodu do zaostrenia polityki NATO, to ostrożność pozostanie linią NATO i nowych członków sojuszu.

b) Rozszerzenie to nowa żelazna kurtyna, nowy podział Europy, izolacja Rosji. Nieprawda. To nie nowy podział, a inny podział, nikt nie wątpi, że lepszy i bardziej sprawiedliwy niż ten narzucony przez Stalina. Tylko Rosja, tak jak ZSSR, może podzielić Europę i spuścić nową żelazną kurtynę. No i nie można izolować kraju, który przecina 11 stref czasu. Taki kraj może tylko sam się izolować.

c) Rozszerzenie zmusza do podniesienia budżetu wojskowego. Nieprawda. Przez całe lata NATO nie rosło, a budżet wojskowy ZSSR rósł. Teraz to nie NATO a Czeczenia powoduje hośbę w zbrojeniach. Można się niestety obawiać, że dramat „Kurska” też się do tego przyczyni. Na pewno bardziej, niż ewentualne pojawienie się Estonii nad brzegiem Atlantyku.

d) Rosja wycofa się z negocjacji rozbrojeniowych. Nieprawda. Rozbrojenie leży przede wszystkim w interesie Rosji. Traktat START nie jest prezentem Rosji dla Zachodu, to w najlepszym razie wspólny interes. Rosja nie tylko nie powinna się wycofać, ale powinna coraz bardziej włączać się w proces rozbrojenia. Na przykład, jeżeli chce w jakiś sposób powstrzy-



mać czy osłabić amerykańskie, kontrowersyjne zresztą także dla Europy, plany modyfikacji traktatu ABM o obronie rakietowej.

e) Kompromituje młodą demokrację rosyjską. Nieprawda. Demokrację kompromituje Putin, likwidując faktycznie rosyjską wersję senatu, wywołując afery Media Mostu, Babickiego itd., nie wspominając nawet o tym gwałcie na demokracji i prawach człowieka, jakim jest sposób prowadzenia wojny przeciw Czeczeńcom. Zachód może rosyjskiej demokracji pomóc, ale zaszkodzić jej mogą tylko sami Rosjanie.

f) Powoduje wzrost nacjonalizmu w Rosji. Nieprawda. Nacjonalizm rosyjski nie potrzebuje NATO. To nie NATO wymyśliło czarną sotnię, Protokoły Mędrców Syjonu, Pamiat, ani Żyrynowskiego czy Barkaszowa. Stalin podbił połowę Europy przed narodzeniem NATO. Odwrotnie: NATO narodziło się w odpowiedzi na agresję ZSSR.

g) Skieruje zachłanność Rosji na republiki WNP, środkową Azję, Azerbejdżan i Gruzję po pacyfikacji Czeczenii. Nieprawda. Taka strategia jest niezależna od istnienia i liczebności NATO. Neosowieckie neoimperium, wielka Rosja, to *credo* Putina. Do uzasadnienia niepokoju i zachłanności Rosji wobec Kaukazu, Putin nie potrzebuje NATO. Wystarczy Morze Kaspijskie. Nowe „centrum antyterrorystyczne” w Moskwie, to zarówno odpowiedź na realny szantaż „islamistyczny”, co i, jeżeli nie przede wszystkim, instrument kontroli byłych republik sowieckich w Azji.

h) Złamanie słowa, że NATO nie pójdzie na wschód po zjednoczeniu Niemiec. Nieprawda. Nikt takiego słowa nikomu nie dawał, nikt nie miał takiego mandatu, nie ma na to żadnego dowodu. Szewardnadze, minister spraw zagranicznych tego okresu, nigdy o czymś takim nie słyszał.

i) Samiście chcieli: argumenty, na granicy humoru (ale nikomu do śmiechu), wysunięte niedawno przez rosyjski MSZ wobec Wilna, że Litwa, i reszta Bałtów, sami prosili o włączenie do rodziny narodów ZSSR. To już nawet nie nieprawda. To dowód całkowitej desperacji i wyczerpanie się zapasu jakichkolwiek argumentów racjonalnych.

### V. Zamiast polityki zagranicznej

1) Podsumowując można więc powiedzieć, że w takiej retrospektywie widać wyraźnie, iż żaden z argumentów, a było ich sporo, wysuwanych przez Rosję i ich zwolenników na Zachodzie, przeciw pierwszej turze rozszerzania, nie wytrzymał próby czasu. Prawdopodobnie tak samo byłoby gdyby, *if any*, doszło do drugiej tury.

2) Nie mogło i nie może być inaczej. W istocie bowiem ostre antynatowskie *niet* Moskwy ma zastąpić konkretną politykę zagraniczną Rosji. Pozbawiona statusu supermocarstwa, Rosja nie dysponuje jeszcze strategią dostosowaną do wymagań okresu po przegranej zimnej wojnie, do jej nowej, tylko regionalnej roli, ani do faktu, że Zachód poszerzył, i nadal to czyni, swoją strefę bezpieczeństwa, że granica NATO biegnie wzdłuż wschodniej granicy Polski, że np. Niemcy nie są już na obrzeżu, a znalazły się w środku Europy i że całe Bałkany (łącznie z Jugosławią) znajdują się niedługo w strefie europejskiej demokracji. W najlepszej hipotezie, uparta opozycja wobec planów rozszerzenia NATO ma windować cenę Rosji za jej pozytywny udział w porządkowaniu świata. W najgorszej, ma stanowić nacjonalistyczne jądro populistycznego i autorytarnego programu rządzenia przez Putina. Putin jest być może zdania, że pewna dawka autorytaryzmu i nacjonalizmu jest niezbędna dla przeprowadzenia niezbędnych reform, marzy mu się być może jakaś rosyjska wersja późnej fazy Franco czy Pinocheta, czy, w innym rejestrze, model chiński. Kwestia szans powodzenia takiego eksperymentu, to inna sprawa, cenę za to zapłaciłaby w każdym scenariuszu rosyjska demokracja.

3) Inaczej mówiąc, odpowiedzi na pytanie jak się Moskwa zachowa przed, w czasie i po ewentualnej drugiej turze rozszerzenia, nikt, nawet sam Putin, dziś udzielić nie potrafi. Ale na pewno warto się nad tym już dziś zacząć zastanawiać.

Pisane w Brukseli, 10 października 2000

Leopold UNGER



*P.S.1.*

Kilka słów o Polsce. Przypada jej rola szczególna. Po „ślubie” z sojuszem, Polska, Czechy i Węgry przyznały, że ponoszą „specjalną odpowiedzialność za proces dalszego rozszerzania NATO”. To oczywiście niewiele znaczy, ale jest logicznie uzasadnione. Polska, chociaż musi się troszczyć o dobre stosunki z Rosją, to, choćby z uwagi na wspólną historię z Litwą, i na swoje interesy geopolityczne, powinna być przekonana o konieczności kontynuowania procesu rozszerzania NATO. Polska powinna tę konieczność wyrażać mocniej niż inne państwa.

*P.S.2.*

W pierwszym swoim liście na temat pomysłu „Brukselczyka” (zima 1969), Jerzy Giedroyc sugerował „8 do 10 stroniec stanowiłoby idealną długość pańskiego felietonu”. Przez 30 lat ani razu nie udało mi się zmieścić w tych granicach. Artykuł zawsze był dłuższy. Udała mi się ta sztuka dopiero w obecnym, a więc ostatnim moim tekście dla *Kultury*. Ale Jerzy Giedroyc już nie zdążył go przeczytać.

L.U.

## Polska – Chiny

Chińska Republika Ludowa należy do krajów rozwijających się bardzo dynamicznie, notując od 20 lat wskaźniki wzrostu gospodarczego powyżej 8% rocznie. Zawdzięcza to stworzeniu odpowiednich warunków dla inwestycji zagranicznych, m.in. utworzeniu różnego typu specjalnych stref ekonomicznych, jak też stałemu wzrostowi eksportu. Rozwój ekonomiczny kraju powoduje również wzrost zamożności

społeczeństwa i co za tym idzie zwiększanie się popytu konsumpcyjnego. Ocenia się, że obecnie w Chinach około 100 mln, obywateli zaliczyć można do grupy zamożnych, tzn. takich, których stać na kupno zachodnich produktów. W tym przypadku większą uwagę zwracają oni na oczekiwane korzyści w związku z zakupem danych produktów niż na wyższą cenę. Stwarza to korzystny klimat dla rozwoju importu, który pomimo ograniczeń celnych i prawnych również notuje systematyczny wzrost.

Chiny podążają aktualnie drogą rozwoju wytyczoną przez tzw. „azjatyckie tygrysy”, tj. Tajwan, Singapur czy Hongkong. Czy staną się one jedną z największych potęg gospodarczych świata? Wielu specjalistów uważa, że może stać się to mniej więcej po 2025 roku. Na razie Chiny mają imponujący bilans handlu zagranicznego.

Dane są tak imponujące, że aż trudne do przyjęcia. Chiny odnotowały w 1999 roku ujemne saldo w handlu zagranicznym wyłącznie z Australią i Oceanią, co stanowi jedynie ok. 2% ich obrotów handlowych. Natomiast w pierwszych pięciu miesiącach 2000 roku Chiny odnotowały wzrost zarówno eksportu jak i importu w stosunku do analogicznego okresu roku 1999, osiągając przy tym nadwyżkę rzędu ok. 10 mld dolarów. Jednakże mają one teraz deficyt handlowy w handlu zagranicznym z Azją, Afryką oraz Australią i Oceanią. Trudno prognozować czy to oznacza wzrost chińskiego eksportu w kolejnych miesiącach czy wyłącznie wzrost importu.

Należy tu podkreślić, że statystyki celne USA wskazują większą wartość chińskiego eksportu niż jest podawana przez chińskie statystyki, z tego względu, że Chińska Republika Ludowa nie ujmuje w nich towarów reeksportowanych przez Hongkong, traktując to wyłącznie jako eksport do Hongkongu.

Wiele krajów (np. Unii Europejskiej) stwarza bariery dla chińskiego eksportu oskarżając Chiny o stosowanie nielegalnych praktyk, np. cen dumpingowych. Dlatego też Chiny zabiegają od przeszło 13 lat o przyjęcie do Światowej Organizacji Handlu (WTO). Obecnie, po podpisaniu umów z USA oraz Unią Europejską, Chińska Republika Ludowa jest bliska osiągnięciu tego celu.

Bliskie wejście Chin do WTO powinno zatem zwiększyć



dostępność do chińskiego rynku dla eksporterów. Aktualnie Chiny wciąż ograniczają dostęp do rynku stosując zaporowe stawki celne, ograniczenia ilości kwot importowych w różnych grupach towarowych czy też instrumenty prawne ograniczające lub też uniemożliwiające zachodnim producentom rozwój własnych sieci dystrybucyjnych lub bezpośredniego wpływu na dystrybucje ich towarów w Chinach.

Największymi partnerami handlowymi Chin są Japonia, USA, Hongkong (według statystyk chińskich, ale znaczna większość towarów we wzajemnej wymianie Chiny – Hongkong to towary reeksportowane lub reimportowane), Korea Południowa, Tajwan, Niemcy. Podstawowym rynkiem zbytu dla chińskich towarów są Stany Zjednoczone, które mają około 20 mld deficytu handlowego w obrocie z Chinami. Chiny notują deficyt w obrocie z Tajwanem i Koreą Południową oraz mają praktycznie zrównoważony handel z Niemcami i Japonią.

Jak wygląda zatem wzajemny handel Polski z Chinami? Niestety, również nasz kraj notuje ujemne saldo w handlu zagranicznym z Chinami. W 1999 roku wyniosło ono ok. 1 mld dolarów. Nasze wzajemne obroty zwiększają się od 1993 roku i aktualnie co prawda Polska jest największym partnerem handlowym Chin w Europie Środkowowschodniej, lecz wzrost chińskiego importu jest znacznie bardziej dynamiczny niż wzrost naszego eksportu.

Wymiana handlowa Polski z Chinami od 1993 do 1997 r.  
(tys. USD)

Rok	Import	Eksport	Saldo
1993	224.912	164.860	-60.052
1994	311.798	62.932	-248.866
1995	465.088	35.419	-429.669
1996	734.797	33.717	-701.080
1997	908.503	33.597	-874.906

Źródło: Główny Urząd Statystyczny

Jak widać z przedstawionych w tabeli danych, następuje wciąż wzrost importu z Chin, nieznaczny wzrost eksportu notujemy do 1997 i nie wiadomo czy ta tendencja zostanie utrzymana. Należy tu dodać, że chińskie statystyki celne różnią się nieco w podawanych wielkościach odnośnie naszego wzajemnego handlu, co wynika: – z pośrednictwa krajów trzecich, tzn. głównie Hongkongu i Niemiec – różnic czasowych np. towar wypływający z Polski w grudniu dociera do Chin w następnym roku kalendarzowym jest więc różnie ujmowany w statystykach obu krajów.

Niestety na podstawie chińskich statystyk celnych z pierwszych 5 miesięcy 2000 roku możemy stwierdzić znaczny spadek, bo aż o 53% polskiego eksportu do Chin w porównaniu do analogicznego okresu roku 1999. Oczywiście w poprzednich latach, w pierwszej połowie roku, nasz eksport zawsze był niższy, jednak tak olbrzymi spadek nie daje podstaw do pomyślnych prognoz. We wspomnianym okresie nastąpił za to wzrost chińskiego importu aż o 40,7%.

Polska nie jest dla Chin partnerem strategicznym. Z punktu widzenia polityki zagranicznej Chin jesteśmy małym krajem, gdzieś tam w Europie. Nie mamy prawie możliwości wpływu na zmianę polityki handlowej Chińskiej Republiki Ludowej. Jak wiele pozostałych krajów staramy się ograniczać chiński import stosując takie środki jak stawki celne (wykorzystując podejrzenie o praktyki dumpingowe), lecz pomimo tego następuje wciąż wzrost chińskiego importu.

Handel z Polską to dla Chin nieznaczny element w całości obrotów handlowych. Paradoksalnie handel z Chinami ma dla naszego kraju znacznie większe znaczenie niż dla Chin. Nasz eksport do Chin w 1999 roku stanowił tylko 0,5% naszego eksportu, więc dlaczego? Ponieważ nasz kraj, jak widać z przedstawionych danych w powyższej tabeli, notuje ogólny deficyt w obrotach handlu zagranicznego. Jednym z celów naszej polityki gospodarczej powinno się stać w związku z tym działania zmierzające do wzrostu eksportu.

Na razie nasz eksport do Chin (i do Azji) stanowi niewielki procent, ale musimy zdawać sobie sprawę, że wraz ze wzrostem naszego potencjału eksportowego będziemy zmuszeni do poszukiwania nowych rynków zbytu. W naszym eksporcie do Azji Chiny zajmują pierwsze miejsce i stanowią około 20%



eksportu do Azji ogółem, oraz aż 70% w eksporcie do krajów etnicznie chińskich (Chiny, Hongkong, Makao, Tajwan).

Niestety, nasi eksporterzy nie mogą na razie liczyć na preferencyjne kredyty czy wsparcie w ramach programów rządowych. Brak zintegrowanych działań zmierzających do wzrostu naszego eksportu jest szczególnie widoczny w naszym bilansie handlu zagranicznego, tj. we wciąż zwiększającym się deficycie.

Możliwe, że sytuacja ta ulegnie zmianie. W „Informacji Rządu o kierunkach polskiej polityki zagranicznej” przedstawione przez ministra spraw zagranicznych RP prof. Bronisława Geremka podczas posiedzenia Sejmu w dniu 9 maja 2000 r. możemy przeczytać:

„Nasz rząd przykładął dużą wagę do rozwoju kontaktów z krajami pozaeuropejskimi. Koncentracja uwagi na kwestiach egzystencjalnych, związanych przede wszystkim z bezpieczeństwem oraz ułożeniem stosunków z sąsiadami była powodem niedostatecznego odzwierciedlenia tego założenia w bieżącej praktyce politycznej. To się zmienia. Będziemy coraz bardziej aktywnie, także w miarę wzrostu naszego potencjału, poszukiwać szans intensyfikacji obrotów gospodarczych, możliwości rozszerzania eksportu, korzystnej współpracy przemysłowej i technologicznej, przyciągania kapitałów inwestycyjnych, poszukiwania alternatywnych źródeł niezbędnego importu, rozszerzania stosunków w dziedzinie kultury i nauki. Wiemy, że takie możliwości istnieją w odniesieniu do krajów wszystkich podstawowych regionów – Azji, Bliskiego Wschodu, Afryki, Ameryki Łacińskiej, Australii i Oceanii.”

Niestety nie zostało przedstawione jakie i kiedy zamierza rząd podjąć działania. W całym przemówieniu, liczącym kilkanaście stron, nie tylko nie znajdziemy ani jednego słowa o stosunkach z Chińską Republiką Ludową, ale co wydaje się zupełnie niezrozumiałe nie ma też wzmianki o stosunkach z Koreą Południową, która zalicza się do największych inwestorów w naszym kraju.

Dostęp do chińskiego rynku związany jest również z kontaktami politycznymi między krajami. Na tej płaszczyźnie możemy sporo nauczyć się od naszych zachodnich sąsiadów, Niemiec, które radzą sobie bardzo dobrze w handlu z Chińską Republiką Ludową. Kanclerze Niemiec odwiedzają często Chiny wraz z dużą grupą niemieckich biznesmenów, podpi-

sując przy tej okazji umowy handlowe na miliony marek. Należy jednak podkreślić, że umowy te są wcześniej negocjowane i wizyta kanclerza jedynie przyspiesza finał tych negocjacji. Wizyta prezydenta RP w Chinach nie była niestety skoordynowana z takimi działaniami, nic dziwnego więc, że nie przyniosła wielkich rezultatów.

Niestety, znaczna większość naszych firm nie jest obecnie w stanie konkurować na chińskim rynku z innymi firmami zagranicznymi. Nasze firmy są zbyt małe. Większość z nich (mówimy o producentach krajowych) żąda zapłaty za towar od stałych klientów, a nie chcą oni ponosić kosztów transportu do Chin bezpośrednio do nabywcy, bo to zwiększa ich koszty. Dlatego jest duża rola pośredników niemieckich, którzy kupują u nas towary, płacą gotówką (co uszczęśliwia naszego producenta), po czym sprzedają go do Chin. Rozmawiając np. z tłumaczami, którzy pracowali dla niektórych naszych biznesmenów, można dowiedzieć się jak zdziwieni byli prezesi naszych firm, kiedy Chińczycy zażądali tak prostych warunków jak wyżej wspomniane. W ich mniemaniu Chińczycy powinni najlepiej sami odebrać towar z Polski i jeszcze od razu zapłacić.

Dla wielu polskich firm oczekiwanie przez trzy miesiące na płatności, np. rzędu 500 tys. USD, to balansowanie na krawędzi wypłacalności. Brak wspomnianych preferencyjnych kredytów na rozwój eksportu powoduje, że polskiego producenta nie stać po prostu na eksport. Brakuje w naszym kraju również wykwalifikowanych specjalistów, mogących zajmować się handlem z Chinami, znających doskonale rynek, potrafiących znaleźć szansę na rozwój. Do tego nie wystarczy znajomość chińskiego, potrzebna jest gruntowna wiedza z zakresu ekonomii i przede wszystkim praktyka. Wiele krajów europejskich, Kanada czy USA, w ramach programów edukacyjnych kształci studentów swoich uniwersytetów ekonomicznych na specjalistów ds. handlu z Chinami. Najpierw uczą się oni języka, później pracują jako stażyści w przedstawicielstwach firm z ich krajów na terenie Chin.

Kolejną barierą w handlu z Chinami jest problem nikłej znajomości w naszym kraju aktualnego stanu gospodarki chińskiej. W polskich środkach masowego przekazu Chiny pojawiają się prawie wyłącznie w kontekście łamania praw czło-



wieka. Chińska Republika Ludowa kojarzy się statystycznemu obywatelowi naszego kraju jako bardzo biedny kraj, daleko w Azji. Znane są przykłady polskich turystów wyjeżdżających na wycieczkę do Chin, zabierających ze sobą żywność na cały pobyt w przekonaniu, że w Chinach nie będą mieli co jeść.

Trudno więc się dziwić, że wielu naszych biznesmenów nawet nie myśli o wejściu na rynek chiński, nie zdając sobie zupełnie sprawy z potencjalnych możliwości. Warto tu przytoczyć przykład jednej polskiej firmy z branży mebli biurowych (bez podawania nazwy, aby nie robić jej złej reklamy), do której zwróciła się dwa lata temu firma chińska z propozycją utworzenia spółki *joint venture*, produkującej na rynek chiński. Partner chiński, chcący pozyskać technologie i wzornictwo, zapewniał ze swej strony linie do produkcji i wkład finansowy, gwarantując 50% udziału dla strony polskiej. Niestety, strona polska nie chciała się nawet spotkać z przedstawicielami firmy chińskiej, odpowiadając uprzejmym pismem, że nie widzą szans na sprzedaż mebli biurowych w Chinach i mogą jedynie rozmawiać o wspólnym wejściu na rynek niemiecki. Zaskoczeni Chińczycy podpisali więc kontrakt z firmą szwajcarską i powstała spółka odnotowała znaczne zyski już w 1999 roku.

Jakie są zatem szanse dla polskiego eksportu do Chin?

Przede wszystkim dużo zależy od poprawy kondycji polskich przedsiębiorstw, tak aby były one w stanie sprostać warunkom stawianym przez partnerów chińskich.

Jako dużą szansę dla naszych produktów można wskazać brak negatywnych skojarzeń konsumentów chińskich związanych z naszymi produktami. Dla statystycznego Chińczyka nie ma różnicy czy produkt ten ma napis „Made in Holland” czy „Made in Poland”, czy np. „Made in Finland”. Każdy z tych krajów kojarzy mu się tylko z Europą. Nie kojarzy również krajów z produktami, np. najlepsza czekolada jest szwajcarska, a ser włoski itp. W tym przypadku stworzenie pozytywnego wizerunku polskich produktów jest znacznie łatwiejsze i wiąże się z mniejszymi nakładami finansowymi niż w krajach zachodnich, postrzegających nas jako kraj pokomunistyczny.

Jako ciekawostkę można podać fakt, że część naszych produktów jest sprzedawanych do Chin przez pośredników niemieckich, którzy nie informują naszych rodzimych producentów o kraju przeznaczenia. Fakt ten nie jest ujmowany

przez polskie statystyki celne, trudno więc określić jaka jest wielkość tego reeksportu, lecz pewnym jest, że zarabiają na tym niemieccy pośrednicy. Tracą zaś nasi producenci, którzy mogliby eksportować do Chin z pominięciem niemieckich pośredników. Wiele naszych produktów szczególnie branży spożywczej, jak np. soki czy sery, jest bardzo dobrej jakości i są tańsze od produktów tego typu pochodzących z Unii Europejskiej, niestety barierą dla eksportu staje się brak środków związanych z kondycją polskich przedsiębiorstw.

Producent polski chcący wejść na chiński rynek może skorzystać z rad specjalistów z Wydziału Ekonomiczno-Handlowego Ambasady RP w Pekinie.

Transportem towarów między Polską a Chinami (w obie strony) zajmuje się spółka Chipolbrok. Jest to przedsięwzięcie typu *joint venture* polskiego i chińskiego skarbu państwa (udziały po 50%). Na terenie naszego kraju przedstawicielstwo firmy znajduje się w Gdyni. Spółka Chipolbrok powstała w 1951 roku jako pierwsze przedsięwzięcie typu *joint venture* z udziałem kapitału zagranicznego w Chińskiej Republice Ludowej. Posiada obecnie 20 statków przystosowanych do przewozu towarów, dostarczając towary do portów azjatyckich i europejskich. Niestety, przewozy ładunków na trasie Polska – Chiny stanowią jedynie 52.719 ton na przewozy ładunków ogółem 1.384.117 ton w 1999 roku. Nie jest to specjalnym zaskoczeniem po zapoznaniu się z naszym bilansem handlowym. Jednocześnie należy podkreślić, że przewóz bezpośrednio z Polski do Chin również jest niewielki, tzn. 31 204 ton.

Podsumowując można pokusić się o opinię, że w przyszłości nasz eksport do Chin powinien się poprawić, wiąże się to jednak z poprawą kondycji polskich producentów oraz stworzeniem narzędzi wsparcia polskiego eksportu (nie tylko zresztą do Chin).

*Tomasz TWARDOWSKI*

Tomasz Twardowski jest pracownikiem naukowym Wyższej Szkoły Bankowej w Poznaniu, przygotowuje pracę doktorską na temat barier i możliwości wejścia na rynek chiński, aktualnie przebywa w Chinach na stażu naukowym.



## Raport o prawach człowieka w Arabii Saudyjskiej

Organizacja Amnesty International przyspiliła wreszcie Saudyjczyków za łamanie praw człowieka. Raport – trzeci z kolei – opublikowany w kwietniu roku 2000 nie jest jednak żadną rewelacją, choć dużo było o nim w prasie i w telewizji. Fakty takie jak przetrzymywanie aresztantów bez kontaktu z adwokatem, tortury, wymuszanie zeznań i wreszcie katalog kar: amputacja kończyn, publiczna chłosta, publiczna egzekucja przez ścięcie głowy – to sprawy od dawna znane i poruszane, co prawda bez widocznych skutków oprócz chwilowego oburzenia publicznego przez zachodnich dziennikarzy (np. w kilku programach telewizyjnych BBC), a nawet, czasami, przez niektórych europejskich polityków.

W związku z negatywnym raportem Amnesty, w anglojęzycznej prasie katarskiej ukazało się kilka artykułów potępiających arbitralne zachodnie oceny systemu sprawiedliwości sąsiadów. Jest to bowiem system oparty o koraniczne prawo Shariyah, które według muzułmanów zostało im dane przez samego Allaha w Koranie, a więc jako takie jest nie do podważenia czy choćby do zmodyfikowania przez ograniczone racje ludzkiego umysłu. Trudno się racjonalnie spierać z tym zupełnie irracjonalnym rozumieniem sprawiedliwości. I tak, ostatnie doniesienia Amnesty International zostały określone mianem „kłamstw głoszonych przez wrogów Boga, religii i całej ludzkości; wrogów o sercach pełnych nienawiści” (Abdullah Al Sheikh, saudyjski minister sprawiedliwości na seminarium zorganizowanym przez Ligę Islamską w Mekce, maj 2000).

Wedle Saudyjczyków, surowe kary cielesne i publiczne egzekucje nie tylko nie łamią praw człowieka, ale wręcz je gwarantują – odstrasżając potencjalnych złoczyńców od popełniania przestępstw, zapewniają bowiem przestrzeganie praw pozostałych członków społeczeństwa. Jak na ironię, statystyki przestępczości wydają się potwierdzać słuszność

takiego poglądu, choć z drugiej strony średniowieczna barbarzyńskość publicznych egzekucji jest nie do zaakceptowania we współczesnym świecie. Ciekawe, a nawet paradoksalne wydaje się jednak to, że „prawa pozostałych członków społeczeństwa” stanowią tak istotny punkt w tych rozważaniach, bo niekiedy przemyka przez głowę niewygodna myśl, że na Zachodzie prawa te straciły na wyrazistości, podczas gdy prawa osób skazanych za rozmaite przestępstwa niepolityczne na karę więzienia wysunęły się na pierwszy plan. I tak, kilka lat temu, po powrocie z Kataru do Anglii, dowiedziałam się z gazet, że pewnien młodociany zwyrodnialec, który zabił staruszkę, aby ukraść jej 10 funtów, już skazany na wiele lat, pod kuratelą pracowników socjalnych spędził urlop we Francji – zapewne, aby wynagrodzić mu nieszczęśliwe dzieciństwo, jakie na pewno musiało przyczynić się do jego zwyrodniałstwa. Saudyjczycy nie bawiliby się nawet w więzienie – zgodnie z zasadą oko za oko, zabójca ponosi karę śmierci, o ile nie wybaczy mu rodzina ofiary.

Prawie jednocześnie z dyskusją na temat saudyjskiego systemu sądownictwa, w samym Królestwie rozpoczęły się nader ważne rozmowy rządu z wielkimi amerykańskimi koncernami naftowymi: Enron, Occidental Petroleum (Oxy), ExxonMobil i innymi. Królestwo Arabii Saudyjskiej gwałtownie potrzebuje nowych inwestycji, nowych zadań, nowych pieniędzy. Dwanaście wybranych kompanii naftowych mogłoby zainwestować w Królestwie około 30 miliardów dolarów, a sami Saudyjczycy mają nadzieję na inwestycje warte aż 100 miliardów! Chociaż Arabia Saudyjska pozostaje naftowym gigantem, nie wszystko jednak toczy się tam zgodnie z lokalnymi oczekiwaniami czy planami – i to nie tylko w Arabii Saudyjskiej, ale i w innych „petrodolarowych” krajach regionu.

Oto młodzi Arabowie zaczynają pokazywać niebezpieczne symptomy zblazowania, nudy, lenistwa, zafascynowania materialnymi zdobyczami Zachodu, technologią, internetem. Nie znajdują już inspiracji w religii. Mają jeszcze pieniądze, ale i to zaczyna się tu i ówdzie powoli kurczyć. Brakuje im przy tym motywacji, bodźców do działania, chęci do pracy, a przy tym edukacja zdobyta we własnym kraju nie stanowi żadnej konkurencji dla kwalifikacji zachodnich. Co najgorsze,



nie ma też dla nich wystarczającej liczby stanowisk pracy, a rządy saudyjski oraz na przykład katarski lub kuwejcki, gwarantują – czy gwarantowały dotychczas – każdemu obywatelowi nie tyle pracę (pracę wykonują tam cudzoziemcy: Amerykanie i Europejczycy pracę menadżerów, dyrektorów, kierowników, specjalistów; pracę manualną i mało płatną – nacje azjatyckie), co właśnie stanowisko. Oznacza to własny pokój w jakimś biurze, w pokoju biurko, na biurku telefon, dookoła biurka fotele, na fotelach krewni i znajomi, którzy chcą coś załatwić korzystając z pośrednictwa lub wpływów danej osoby „na stanowisku”, no i wszechobecny *teaboy* – Hindus z tacą filiżanek herbaty, bardzo słodkiej, z mlekiem z puszki.

*Financial Times* opublikował niedawno artykuł na temat kierunków rozwoju polityki pracy w państwach arabskich nad Zatoką Perską. Wspomina się tam o fatalnym traktowaniu obcej, głównie azjatyckiej, siły roboczej przez Arabów, których rasizm równać się może chyba tylko z niegdysiejszym apartheidem południowoafrykańskim. Ostatnio w kilku krajach (Kuwejt, Katar) coraz częściej mają miejsce demonstracje, strajki i inne protesty podejmowane przez hinduskich, nepalskich czy bangladeskich wyrobników od czarnej roboty. Głośno też o oficjalnych skargach służby domowej, zwłaszcza kobiet zatrudnianych jako nianie czy pokojówki przez bogate rodziny arabskie. Nierzadko zdarza się, że nie tylko są one bite i ogólnie źle traktowane przez pracodawców, ale i wykorzystywane seksualnie. Warto przypomnieć, że koraniczną karą za cudzołóstwo jest śmierć przez ukamienowanie... Raport Amnesty International w dużej mierze oparty jest właśnie o relacje obcokrajowców pracujących w Arabii Saudyjskiej, którzy z różnych powodów (tak popełnionych przestępstw czy wykroczeń, jak i na przykład wskutek praktykowania religii innej niż islam) na własnej skórze – i czasami w jak najbardziej dosłownym znaczeniu – poznali surowość koranicznego prawa Shariyah.

Pomimo tego, coraz więcej chętnych przybywa z biednych krajów azjatyckich do pracy nad Zatoką. Tak wielu, że zaczyna to zagrażać demograficzną eksplozją Azjatów w tym rejonie świata. Dlatego autor artykułu zamieszczonego w *Financial Times*, Robin Allen, podsumowuje swoje rozważania

stwierdzeniem, iż prawdziwym niebezpieczeństwem dla stabilnego rozwoju arabskich państw Zatoki stają się nie tyle coraz szersze i głośniejsze protesty zatrudnionych tam obcokrajowców przeciwko nieludzkiemu traktowaniu czy niesprawiedliwym prawom, co szybko rosnące kolonie przybyszów z Azji. Sami Arabowie nie parają się przecież pracą fizyczną, a ktoś musi im budować nowe drogi i domy, sprzątać ulice i wywozić śmieci.

Przyglądając się z bliska typowemu społeczeństwu arabskiemu, którego dobrobyt w całości zależy od petrodolarów – uzyskiwanych za ropę odkrytą przez Amerykanów i Brytyjczyków, wydobywaną dzięki zachodniej technologii i niewolniczej pracy Azjatów – trudno powstrzymać się od małodusznej myśli, że pokojowa, demograficzna i kulturowa inwazja obcej „klasy pracującej” na bogate kraje arabskie byłaby doprawdy zasłużonym rezultatem obecnego stanu rzeczy. Czasami wręcz nie sposób nie życzyć im, aby wszelka ropa wyparowała, a gaz uleciał w niebyt!

W obliczu szeroko nagłośnionej krytyki saudyjskiego prawa dokonanej przez Amnesty International oraz, jak wolno przypuszczać, także wobec toczących się rozmów inwestycyjnych z najpotężniejszymi przedsiębiorstwami naftowymi świata, Saudyjczycy zdecydowali się jednak na wykonanie paru pojednawczych gestów i zapowiedzieli, że zaproszą do siebie wybranych obserwatorów z ONZ w celu podjęcia obiektywnych prób oceny ich systemu sprawiedliwości. Kto i kiedy miałby udać się z wizytą do Arabii Saudyjskiej, na jakiej zasadzie wybierani byłiby oenzetowscy prawnicy, którzy mają oceniać legislację Królestwa, wreszcie, czy sprawa łamania tam praw człowieka i tak umrze śmiercią naturalną – podobnie jak w przypadku Chin, są to wszystko kwestie zależne również od tego, kto i ile będzie chciał zainwestować w Królestwie. Bo tak samo jak Chiny, Arabia Saudyjska, choć wstyd mówić o jej stosunku do praw człowieka, jest zarazem potężnym partnerem handlowym i finansowym Zachodu. Nie należy mieszać etyki z biznesem: dla funkcjonowania świata biznes jest ważniejszy, więc z dużą dozą prawdopodobieństwa można pozwolić sobie na przypuszczenie, że jeszcze długo trzeba będzie czekać na najmniejsze choćby zmiany legislacyjne w Arabii. O ile kiedykolwiek one nastąpią.



W świetle najnowszych sprawozdań z odbywającej się właśnie w Kuala Lumpur konferencji Organizacji Islamskiej (28.06.2000) widać, że kraje muzułmańskie chciałyby stworzyć osobny front handlowy i ekonomiczny jako swoistą zaporę wobec „cywilizacyjnych i gospodarczych zagrożeń” płynących z Zachodu. Na razie jednak kraje muzułmańskie nie mogą nawet zgodzić się co do osoby przewodniczącego swojej organizacji, a zatem tworzenie osobnego frontu gospodarczego może jeszcze trochę potrwać. Tak więc Arabia Saudyjska w dalszym ciągu będzie współpracować z Zachodem, a Zachód z Arabią Saudyjską, i to bez względu zarówno na ewidentny brak poszanowania praw człowieka w Królestwie – nie do przyjęcia przez niektórych Europejczyków i Amerykanów – jak i wpływy materialistycznej, amoralnej cywilizacji zachodniej – tak wstrętnej niektórym muzułmanom.

Czerwiec, 2000.

*Magdalena ROSTRON*

## Inwestycje zagraniczne w Polsce

Potrzeby rozwojowe wymagają prowadzenia polityki sprzyjającej napływowi inwestycji zagranicznych. Ważnym elementem takiej polityki jest liberalizacja obrotów płatniczych. Otwieranie gospodarki, zwiększanie zakresu wymiennalności waluty, uelastycznianie polityki kursowej, powinno jednak następować stopniowo. Ekspert Banku Światowego i Międzynarodowego Funduszu Walutowego przestrzegają, aby dynamika tego procesu była uwarunkowana zdolnością gospodarki do utrzymania równowagi zewnętrznej w dłuższym okresie. Wielki deficyt naszego bilansu płatniczego wskazuje, że nie zachowano należytej ostrożności. Zbyt szybko i nad-

miernie zliberalizowano ograniczenia importowe a równocześnie zlekceważono konieczność prowadzenia polityki proeksportowej. Polityka kursu walutowego została całkowicie podporządkowana zwalczaniu inflacji. Przedwcześnie dopuszczono cudzoziemców do rynku papierów skarbowych. W przyjętym systemie napływ inwestycji i lokat zagranicznych powoduje silną, w istniejącej sytuacji płatniczej szkodliwą aprecjację złotego. W latach 1993-1998 realny efektywny kurs złotego wzrósł o 35%. W tym samym czasie następował galopujący wzrost deficytu handlowego (z - 2,2 mld dol. w 1993 r. do - 18,8 mld dol. w 1998 ) i w rezultacie głęboki deficyt bilansu obrotów bieżących. Brak polityki proeksportowej oraz niewłaściwa polityka kursowa wpływała również bardzo niekorzystnie na strukturę inwestycji zagranicznych.

Główną przyczyną narastania ujemnego salda obrotów bieżących jest pogłębiający się deficyt handlowy. Ponad 60 proc. tego deficytu powstaje w działalności spółek z kapitałem zagranicznym (SKZ). W latach 1994-1999 ich ujemne saldo w obrotach z zagranicą wzrosło z 2,8 mld dol. do 11,5 mld dol. Już tylko ten fakt nakazuje badanie związków jakie zachodzą w naszej gospodarce między inwestycjami zagranicznymi a bilansem płatniczym. Pogorszeniu ulegają jednak także inne pozycje bilansu obrotów bieżących. W dwu z nich, usługach i dochodach, negatywne zmiany mają bezpośredni związek z działalnością SKZ. Szczególnie gwałtownemu pogorszeniu ulega saldo usług. Jeszcze w 1997 było dodatnie i wynosiło 305 mln dol., w 1998 zamieniło się w ujemne - 508 mln dol. W 1999 roku deficyt w obrotach usługami wyniósł aż 1.623 mln dol. Główną przyczyną pogarszania salda usług jest szerokie korzystanie przez SKZ z różnego rodzaju usług finansowych, ubezpieczeniowych, handlowych, doradztwa prawnego i rachunkowego, leasingu operacyjnego oraz usług budowlanych świadczonych przez firmy zagraniczne.

Ujemne i pogarszające się saldo dochodów odzwierciedla natomiast rosnące transfery dochodów z zagranicznych lokat portfelowych oraz wysoką skłonność do repatriacji zysków z



inwestycji bezpośrednich. Przekazy z tytułu lokat portfelowych wzrosły z 391 mln dol. w 1995 r. do 948 mln. w 1998. Transfer dywidend zwiększył się w tym samym czasie ze 155 mln. dol. do 466 mln.

Oto zestaw innych danych charakteryzujących działalność SKZ w interesującym nas aspekcie. W 1998 r. przychody SKZ wzrosły z 22,6% w 1997 r. do 26,8% przychodów wszystkich podmiotów gospodarki narodowej. SKZ mają wyższą skłonność do eksportu niż przedsiębiorstwa z kapitałem wyłącznie krajowym, jednak udział eksportu w ich przychodach nie jest wysoki. W 1997 r. wynosił 13,8% przychodów z całokształtu działalności wobec 9% w spółkach krajowych. Znacznie wyższy jest natomiast stosunek importu do wartości przychodów SKZ. W 1998 r. wynosił 32 grosze na 1 złoty przychodów. W latach 1997-1999 SKZ pokrywały eksportem tylko 52,5-55% swojego importu. W obrazie struktury importu SKZ zwraca natomiast uwagę niższy udział importu inwestycyjnego w ich imporcie ogółem niż w firmach krajowych. Odwrotnie import konsumpcyjny SKZ jest wyższy.

Zdumiewający obraz daje zestawienie wskaźników ekonomicznych dla SKZ i ogółu podmiotów.

Jednym z głównych czynników, jaki zazwyczaj decyduje o ostatecznym wyniku działalności jest wydajność pracy. Otóż w 1997 r. w SKZ wydajność pracy mierzona przychodem na jednego zatrudnionego była 1,8 raza wyższa od przeciętnej dla ogółu podmiotów w gospodarce narodowej. Tymczasem w 1997 r. w SKZ wszystkie wskaźniki określające wyniki ekonomiczne były gorsze niż w całości gospodarki, co oznacza, że w stosunku do podmiotów będących własnością kapitału krajowego były jeszcze gorsze.

W latach 1997 i 1998 zysk netto wykazywała niecała połowa SKZ (48%). Odpowiedni odsetek dla wszystkich podmiotów w gospodarce wynosił w 1997 r. 64%, a w 1998 65,7%. W 1997 r. SKZ wykazały straty w wysokości 1 mld 178 mln dol. a w 1998 1 mld 698 mln dol. W rezultacie kwota reinwestowanych zysków w 1997 r. była bardzo niska a w 1998 ujemna i wyniosła - 264 mln dol. Analizy NBP wskazują, że od 1996 r. transfery dochodów SKZ za granicę wzrastają a reinwestowane zyski maleją.

Jeśli SKZ mają lepszą organizację pracy i nowocześniejszy potencjał techniczny niż pozostałe podmioty a przez to wyższą wydajność pracy niż firmy krajowe i równocześnie ich wyniki ekonomiczne są gorsze od firm krajowych, to oczywiście mamy tu niewątpliwie do czynienia z praktyką ukrytego wyprowadzania dochodów za granicę. Dokonuje się to za pomocą stosowania cen transferowych czyli zawyżania wartości dostaw importowych z firm macierzystych i zaniżaniu cen eksportowych oraz obciążaniu działalności SKZ różnego rodzaju opłatami za tzw. wartości niematerialne i różne „usługi” na rzecz zagranicznych właścicieli. Bardzo szeroko SKZ praktykują wypłacanie pensji swych zagranicznych zarządców za granicą, co również powinno być kwalifikowane jako stosowanie nielegalnych transferów, gdyż jest to wynagrodzenie za pracę świadczoną w Polsce a więc podlegające lokalnemu opodatkowaniu.

W 1997 i 1998 r. jedną trzecią wpływów określanych jako inwestycje bezpośrednie stanowiły kredyty udzielane SKZ przez ich udziałowców zagranicznych. Szacunki dla lat 1999-2000 wskazują silny wzrost tych kredytów. Następstwem wzrostu zadłużenia SKZ jest bardzo wysoka kwota odsetek zapłaconych wspólnikom zagranicznym przez SKZ. W 1998 r. ich wartość wyniosła 408 mln dol. i była wyższa o 62% w stosunku do odsetek zapłaconych w 1997 r. Jest to prawdopodobnie dodatkowy kanał nielegalnego sposobu repatriacji zysków.

W pewnym przybliżeniu można też określić wpływ działalności inwestorów zagranicznych na zatrudnienie. Otóż według szacunków Instytutu Koniunktur i Cen HZ nasz bilans przepływu pracy z Unią Europejską, wynikający z obrotów handlowych, wynosił w 1998 r. minus 380 tysięcy miejsc pracy. Deficyt handlowy wynikający z działalności SKZ jest zbliżony do deficytu handlowego w obrotach z UE. A zatem można przyjąć, że SKZ kreują bezrobocie w Polsce w podobnej skali (w odpowiedniej części jest ono ujęte w rachunku przepływu pracy między Polską a UE).

Celem wyjaśnienia korzyści i zagrożeń z bezpośrednich inwestycji zagranicznych odzwierciedlonych w bilansie



płatniczym podzielimy je na dwa rodzaje. Pierwszy to inwestycje motywowane zwiększeniem globalnej konkurencyjności inwestującej firmy. Drugi rodzaj to inwestycje motywowane wyłącznie zapewnieniem udziału w naszym rynku.

Analiza bilansu płatniczego jednoznacznie potwierdza, że w strukturze inwestycji zagranicznych w Polsce zbyt mały jest udział inwestycji pierwszego rodzaju. Inwestycje te podejmowane są po stwierdzeniu, że ulokowanie produkcji w danym kraju ze względu na szeroko pojęte koszty produkcji i dystrybucji pozwoli na umocnienie pozycji inwestującej firmy na rynku międzynarodowym. Decyzja o inwestycji tego rodzaju musi oznaczać równoczesne przeniesienie najnowszych dostępnych firmie technologii produkcyjnych i technik zarządzania. Rynkiem zbytu ma być bowiem wysoce konkurencyjny rynek międzynarodowy. Jeśli inwestycja przynosi inwestorowi spodziewane korzyści i uzna on, że warunki, które przesądziły o jej lokalizacji są nadal korzystne, to będzie skłonny do reinwestowania zysków i poszerzania swej działalności. Celem minimalizacji kosztów inwestor tego rodzaju stara się też rozwijać kooperację z firmami lokalnymi. W takich właśnie przypadkach kraj przyjmujący inwestora zagranicznego odnosi wszystkie zasadnicze korzyści: działa efekt modernizacji, zwiększa się zatrudnienie, eksport i dochody podatkowe. I przez to właśnie firma zagraniczna staje się faktycznie firmą krajową, chociaż formalnie należy do kapitału obcego. W oczywisty sposób napływowi inwestycji tego rodzaju dobrze służy silnie proeksportowa polityka gospodarcza a szczególnie ochrona realnego kursu walutowego przed aprecjacją, która winduje koszty produkcji.

Inwestycje, których zasadniczym motywem jest udział w rynku lokalnym, polegają głównie na tworzeniu sieci dystrybucyjnej, a ich element produkcyjny często sprowadza się tylko do konfekcjonowania importowanego produktu finalnego lub składania jego części. Inwestycje takie w bardzo małym stopniu są powiązane z transferem nowej technologii produkcyjnej i mają małą skłonność do reinwestycji. Miejsca pracy w inwestycjach tego rodzaju powstają w dużej części kosztem przejmowania pracowników zwalnianych przez firmy krajowe, które zostały wyrugowane z rynku. Często nieuczciwa konkurencja ze strony inwestorów zagranicznych, bądź

ich wielka przewaga kapitałowa, eliminuje całkowicie lokalnych producentów. Tym z kolei inwestycjom sprzyja polityka prowadząca do realnej aprecjacji waluty kraju inwestowania, która powoduje potanie importu i relatywny wzrost siły nabywczej. Inwestycje zagraniczne tego rodzaju ze swej istoty pogłębiają deficyt handlowy i płatniczy. Nie znaczy to, że inwestycje te nie przynoszą żadnych korzyści. Ich obecność zwiększa nacisk konkurencyjny na producentów krajowych wymuszający modernizację. Konsumenci otrzymują nowe i lepsze produkty.

Uwagę poświęcić należy także zagranicznym lokatom portfelowym. Obecnie nasza gospodarka z dopuszczenia cudzoziemców do rynku papierów skarbowych ponosi poważne straty. Informacje o nich zawarte są w dwu bilansach. Bilans płatniczy państwa wykazał w 1998 r. transfer dochodów z inwestycji portfelowych w wysokości prawie miliarda dolarów. Bilans działalności NBP w tym samym roku wykazał koszty brutto z tytułu operacji otwartego rynku w wysokości 5,3 mld złotych. Koszt netto tych operacji szacuje się na 30% deficytu budżetowego.

Analiza związków zachodzących między inwestycjami zagranicznymi a bilansem płatniczym potwierdza, że ważnym warunkiem kształtowania korzystnej struktury inwestycji zagranicznych jest silna polityka proeksportowa, której istotnym elementem musi być ochrona realnego kursu walutowego przed aprecjacją. To oczywiście nie wystarczy. Podstawowymi warunkami silnego napływu korzystnych bezpośrednich inwestycji zagranicznych i uzyskania wszystkich pozytywnych efektów tych inwestycji jakich teoretycznie można oczekiwać, jest uruchomienie szybkiego wzrostu wydajności pracy oraz stała poprawa jakości infrastrukturalnego i kooperacyjnego otoczenia. Dla spełnienia tych warunków konieczne są własne inwestycje w rozwój nauki, edukacji oraz infrastruktury transportowej i informatycznej.



Należy powtarzać uporczywie, że najważniejszymi czynnikami rozwoju we współczesnym świecie są nauka i wykształcenie, a najważniejszym czynnikiem funkcjonalnym gospodarki jest infrastruktura komunikacyjna, transportowa i informatyczna. Należy żądać aby własne inwestycje w tych dziedzinach stały się rzeczywistym, bezwarunkowym priorytetem naszej polityki gospodarczej.

Jeśli polska nauka przyczyniać się będzie do powstawania nowych technologii, a ich wdrażanie będzie można powierzyć dobrze wykształconym, wydajnym polskim inżynierom, ekonomistom i robotnikom, to firmy krajowe będą nie tylko coraz atrakcyjniejszymi partnerami zagranicznych inwestorów ale ułatwiona też będzie ich ekspansja zarówno krajowa jak i zagraniczna. Znacznie bardziej otwarte staną się też wszystkie drogi awansu dla Polaków pracujących w firmach zagranicznych. Będziemy wtedy czuć się bardziej gospodarzami we własnym domu.

Jędrzej KRAKOWSKI

Dane statystyczne pochodzą lub są obliczone na podstawie opracowań Instytutu Koniunktur i Cen Handlu Zagranicznego: Polski Handel Zagraniczny, Polska Polityka Handlu Zagranicznego, Inwestycje Zagraniczne w Polsce z lat 1994-2000, GUS Działalność gospodarcza spółek z udziałem kapitału zagranicznego w 1997 r., wyd. 1998, NBP Zagraniczne inwestycje bezpośrednio w Polsce w 1997 i w 1998 roku, wyd. z 1998 i 1999 r., Bilans płatniczy na bazie transakcji oraz bilans aktywów i pasywów zagranicznych Rzeczypospolitej Polskiej za 1998 rok, wyd. 1999 r., Bilans płatniczy Rzeczypospolitej Polskiej za I półrocze 1999 roku, wyd. 1999, a także Kosztowne operacje otwartego rynku, *Rzeczpospolita*, 5.7.1999.

## Wywiady „Kultury”

### W tym domu jest Polska

Z MARIĄ DANILEWICZ ZIELIŃSKĄ  
ROZMAWIA STANISŁAW BEREŚ

STANISŁAW BEREŚ: – *Jeśli dobrze liczę, mieszka Pani w Portugalii już dwudziesty siódmy rok. Ale kiedy Pani przyjechała tutaj w 1973, nie była to pierwsza bytność Pani w tym kraju?*

MARIA DANILEWICZ ZIELIŃSKA: – Pierwszy raz przyjechałam do Portugalii w lecie 1942 roku, w czasie wojny. Upadek Francji w 1940 roku odciął mnie od świata i przez dwa lata przebywałam w schronisku PCK w Sabaudii. To był dla mnie bardzo ciężki okres. Później, dzięki staraniom mojego pierwszego męża, Ludomira Danilewicza, dostałam się wraz z nim do Anglii, *via* Hiszpania i Portugalia. Podczas pobytu w Portugalii, który trwał kilka miesięcy, pracowałam w ataszacie prasowym poselstwa polskiego w Lizbonie (nie było jeszcze wtedy ambasady, tylko poselstwo). Zajmowałam się przekładami wiadomości politycznych z pism francuskich i niemieckich. Ich kupno nie nastroczało trudności, gdyż Portugalia była krajem neutralnym. Sporządzony materiał wysyłaliśmy do Londynu, do Ministerstwa Informacji i Dokumentacji.

S.B.: – *Jakie wrażenie robiła Portugalia w czasie wojny?*

M.D.Z.: – *Zbiegały się w niej wszystkie siatki szpiegowskie.*



W Lizbonie, która była punktem przeładunkowym, wprost roilo się od Niemców, obserwujących, co się dzieje. Portugalia nie robiła im wstrętów, a nawet przeciwnie, szła im na rękę. Polacy stanowili liczną, ale nie najliczniejszą grupę napływową. Najliczniej przybywali Żydzi z krajów Europy Środkowej: Austrii, Czech, którzy liczyli na możliwość wyjazdu do Stanów Zjednoczonych. Izraela jeszcze wtedy nie było, więc kierowali się do Ameryki.

S.B.: – *Czy miała Pani wtedy okazję poznać Portugalczyków, ich mentalność, sposób reagowania na obco-krajowców?*

M.D.Z.: – Ich stosunek do Polaków był wtedy bardzo przyjazny. Portugalczycy nas lubili, a ich prasa z okresu wojny roi się od wzmianek o Polakach. Jedną z pierwszych wiadomości o Katyniu, i to z przypisaniem mordu właściwemu sprawcy, pojawiła się właśnie w Portugalii. Mój późniejszy drugi mąż, Adam Zieliński, był wtedy *attaché* prasowym poselstwa i kierownikiem placówki Ministerstwa Informacji i Dokumentacji. Przez poselstwo przechodziły pisma i książki niemieckie ze Szwajcarii. Dostarczaliśmy najświeższe publikacje niemieckie (zarówno prasę jak i książki) do Biblioteki Ministerstwa Dokumentacji i Informacji w Strattonie<sup>1</sup>. Pikantnym szczegółem jest to, że zakupem tych książek w Szwajcarii, a także ich dobozem, zajmował się Aleksander Bobkowski, stryj sławnego autora „Szkiców piórkiem”, spokrewniony z prezydentem Mościckim.

S.B.: – *Czy wtedy, w 1942 roku, zdarzyło się Pani pomyśleć, że ten kraj będzie Pani przeznaczeniem, że to jest miły kraj, w którym warto byłoby zostać?*

M.D.Z.: – Kiedy wyjeżdżałam z Portugalii do Anglii, nic podobnego nie przyszłoby mi do głowy. Myślałam, że żegniam się z nią raz na zawsze. Adresem docelowym wtedy wydawała mi się Anglia.

1. Stratton House – londyńska siedziba części agend rządu na uchodźstwie.

S.B.: – *Jak to się zatem stało, że po 31 latach mieszkania w Londynie przeprowadziła się Pani do Lizbony?*

M.D.Z.: – To przypadek. Owdowiałam i bardzo chciałam zmienić otoczenie. Miałam dość Wielkiej Brytanii. Wraz z mężem stworzyliśmy w Wembley dom, w którym byliśmy bardzo szczęśliwi. Ale kiedy Ludomir nagle umarł, byłam w depresji i nie mogłam tam wręcz wytrzymać. Pomyślałam wtedy, żeby wyjechać do Australii. Nie wiem dlaczego wyobraziłam sobie, że byłoby mi tam dobrze. Kiedy skonfrontowałam jednak te swoje wyobrażenia z Marią Budzyńską, która spędziła tam kilka lat, doszłam do wniosku, że byłam na złym tropie.

Za namową koleżanki postanowiłam więc wyjechać na jakiś czas. W biurze turystycznym poradzono nam Portugalie. Pobyt w tym kraju był wtedy popularny i niedrogi. I tak przyjechałyśmy tutaj. Wkrótce odnalazłyśmy znajomych z czasów wojennych. W ten sposób odnowiłam znajomość z moim dawnym szefem, Adamem Zielińskim, który w międzyczasie ożenił się i owdowiał. Szybko okazało się, że mamy wspólne zainteresowania książkowe i kolekcjonerskie. Na dodatek doszliśmy do wniosku, że jego i moje wdowieństwo mają dużo wad. Postanowiliśmy więc wziąć ślub. I tak właśnie znalazłam się pod tym adresem.

S.B.: – *Jak wyglądało to miejsce, kiedy przyjechała tu Pani z Anglii? Ten dom już stał czy został zbudowany?*

M.D.Z.: – Dom zbudował Adam. Kiedy przyjechałam, już stał i od tamtego czasu niewiele się w nim zmieniło.

S.B.: – *Ta imponująca ilość map, to efekt zainteresowań Pani czy męża?*

M.D.Z.: – Adam zaczął zbierać mapy już w Polsce. Większość z nich została już przekazana do Biblioteki Zamkowej w Warszawie, a reszta czeka na swoją kolej<sup>2</sup>.

2. W chwili obecnej cała kolekcja map znajduje się już w zbiorach Zamku Królewskiego w Warszawie, gdzie została udostępniona publiczności.



S.B.: – *Jak wyglądała ta okolica w 1973 roku? Domyślam się, że tych wszystkich domów, które tu obecnie widzę, wtedy jeszcze nie było?*

M.D.Z.: – To była wieś. Nie było szosy, tylko droga polna, przez którą przechodziły stada owiec i kóz. Były one specjalnością tej okolicy. Zaprzyjaźniona z nami Portugalka, Esmeralda, przepędzała przez mój obecny ogród swoje stada. Było bardzo sielsko. Adam chciał wyobcować się, mieć swój kawałek ziemi, kawałek Polski. Zamienił więc mieszkanie w mieście na działkę i chałupniczym sposobem, przy pomocy jakiegoś majster-kleпки, wybudował dom. Stąd jego różne wady techniczne.

S.B.: – *A kto zajmuje się tym przepięknym, wielkim ogrodem?*

M.D.: – To wszystko zostało zasadzone ręką Adama. Kiedy się jedzie w kierunku Secimbry, eukaliptusy widać już z drogi. Ktoś powiedział, że ten widok przypomina dom starego Jolyona z „Sagi rodu Forsythów” – wzgórze, otoczone ogrodem, a na górze dom.

S.B.: – *Kwiaty rosną tu bardzo bujnie, więc trudno nie zapytać, jak kwitnie wśród nich twórczość właścicielki tego domu? Tak długo jest Pani poza krajem. Jak się Pani czuje w tej samotni?*

M.D.: – Jest przyjazna. Bardzo mi się podoba tutejszy klimat. Ludzie są życzliwi i spokojni, a ja mam dobre stosunki z tutejszym otoczeniem. Gospośia, którą Pan widział, pracuje u mnie od siedemnastu lat, António zaś był już przy budowie domu. Znam tu wszystkich okolicznych sąsiadów. Jednak moje otoczenie to mgławica, która jest mi przyjazna, ale w której się nie zakorzeniłam. W tym domu jest Polska. Każdego dnia czekam na pocztę. Prowadzę olbrzymią korespondencję. To mnie właściwie trzyma przy życiu, zwłaszcza gdy owdowiałam po raz wtóry i zostałam sama. Kontakt listowny jest dla mnie czymś niezwykle ważnym.

S.B.: – *Każdy twórca próbuje wyssać jakby soki z otoczenia, w którym przebywa. Pani zajmuje się czymś tak dziwnym jak literatura polska, mieszkając w Portugalii. Czy te dwie rzeczy składają się w całość?*

M.D.Z.: – Po przyjeździe do Portugalii zaczęłam interesować się historią i literaturą portugalską. Napisałam wtedy czterdzieści kilka felietonów dla Radia Wolna Europa na temat poloników portugalskich. Potem się jednak do tego zraziłam, ponieważ nie udawały mi się kontakty z naukowcami portugalskimi. Adam miał wprowadzić przyjaciół wśród historyków, ale nie znalazłam u nich zainteresowania dla swoich badań, do których potrzebowałam pomocy i kontaktów naukowych. Później zaczęłam pisać „Szkice o literaturze emigracyjnej” i to zdecydowało, że odeszłam całkowicie od tematyki portugalskiej. Może zresztą są temu winni sami Portugalczycy, którzy nie dbają o badania historyczno-literackie. Najważniejsze prace są dziełem cudzoziemców, którzy pracowali na portugalskich uniwersytetach, wykonując za nich czarną robotę edytorską. Obecnie sytuacja się zmienia na lepsze, ale bardzo powoli, bo wyższe uczelnie są źle wyekwipowane, personel kiepsko płatny, a studenci narzekają.

Stąd moje zainteresowanie literaturą portugalską jest obecnie znacznie mniejsze niż dziesięć lat temu, choć niektórzy pisarze portugalscy bardzo mnie pociągają, np. Pessoa, Saramago, a także ciekawy poeta José Andrade. Czytam ich z przyjemnością, jednak o wiele bardziej interesuje mnie literatura francuska. W ostatnich latach bardzo dużo czytam po francusku.

S.B.: – *Mieszkała Pani w kilku krajach. Czy dzieli Pani swoją twórczość na okresy w zależności od miejsc zamieszkania? Czy stała się Portugalia dla Pani twórczości?*

M.D.Z.: – Pisałam tu „Szkice o literaturze emigracyjnej”. Było to możliwe dzięki temu, że mój mąż zgromadził duży księgozbiór emigracyjny (był bibliofilem i zażartym czytelnikiem). Ja miałam także niemałą kolekcję książek wydanych poza krajem, zwłaszcza w Londynie. Gdy przenosiłam się z



Anglii do Portugalii, przywiozłam ze sobą trzydzieści skrzynek książek. W połączeniu z biblioteką Adama, była to solidna podstawa do opracowania zarysu historii literatury emigracyjnej. Pracowało mi się idealnie, dlatego że tutaj jest absolutna cisza i swobodna gospodarka czasem. W Londynie byłam skazana na podróże z Wembley do biblioteki, wiecznie spóźniającymi się pociągami, w tłoku i na stojąco. Dotąd mi się śni, że przesiadam się na Baker Street i mam jakieś kłopoty z metrem, albo że psują się ruchome schody.

S.B.: – *Kiedy wyjeżdżała Pani w 1939 roku z kraju, była Pani wojennym uchodźcą, w 1945 stała się Pani emigrantką. Kim jest Pani dzisiaj?*

M.D.Z.: – Nigdy nie byłam uchodźcą. W moim przypadku można mówić jedynie o ewakuacji. Do 1989 roku byłam emigrantem politycznym, a teraz jestem Polką, mieszkającą poza krajem. Do chwili upadku komunizmu w Polsce byłam „siłą antysocjalistyczną”, współpracowniczką Radia Wolna Europa i paryskiej *Kultury*. Nie mogłam nawet marzyć o uzyskaniu wizy. Kolega z *Kultury*, Gustaw Herling-Grudziński, przez wiele lat starał się bardzo intensywnie o to, aby pojechać do Polski. Okazało się to jednak niemożliwe przed 1989 rokiem. Kiedy natomiast przede mną otworzyły się w końcu możliwości wyjazdu do Polski, miałam obłożnie chorego męża, którego pielęgnowałam i nie opuszczałam. Nie chciałam go tutaj zostawić. A później, czyli 6-7 lat temu, kalendarz się przeciw mnie zbuntował i okazało się, że jestem już tak stara, że nie stać mnie na wysiłek fizyczny, który wiąże się z tak wielką podróżą. No i nie ma już w tej chwili w Polsce takiego adresu, takich drzwi, przed które mogłabym zajeżdżać...

S.B.: – *A czy zdarza się Pani pomyśleć, że staje Pani znowu na progu swego domu w Aleksandrowie Kujawskim?*

M.D.Z.: – Ludowa mądrość mówi, że na starość przypominają się młode lata. Częściej, niż to zdarzało się dawniej, jakieś drobiazgi kojarzą mi się z rodzinnym miasteczkiem, z jakimiś zdarzeniami z dzieciństwa. To mi się śni i przypomina, niezależnie od woli.

S.B.: – *A czy o wizycie w Aleksandrowie Kujawskim myślała Pani z niepokojem?*

M.D.Z.: – Ze strachem. Jurkowie<sup>3</sup> nakręcili mi film w Aleksandrowie. Widziałam więc jak wygląda mój rodzinny dom i okolica. Był to widok, którego nie mam ochoty oglądać na własne oczy. Nie wracałabym już do korzeni, ale zupełnie gdzie indziej, do miejsc, z którymi nie wiążą mnie już raczej wspomnienia. Kilkoro znajomych, na moją prośbę, odwiedzało Aleksandrów. Pamięć o rodzicach całkiem już tam wygasła, byłabym tam tylko przybyszem ze świata, który przeminął.

S.B.: – *Czytając Pani książki, zwróciłem uwagę, że w swojej prozie nie opuszcza Pani świata swojego dzieciństwa. Ciągłe jesteście w Aleksandrowie lub we Włocławku...*

M.D.Z.: – Żeby to zrozumieć, trzeba sięgnąć do początku moich pisanin, moich opowiadań. Londyn, wojna, 1943 rok. Pewnej niedzieli spotkaliśmy się u Słonimskich na popołudniowej herbatce. Antoni gromadził znajdujących się wówczas w Londynie ludzi pióra. W jego domu powstał projekt, aby każdy z nas przypomniał swoje strony rodzinne. Oczywiście mnie przypadły Kujawy i Aleksandrów.

S.B.: – *Czy ten projekt był jakoś związany z tomem „Kraj lat dziecińczych”?*

M.D.Z.: – To właśnie z takich wspomnień powstała ta książka. Znani pisarze opowiadali w niej o interesujących wydarzeniach, związanych z ich rodzinnymi stronami. Należy tu cykl wspomnień Karola Estreichera „Moda 1912 roku”, zawierający obraz Krakowa, zapamiętanego przez pięcioletniego wówczas Karolka. Ja napisałam opowiadanie pod tytułem „Od Tążyny”, które ukazało się w jednym z wczesnych numerów *Nowej Polski*. Powstało w schronie przeciwlotniczym, w czasie dyżurów strażackich. Na skutek spadających

3. Gabriela i Jerzy Słomkowie – przyjaciele pisarki, zamieszkali w pobliskim Estorilu.



masowo na Londyn bomb zapalających, niemal co noc w okolicach naszego schronu wybuchały pożary. Kiedy był spokój, siedziałam i opisywałam Aleksandrów. Długie nocne godziny, w czasie których moi angielscy partnerzy grali w karty, ja spędzałam z notatnikiem w ręce. Nikogo to zresztą nie dziwiło. Anglicy nie lubili mówić o wojnie, bombardowaniach, ofiarach i sytuacji na froncie. Najbardziej popularnym autorem był wtedy Dickens. To dość typowa ucieczka od terażniejszości w przeszłość. Dla mnie natomiast ucieczką było pisanie. Ponieważ opowiadanie spotkało się z bardzo miłym przyjęciem, zachęciło mnie to do pisania dalszych opowiadań kujawskich. Ten debiut prozatorski był dla mnie czymś bardzo ważnym i jestem wdzięczna Słonimskiemu za to, że namówił mnie do kontynuowania tych wspomnień.

S.B.: – *Jak bliska zażyłość łączyła Panią ze Słonimskim?*

M.D.Z.: – Poznałam go dopiero w Londynie, w 1942 roku, gdy stał się organizatorem i redaktorem miesięcznika *Nowa Polska*, który w pierwszej fazie wojny miał dopełniać *Wiadomości*. Współpraca tych pism trwała bardzo krótko. Większość współpracowników, w tym także ja, przestała w pewnym momencie zasilać łamy *Nowej Polski* ze względu na niefortunną zmianę politycznego oblicza periodyku.

W czasie, kiedy współpraca ze Słonimskim układała się dobrze, miałam okazję do częstego bywania w jego domu na bardzo przyjemnych niedzielnych spotkaniach. Działo się to w okresie, gdy w Anglii obowiązywało bardzo surowe racjonowanie żywności. Przychodząc, przynosiliśmy zatem zawsze coś, co się wtedy ceniło bardziej od czekoladek i od kwiatów, np. jedno jajko. Tu trzeba wyjaśnić, że racja przysługująca każdemu mieszkańcowi Anglii, wynosiła wtedy właśnie jedno jajko na tydzień. Pozbawiając się zatem tego przysmaku, składaliśmy w ten sposób hołd gospodarzom. Spotkania w ich domu były bardzo interesujące, ale warunkiem było nieporuszanie tematów politycznych.

S.B.: – *Jak Pani zniósła polityczną konwersję Słonimskiego? Zerwała Pani z nim współpracę, czy również znajomość?*

M.D.Z.: – Znajomość ze Słonimskim rozwijała się znakomicie, ale tylko do momentu, kiedy pismo nabrało obcego mi politycznie charakteru. Wtedy postanowiłam więcej do niego nie pisać. Ostatnim tekstem, który ogłosiłam w *Nowej Polsce* było wspomnienie o Krzemieńcu z maja 1939 roku (urządzałam tam wtedy wystawę Słowackiego). Gdy Słonimski namawiał mnie później do przysłania jakiegoś nowego tekstu, odpowiedziałam, że mogłabym pisać tylko o Krzemieńcu, a to nie jest pewnie temat, który mu obecnie odpowiada. W taki sposób wyłączyłam się z grona współpracowników *Nowej Polski*. Mijał rok po roku, a Słonimski oddalał się coraz bardziej od „emigrejtanów” londyńskich. W 1945 roku opowiedział się już zdecydowanie za nową rzeczywistością, a zatem komunizmem i znikł na krótko z naszych oczu. Zresztą już wcześniej przez dłuższy czas się z nami nie widywał. Rozstanie z nim było dla mnie bardzo bolesne, gdyż bardzo go lubiłam.

Ceniłam Słonimskiego jako poetę, felietonistę, i co może jest pewnym *novum*, jako rysownika. Miał za sobą lata studiów w Szkole Sztuk Pięknych, doskonale rysował i potrafił uchwycić podobieństwo. Przez długi czas przechowywałam serwetki z kawiarni z jego rysunkami, bardzo dobrze oddającymi jakąś sytuację. Przez długi czas nie tylko ja, ale i całe grono moich przyjaciół nie widywało Słonimskiego, który się zasztył w małej miejscowości niedaleko Londynu. Był wtedy (po r. 1945) przez kilka lat dyrektorem Instytutu Polskiego w Londynie.

Kiedy wrócił do Polski, po jakimś czasie zaczęły przychodzić jego teksty bardzo odmienne w stosunku do tych z okresu, kiedy gorliwie służył reżymowi. Jego nawrócenie się było czymś autentycznym i budziło szacunek. Słonimski zjawił się po dłuższej przerwie w Londynie i pewnego dnia, zupełnie niespodziewanie, zapukał do moich drzwi. Wszedł, przywitał się i oświadczył: „Teraz już możemy mówić o Krzemieńcu”. Dalej potoczyła się zwykła rozmowa, bez sytuacji konfliktowych.

S.B.: – *Wróćmy może do roku 1939. Jak to było z Pani wyjazdem z Polski? Z tego co wiem, była Pani ewakuowana wraz z kolumną rządową. Zastanawia mnie to, czy pra-*



*cownicy Biblioteki Narodowej byli objęci programem ochrony rządowej?*

M.D.Z.: – Mój mąż pracował dla Sztabu Głównego nad rozszyfrowywaniem Enigmy. Tacy specjaliści jak on byli pod obserwacją wywiadu niemieckiego. Szefowie Ludomira w Sztabie nakazali ewakuację całego działu. Do wyboru był Brześć Litewski albo Łuck. Ponieważ miałam wtedy intensywne kontakty z Krzemieńcem, gdzie organizowałam wystawę Słowackiego, wybraliśmy Łuck. Kiedy zjawiliśmy się w Krzemieńcu, wcześniej zresztą niż zjawił się tam rząd, zlikwidowałam wystawę Słowackiego, dzięki czemu uratowały się autografy „Balladyny” i listów Słowackiego do matki. Załadowałam eksponaty do skrzyń, w których przywieziono je z Warszawy, po czym złożyłam w kancelarii Liceum Krzemienieckiego. Zostawiliśmy je pod opieką kuratora, którym był wówczas Stefan Czarnowski. Dołożyłam do tego tekę z moją prawie ukończoną książką o losach Liceum Krzemienieckiego. Eksponaty uratowały się dzięki temu, że w czasie, kiedy Krzemieniec był okupowany przez Niemców, przyjechała po nie z Warszawy ekspedycja naukowa, której członkiem był prof. Stanisław Herbst i zaopiekowała się nimi.

S.B.: – *A co się stało po ataku sowieckim na Polskę?*

M.D.Z.: – Byliśmy już wtedy w Czerniowcach. Przekroczaliśmy granicę tego samego dnia co prezydent Mościcki i marszałek Rydz-Śmigły. To był straszliwy dzień.

S.B.: – *Jak to wyglądało, proszę opowiedzieć.*

M.D.Z.: – Jeden wielki korek na moście, przez który ciągnęły wozy wszelkiego autoramentu, przeplatane ciężarówkami. Jechałam razem z moim mężem, pracownikami Oddziału II Sztabu Głównego oraz pracownikami obsługującymi maszyny szyfrowe. Jechaliśmy względnie luksusowo, choć zatłoczonym samochodem, inni jechali ciężarówkami, często na stojąco. W końcu dojechaliśmy do Czerniowiec. Tak wyglądała ta nasza tragiczna noc z 17 na 18 września.

S.B.: – *Jak ludzie reagowali? Płakali czy trzymali się ostro?*

M.D.Z.: – Wszyscy byli śmiertelnie zmęczeni i zdumieni tym, jak serdecznie przyjmowali nas Rumuni. Jechałam w jednym samochodzie z kobietą w siódmym miesiącu ciąży. Kiedy znaleźliśmy się w Czerniowcach, miejscowa ludność dosłownie rozchwytywała nas do swoich domów i karmiła. Mną i tą ciężarną kobietą zajęła się pewna Żydówka, która miała na targu stragan z warzywami. Odstąpiła nam, czego nigdy nie zapomnę, swoje własne łóżko. Gdy w końcu, śmiertelnie zmęczone, usnęliśmy, około piątej rano obudziła nas filiżanką czarnej kawy. Chciała żebyśmy przed jej wyjściem do pracy napiły się jeszcze czegoś ciepłego. To był niezapomniany, piękny gest.

S.B.: – *Co działo się potem?*

M.D.Z.: – Przez trzy tygodnie byliśmy w Rumunii. W Bukareszcie panował potworny chaos. Przed poselstwem polskim tłoczyły się tłumy. Wszyscy starali się o wizy, umożliwiające dalszą podróż w kierunku Francji. Ponieważ mój mąż był oficerem rezerwy, podlegającym mobilizacji, zgłosił się u odpowiednich czynników w Bukareszcie. Dosyć wcześnie udało się nam dołączyć do kolumny pracowników linii lotniczych LOT i wraz z nimi dojechać do Paryża. Były to ostatnie dni października 1939 roku.

We Francji od razu skierowałam się do Biblioteki Polskiej w Paryżu, gdzie organizowało się biuro poszukiwania rodzin. Początkowo mieściło się ono na Wyspie św. Ludwika, później jednak się usamodzielniało i pod moim kierownictwem przeniosło w pobliże Champs Elysées. Był to dla mnie okres bardzo wydajnej, sensownej i pożytecznej pracy. Wyreklamował mnie stamtąd dopiero dyrektor Biblioteki Polskiej, z którym przygotowywaliśmy materiały na konferencję pokojową.

S.B.: – *O jakiej konferencji Pani mówi?*

M.D.Z.: – Myśleliśmy, że powtórzy się schemat pierwszej



wojny światowej i po zakończeniu działań militarnych będzie potrzebna dokumentacja. Praca w Bibliotece Polskiej trwała jednak bardzo krótko. W maju 1940 roku front zbliżył się do Paryża i powstała konieczność ewakuacji najcenniejszych zbiorów Biblioteki Polskiej. Dyrektor Pułaski miał małą posiadłość w okolicy Tuluzy. Zdobył ciężarówkę, na którą załadowaliśmy najcenniejsze rękopisy i pamiątki z muzeum Mickiewicza. Moja dalsza praca w bibliotece tym samym przestała mieć sens. Z kolei Ludomir nie dostał przydziału wojskowego, a ponieważ pracował w fabryce zbrojeniowej, którą deportowano do departamentu Corrèze, również i my się tam znaleźliśmy.

S.B.: – *Jaki jest Pani stosunek do obrazu francuskiej défaite w „Szkicach piórkiem” Bobkowskiego?*

M.D.Z.: – Opis jest w szczegółach wiarygodny, ale tendencja doboru tych szczegółów jest dla mnie nieprzyjemna.

S.B.: – *Widziałem reakcje Francuzów po opublikowaniu francuskiego przekładu „Szkiców piórkiem”. Byli wściekli i obrażeni. Uważali, że obraz Francji, która o godzinie 12.00 zasiada do obiadu, mimo że zbliża się front, jest groteskowy i nieprawdziwy.*

M.D.Z.: – Paryż masowo ewakuował się, ludzie pchali przed sobą wózki dzieciinne, wypełnione żywnością i sprzętami domowymi. W dodatku czynniki wojskowe zarządziły zaciemnienie Paryża. W dzień, przy pomocy środków chemicznych, wywołano wrażenie zmroku. Opuszczaliśmy Paryż przed południem, przy zaciemnieniu charakterystycznym w owym czasie dla godziny dziewiątej wieczorem. Francuzi traktowali zresztą te niedogodności dosyć sportowo. Troszczyli się, jak zwykle, głównie o żywność i wino.

S.B.: – *Wyczuwam wyraźną niechęć, gdy mówi Pani o Bobkowskim. Dlaczego?*

M.D.Z.: – Nie mogę zrozumieć, dlaczego wrócił do Paryża, okupowanego przez Niemców. Była tam wprawdzie jego żona,

ale przecież sensowniej byłoby ją stamtąd wyciągnąć. Natomiast on wrócił do pracy w fabryce, która była związana z przemysłem wojennym. Bobkowski Polakom, którzy nie wrócili do Paryża, miał to za złe. Ja osądzam to bardzo surowo.

S.B.: – *W okresie francuskim zaprzyjaźniła się Pani z Kazimierzem Wierzyńskim. Jeśli dobrze liczę, musiał to być ten okres, o którym teraz mówimy?*

M.D.Z.: – Mniej więcej. To było w 1940 roku w Nicei, gdzie mieszkaliśmy z Wierzyńskimi w bliskim sąsiedztwie. Z powodu wojny miasto było kompletnie wyludnione. Błąkaliśmy się tam z nadzieją, że przez granicę włoską łatwiej będzie wydostać się na świat. Nie udało się i rozjechaliśmy się w różne strony.

S.B.: – *Jak Wierzyński znosił tę niepewną sytuację?*

M.D.Z.: – Był kompletnie załamany. W lecie 1940 roku nie powstał żaden jego wiersz, zupełnie złamał pióro. Jedynym przejawem działalności pisarskiej było wydrukowanie przez niego w amatorskiej pracowni typograficznej Samuela Tyszkiewicza poematu „Barbakan warszawski”. W historii Francji lato 1940 roku było okresem szczególnie tragicznym. Sytuacja gospodarcza i polityczna zmieniła się drastycznie, mieliśmy trudności żywnościowe, wręcz głodowaliśmy. Nagle zamknęły się wszystkie stragany i sklepiki. Tylko wczesnym rankiem w Nicei na starym mieście, na rynku, można było starać się o zdobycie jakiś prymitywnych środków żywności. Pewnego dnia, o piątej rano, ja z mężem i Wierzyński wyruszyliśmy po ryż dla ptactwa. Był to pomysł Wierzyńskiego, który zrodził się stąd, że kupno ryżu jadalnego było niemożliwe. Pamiętam go, obciążonego workiem ryżu, który później wspólnie przepłukiwaliśmy przed gotowaniem. To zabawne, że właśnie on – poeta – wpadł na tak praktyczny pomysł kupna ryżu do karmienia drobiu, podczas gdy Francuzom nie przyszło to do głowy.

S.B.: – *Ciekawe, że to właśnie wspomnienie przyszło Pani na myśl w związku z Wierzyńskim.*



M.D.Z.: – Inne wspomnienia sięgają bowiem aż roku 1968 i poprzedzają o kilka miesięcy jego śmierć. Były to jego ostatnie wakacje. Nic nie zapowiadało zbliżającej się katastrofy. Jak zawsze wyglądał młodo, poruszał się niesłuchanie żwawo i energicznie. Na naszej ostatniej wspólnej fotografii oboje Wierzyńscy i ja maszerujemy w wakacyjnym nastroju wzdłuż Lago Maggiore w Locarno. Wybraliśmy się tam na wyprawę z powodu Hemingwaya, którego Wierzyński był fanatycznym wielbicielem. Czytał wszystkie jego książki, komentował. Wpadliśmy więc na pomysł, aby odbyć wycieczkę trasą opisaną w „Pożegnaniu z bronią”. Bohater powieści, wraz z narzeczoną, sanitariuszką angielską, odbywa podróż ze Stresy do Brindisi, przekraczając na Lago Maggiore granicę, dzielącą Włochy od Francji. Postanowiliśmy więc odbyć tę samą trzydziestokilometrową trasę, żeby sprawdzić wiarygodność Hemingwaya. Nie zawiedliśmy się. Wierzyński odtwarzał powieść całymi stronami. Opisałam później tę wyprawę w opowiadaniu „Włoska wyspa poety” i przechowuję w pamięci jako ostatnie wakacje spędzone w towarzystwie Wierzyńskich. W dniu śmierci Kazimierz zatelefonował do mnie z pytaniem, czy ośmiornice mają macki czy ramiona. Na jego prośbę sprawdziłam w encyklopedii. Okazało się, że informacje te były mu potrzebne do wiersza, wchodzącego w skład przygotowywanego do druku tomu „Sen mara”. To była nasza ostatnia rozmowa.

S.B.: – *Wybiegliśmy trochę w przyszłość. Wróćmy więc do roku 1940. Później znalazła się Pani w Sabaudii. Mówiła Pani, że był to jeden z najbardziej jałowych okresów w Pani życiu. Dlaczego?*

M.D.Z.: – Mieszkałam w schronisku, w którym było ok. 200 osób. Zbieranina. Pół- i ćwierćinteligenci. Beznadziejna nuda i czarnowidztwo. Byłam zupełnie odcięta od książek, a nawet od cywilizacji. Pędziłam tam jałowe życie, wegetowałam. Razem ze mną znalazł się tam kierownik czytelnicy Biblioteki Polskiej w Paryżu, Szymberski, imienia już nie pamiętam. Reagował podobnie. Był autorem jakichś młodopolskich dramatów. Dziwak. Towarzyszyła mu żona – malarka, bardzo zresztą utalentowana. Oboje zmarli w owym Aix-les-Bains po naszym wyjeździe.

S.B.: – *W jaki sposób wydosłała się Pani z Sabaudii?*

M.D.Z.: – Stowarzyszenie Techników Polskich w Wielkiej Brytanii już w czasie wojny starało się o ściągnięcie z kontynentu fachowców, którzy mogliby się przydać w Polskich Siłach Zbrojnych. Mój mąż znalazł się w tej grupie. W konsulacie amerykańskim w Lyonie otrzymaliśmy wizę do Portugalii na pół roku. Ponieważ uważano, że przejazd koleją przez punkt graniczny nie jest bezpieczny, przeszliśmy przez Pireneje na piechotę.

S.B.: – *A w jaki sposób przemierzyła Pani Hiszpanię? To bardzo wielki kraj...*

M.D.Z.: – Doszliśmy do małej stacyjki w pobliżu granicy, a z niej pojechaliśmy do Madrytu, gdzie zostaliśmy przez dwa tygodnie, czekając na dalsze możliwości. Byliśmy pod opieką wywiadu amerykańskiego. Zajadaliśmy się wtedy czym się dało, bo byliśmy bardzo wygłodzeni; tak bardzo, że góruje to we wspomnieniach nawet nad wrażeniami z widoku zniszczeń z wojny domowej i pustych muzeów. Portugalia, do której dostaliśmy się później, była dla nas istnym rajem. Kiedy miałam do wyboru wspaniały tort albo kartofle, wybierałam to drugie. Kartofli brakowało mi bardziej niż chleba.

S.B.: – *Ile czasu spędziła Pani wtedy w Portugalii?*

M.D.Z.: – Niespełna cztery miesiące. Wtedy właśnie pracowałam w ataszacie prasowym poselstwa. Był tam Adam Zieliński, którego znałam z Polski i Pia Popiel, jego przyszła żona, a równocześnie moja koleżanka bibliotekarka. Lizbona wyglądała wtedy zupełnie inaczej. Była zamożną stolicą państwa neutralnego.

S.B.: – *W jaki sposób zorganizowano Państwa przerzut do Wielkiej Brytanii?*

M.D.Z.: – Portugalia oficjalnie utrzymywała kontakty z Irlandią. Poleciliśmy więc wodnopłatowcem z Lizbony do Irlandii, gdzie przesiedliśmy się na wojskowy samolot



angielski. Wtedy jednak spotkała mnie wielka przykrość, ponieważ rozdzielono mnie z Ludomirem, którego zabrano do tzw. *patriotic school*. Przetrzymano tam przybyszów z kontynentu. Mnie (samą!) odesłano do Londynu. Dojechałam tam w sobotę po południu. Nie miałam pieniędzy, jedynie adres hotelu, w którym gromadzili się Polacy. Ulokowałam się w nim i wykąpałam, co było wielką atrakcją. W niedzielę rano konsulat był zamknięty. Dowódcą sił lotniczych w Anglii był brat prof. Ujejskiego, którego trochę znałam. Zaopecował się mną i dał parę groszy na początek angielskiej egzystencji. Po rozmowie z nim wybrałam się na zwiedzanie Londynu. W Hyde Parku natychmiast zainteresowała się mną policja, ale na szczęście mnie nie zatrzymano. Następnego dnia już pracowałam w biurze Funduszu Kultury Narodowej, gdzie miałam skierowanie. Od tego dnia byłam urzędniczką. Dostałam zaliczkę w wysokości 30 funtów i Marysia Telcówna, która tam pracowała, namówiła mnie na założenie konta w Midland Banku, abym nie nosiła przy sobie pieniędzy. Dotąd mam to konto. Po 50 latach dostałam od dyrekcji banku z tej okazji gratulacje. Miało to zresztą praktyczne skutki, ponieważ kiedy kupowaliśmy dom w Wembley, urzędnik, który mnie wtedy rejestrował, umożliwił mi otrzymanie bardzo dogodnego kredytu.

S.B.: – *Pani opowiadania „londyńskie” w większości mają tonację pesymistyczną. Po prostu źle się kończą. W tamtym czasie natomiast istniało zapotrzebowanie na literaturę heroiczną, typu „Dywizjon 303”. Rozumiem, że stawiała Pani w opozycji do ówczesnych tendencji literackich?*

M.D.Z.: – Wszystkie motywy lotnicze, przede wszystkim opowiadanie „Piotr”, były oparte na autentycznych wspomnieniach. Tęskniący do nieznanego dziecka ojciec, opisany w tym opowiadaniu, rzeczywiście istniał i zginął.

S.B.: – *Czy te motywy lotnicze w Pani twórczości są związane z Pani mężem?*

M.D.Z.: – Latał w patrolach nad Zatoką Biskajską. Niemcy zapuszczali się tam z lotnisk nad Atlantykiem.

S.B.: – *Czyli nie brał udziału w nalotach bombowych na terenie Niemiec?*

M.D.Z.: – Tak. Uniknął zestrzelenia tylko dlatego, że pewnego dnia w zaplanowanym locie zastąpił go przyjaciel. Poprosił męża o to, by mógł lecieć zamiast niego, a on się zgodził. Przyjaciel poleciał i zginął. Mąż przeżywał to ciężko.

S.B.: – *Znam ten motyw z Pani twórczości. Jak wyglądały decyzje o przyszłości w chwili zakończenia wojny? Jedni wracali, drudzy się wahali, inni od razu uznawali, że trzeba zostać na obczyźnie. Czy mogłaby Pani odtworzyć w pamięci ten moment?*

M.D.Z.: – Nie było ani chwili wahania. O powrocie nie było po prostu mowy.

S.B.: – *Wspomnienia z tamtego okresu świadczą, że nie wszyscy zdawali sobie sprawę, czym jest powrót do komunistycznej Polski. Żywiono różne iluzje, że to jednak będzie wolny kraj i nikomu nic złego się nie stanie. Skąd Państwo czerpaliście swoją pewność decyzji? Czy wynikała z tego, że mąż pracował nad tajemnicami wojskowymi aliantów?*

M.D.Z.: – Miałam wtedy pełne ręce roboty w bibliotece, która była otwarta dla Polaków, którzy wyszli z Rosji i z niemieckich obozów. Nie chciałam zostawić placówki, która działała i była pożyteczna.

S.B.: – *A co się stało po wojnie? Czy mąż nadal pracował w przemyśle?*

M.D.Z.: – Przez dwa lata wykładał matematykę na kursach dla lotników. Lotnicy, jak może Pan słyszał, przed demobilizacją zostali rozlokowani w różnych obozach, gdzie przygotowywano ich do życia cywilnego.

S.B.: – *W którym momencie objęła Pani bibliotekę? Jaki był profil prac?*



M.D.Z.: – Zostałam kierowniczką Biblioteki Ministerstwa Oświaty w chwili, gdy zostało ono zlikwidowane, ale biblioteka została. Dołączyły się do niej biblioteki z innych likwidowanych ministerstw. Miałam więc mnóstwo roboty. Bałam się, żeby Anglicy nie zmarnowali tego, co już nagromadziliśmy. Ludziom było to bardzo potrzebne, bo stanowiło pomoc w nauce języka i zdobywaniu kwalifikacji zawodowych. Ci, którzy wydostali się z Rosji, pochodzili w dziewięćdziesięciu procentach z Kresów. Nie mieli dokąd wracać, bo nie byłby to powrót do Polski, tylko do Sowietów.

S.B.: – *Biblioteka to dla uczonego raj, miejsce, w którym nieustannie chce przebywać. Czy słusznie podejrzewam, że w Pani przypadku biblioteka stała się czymś, co odsunęło Panią od pisarstwa, ukradło czas? Biblioteka to ostatecznie ciągłe administrowanie, katalogowanie, zdobywanie środków...*

M.D.Z.: – To także ciągła troska o pracowników i o czytelników. Wtedy „Słownik polsko-angielski” nie był rodzajem hobby, tylko narzędziem potrzebnym do egzystencji. Książka odgrywała rolę narzędzia pracy. Odnaleźć ją można było tylko u nas.

S.B.: – *Nie miała Pani nigdy uczucia żalu, że biblioteka ukradła Pani zbyt dużo czasu?*

S.B.: – Uczucie, że bibliotece poświęcam zbyt dużo czasu, miałam dużo później, kiedy dopracowałam się już przeszkolonych pracowników i miałam już komu ją przekazać. Nie chciałam jednak, żeby mój wysiłek zmarnował się po jej opuszczeniu. Wyjazd w 1973 roku doszedł do skutku tylko dlatego, że wiedziałam, iż zostawiam bibliotekę w dobrych rękach. Bardzo się z nią zżyłam.

S.B.: – *W „Próbach przywołań” nazwała Pani pracę biblioteczną mianem *déformation professionnelle*. To mocne określenie. W jakim sensie biblioteka zniekształca człowiekowi charakter?*

M.D.Z.: – Uczy przeskakiwania z tematu na temat. Jeżeli się ma do czynienia z ogromną ilością książek, które się kataloguje, opisuje, przegląda, to zainteresowania skaczą z tematu na temat i trudno się skoncentrować na jednej rzeczy. Dlatego właśnie uważam, że bibliotekarstwo wyrabia dyletantyzm. Ma się przekonanie, że dużo się wie o różnych dziedzinach, ale jest to wiedza bardzo powierzchowna.

S.B.: – *Ale tylko biblioteka daje możliwość uprawiania takiej historii literatury, jaką Pani wyraźnie kocha. A więc kopanie się z manuskryptach, nieznanymi źródłach, czytanie zapomnianych relacji, robienie fiszek...*

M.D.Z.: – Zawsze miałam na biurku fiszki i jak tylko trafiło się coś interesującego, z miejsca robiłam notatkę. Segregowania ich nauczył mnie prof. Julian Krzyżanowski, który pisał na bardzo różne tematy i był ogromnie wszechstronny.

S.B.: – *Jeden z Pani tekstów nosi tytuł „Człowiek z kurzu”. Jest to oczywiście aluzja do biblioteki i kurzu bibliotecznego. Pani próbowała w swojej twórczości z własnych zainteresowań bibliotecznych i naukowych uczynić temat literacki. Podejrzewam, że połączenie tego typu, jak nauka i literatura, to dla literatury nie jest szczęśliwe połączenie.*

M.D.Z.: – Stosowałam to na małą skalę. Napisałam „Człowieka z kurzu”, opowiadanie o Korbucie (mając przed oczyma Korbuta, którego bardzo dobrze znałam) i oprócz tego jeszcze kilka gawęd bibliofilskich, których bohaterem był, jak np. w „Pierwszej miłości”, prof. Gabriela, kolekcjoner wydań pism Słowackiego.

S.B.: – *Chyba jednak więcej Pani napisała, bo pamiętam Pani opowiadania z wątkami etnograficznymi, lingwistycznymi i gwaroznawczymi. Niemalże jak Kolberg chodzi Pani po kraju i notuje smaczki językowe.*

S.B.: – Zaczynałam studia polonistyczne z myślą o tym, że będę szła w kierunku językoznawstwa. Motyw udziału w pracach słownikowych powraca w trzech biografjach w mojej rodzinie, więc miałam to we krwi.



S.B.: – *Ale pewnie Pani wie, że scjentyzm w literaturze to bardzo zjadliwa mikstura, która zabija prawdziwą literackość. Czy myślała Pani, że to się da zrobić lepiej, inaczej?*

M.D.Z.: – *Jeżeli bohaterami opowiadań mogą być wojskowi, inżynierowie i ludzie najrozmaitszych fachów, mogą nimi też być językoznawcy.*

S.B.: – *Pani utwory prozatorskie przypadają na lata pięćdziesiąte. To okres, kiedy emigranci odczuwają chyba najbardziej dotkliwie odcięcie od kraju. Zatrzasnęły się przed nimi drzwi od ojczyzny i nic nie wskazuje, by kiedykolwiek do niej wrócili. Literatura wyraża więc ich nostalgię i chęć powrotu. Czy nie sądzi Pani, że nostalgia, sentymenty i rozpamiętywanie przeszłości to dla literatury zdradliwe witaminy?*

M.D.Z.: – *Nie wiązałam tego z sytuacją, którą Pan rysuje. W latach pięćdziesiątych na terenie Wysp Brytyjskich były dziesiątki tysięcy Polaków, którzy przeszli przez Rosję i z Bliskiego Wschodu lub z Włoch dojechali do Anglii. Byli rozmieszczeni w obozach, liczących po tysiąc i więcej osób. Tam pojawiły się dzieci, które nie pamiętały już i nie mogły pamiętać Polski. Wtedy właśnie powstała atmosfera sprzyjająca wspomnianiu przeszłości, ponieważ dzieci – dorastając – pytały. Ich jedynym doświadczeniem były namioty albo tak zwane „beczki śmiechu”, czyli hangary, w których mieszkało zazwyczaj po kilka rodzin. Taki był prawdziwy powód powrotu myślami do przeszłości.*

S.B.: – *We wstępie do „Kraju lat dziecinnych” znalazłem następującą opinię Sobańskiego: „W epoce, gdy wszystko ginie, należy kolekcjonować i zachowywać próbki wszystkiego, nawet tej strasznej trucizny, jaką jest nostalgia”. Pozwoli Pani, że wrócę do zadanego już pytania: czy nostalgia i obsesyjna pamięć o przeszłości nie są trucizną dla literatury?*

M.D.Z.: – *Nostalgia jest tak samo dobrym tematem jak każdy inny.*

S.B.: – *Ale może być niebezpieczne, gdy żyjemy wyłącznie pamięcią, nie chcemy opuścić przeszłości, a świat wokół nas się zmienia, więc przestajemy być jego mieszkańcami.*

M.D.Z.: – *W literaturze polskiej ostatniego stulecia tematy nostalgiczne bynajmniej nie wybijają się na pierwszy plan.*

S.B.: – *Ale Pani twórczość prozatorska wyraźnie jest nastawiona na przeszłość. Od wojny mieszkała Pani w Anglii, we Francji, obecnie w Portugalii, jest koniec XX wieku. Gdzie to wszystko jest w Pani książkach? Jakież okruchy Pani przeżyć znajdę w „Szkicach o literaturze emigracyjnej”, ale dlaczego nie ma ich w Pani prozie?*

M.D.Z.: – *Dlatego, że moje życie poza krajem było bardzo szare. Monotonna praca bibliotekarska, wydawanie książek czytelnikom, udzielanie informacji bibliograficznych – taki tryb życia nie sprzyja twórczości literackiej.*

S.B.: – *Opuściła Pani Polskę w 1939 roku, znalazła się Pani we Francji, przeszła Pani przez Pireneje, docierając do Portugalii, a później Wielkiej Brytanii. Była wojna, zdarzyło się naprawdę wiele. Pani jednak woli opowiadać nam o Aleksandrowie i Włocławku, a nie o tym, co się działo później. Dlaczego?*

M.D.Z.: – *Pan nie wie o czymś, co teraz zdradzę. Piszę wspomnienia i wszystkie te wydarzenia, o których Pan mówi, są w nich szczegółowo opisane. Ale w kominku, który jest za nami, spaliłam nie tylko te wspomnienia, ale i zapiski do nich.*

S.B.: – *Dlaczego?*

M.D.Z.: – *Poczułam kiedyś silną falę zniechęcenia. Było tylu autorów, którzy opisali przeżycia wojenne lepiej ode mnie... Poza tym ci w mundurach mieli więcej do powiedzenia niż urzędnicy...*

S.B.: – *Ale oni nie umieli pisać. Przykro mi to powiedzieć, ale palenie papierów to jest zbrodnia.*



M.D.Z.: – Mam szafę pełną papierów, więc wciąż je redukuję. Zajęłyby zbyt dużo miejsca w bibliotece, do której przekazę moje prywatne archiwum po śmierci.

S.B.: – *Biblioteka Narodowa spokojnie sobie z tym poradzi, niech się Pani nie martwi, tylko proszę nie palić. Czy oprócz wspomnień zniszczyła Pani coś jeszcze?*

M.D.Z.: – Spaliłam także swoje zapiski o stosunkach w Londynie.

S.B.: – *Rozmawiałem kiedyś z Panem Giedroyciem, który powiedział, że nie mamy obrazu polskiego Londynu. Pani natomiast pali dokumentację... Niepojęte!*

M.D.Z.: – Mamy obraz Londynu, ale sfałszowany. Ukazuje bowiem tylko nie najlepszą atmosferę polityczną i właśnie Polaków. Mnie natomiast interesowało coś innego – np. działalność Towarzystwa Historycznego. Na pierwszy plan wysuwał się jego organizator gen. Marian Kukiel, który założył *Teki Historyczne*. Pisałam także o Polskim Towarzystwie Naukowym, w którym byłam bardzo aktywna i o Związku Pisarzy. W sprawozdaniach drukowanych w *Tekach Historycznych* i w *Roczniku Towarzystwa Naukowego* odnajdzie Pan historię polskiego Londynu. Jednak nieskłóconego. Bo był też inny. Skądś się ostatecznie wzięli ludzie, którzy pracowali nad takimi książkami, jak „Norwid żywy”, „Sienkiewicz żywy”, czy tom wydany w stulecie zgonu Mickiewicza. Ten dorobek należałoby omówić i ujawnić, ale czy to jest moja rola?

S.B.: – *Pani mówi o pracy historyka literatury, bibliografa, ja natomiast myślę o zapisie wspomnieniowym. Niech nam ktoś wreszcie opowie o tym polskim Londynie. Dlaczego nie Pani? Przecież to było piekło. Ci ludzie do dziś są ze sobą w nienawiści. Ja chcę wiedzieć, dlaczego się tak wściekle niszczyli? Ale też jak mieszkali, jacy byli na co dzień, jak się męczyli i jak sobie radzili. Nie chcę topienia wszystkiego w polityce.*

M.D.Z.: – To prawda, choć przykro o tym mówić. Ja trzymałam się na uboczu, nie tkwiłam w tym świecie. Gdy myślę o polskim Londynie, to widzę Ognisko Polskie i duży stół, złożony z zestawionych stolików. Na honorowym miejscu zasiadł gen. Anders, obok niego płk Adam Sawczyński, gen. Kukiel i gen. Bohusz-Szyszko. Kiedy pojawiał się gość z Francji czy z Polski, który miał odwagę wejść do Ogniska, od razu wiedział, co się w Londynie dzieje. Ale to nie były wydarzenia epokowe, lecz dzień codzienny.

S.B.: – *W efekcie powstanie taka sama sytuacja, jak na przykład z Kołem Sprawy Bożej. Dziś historycy starają się odgrzebać, co naprawdę działo się w polskim Paryżu, ale to jest Atlantyda. Nikt nic nie wie, więc co rusz ktoś fabrykuje jakąś sensację. Ale gdyby ktoś wcześniej zapisał to, co widział własnymi oczami, mielibyśmy zapis pełny, kronikarski. Dlaczego nie zapisuje Pani tej żywej historii, którą Pani pamięta?*

M.D.Z.: – Ma pan rację, dzień codzienny emigracji ma również znaczenie historyczne. W niektórych kręgach prowadziło się na przykład rzeczową, spokojną i nieefektywną pracę. Dlatego z najwyższym szacunkiem wspominam prof. Tadeusza Sulimirskiego, archeologa i prehistoryka, który był niezwykle czynny jako organizator szkolnictwa i życia naukowego. Sam pisał, korygował i rozprowadzał *Rocznik Towarzystwa Naukowego*, który jest podstawowym źródłem informacji o tym, co się działo na emigracji poza polityką.

S.B.: – *A ja chciałbym, żeby Pani była źródłem pamięci o pisarzach emigracyjnych. Nie tylko autorką szkiców o ich twórczości. Na przykład w okresie londyńskim musiała Pani mieć kontakt z Herminią Naglerową. Niestety, czas nie okazał się dla niej łaskawy.*

M.D.Z.: – Tak, niestety należy ona do nazwisk zapomnianych, przemilczanych. A była to pisarka bardzo znana w Dwudziestoleciu, które obfitowało w wybitne piszące kobiety (Dąbrowska, Kuncewiczowa, Nałkowska). Naglerowa była laureatką prestiżowych nagród. Napisała powieść „Krauzowie



i inni”, opartą na przeżyciach z młodości, spędzonej w Małopolsce. Po odzyskaniu niepodległości znana była na emigracji jako redaktorka pisma *Ochotniczka*, które przeznaczone było dla dziewcząt zwolnionych z obozów sowieckich, przebywających na Bliskim Wschodzie. Było ono czytane nie tylko przez młodzież, ale przez ogół Polaków poza krajem i miało swój okres świetności. Było naprawdę bardzo popularne i doskonale redagowane.

Naglerowa znalazła się później w Wielkiej Brytanii, mieszkała w Londynie. Często ją spotykałam i bywałam u niej na podwieczorkach, które gromadziły przeważnie pisarzy znanych jej dobrze ze współpracy na Bliskim Wschodzie. Była bardzo zaprzyjaźniona z Juliuszem Mieroszewskim, publicystą *Kultury*. Potem jednak przyszedł dla niej okres bardzo ciężkich cierpień, związanych z chorobą. Potem umarła. Mam bardzo smutne wspomnienie z jej pogrzebu. Nie było absolutnie nikogo z rodziny, kto mógłby iść za trumną. Był bardzo słoneczny, jesienny dzień i ksiądz, który prowadził kondukt na cmentarzu londyńskim, wypchnął na czoło Tymona Terleckiego i mnie, abyśmy reprezentowali rodzinę. Wciąż mam w pamięci obraz jesiennych, suchych liści, mnie i Tymona, kroczących za trumną naszej przyjaciółki.

S.B.: – *Ta historia przypomina mi Stanisława Balińskiego. On również swe ostatnie lata spędził w rozpaczliwej samotności. Musiała mieć Pani z nim kontakt...?*

M.D.Z.: – Pamiętam go: w średnim wieku, wyglądający raczej na urzędnika niż na poetę. Był zresztą wcześniej rzeczywiście pracownikiem MSZ-u i kilkanaście lat spędził na placówkach dyplomatycznych w Azji i na Bliskim Wschodzie. Najlepsze jego wiersze, ogłoszone przed 1939 rokiem, miały egzotyczną tematykę perską, która ujawnia się również w jego opowiadaniach. Nie to jednak było przyczyną jego wielkiej popularności. Tym, co wyniosło go ponad skamandrytów, było wprowadzenie aktualnej tematyki do wierszy pisanych w czasie wojny. Święcił wtedy istne triumfy. Jego tomiki wierszy, wydawane w Londynie w latach 1941-43, osiągały zawrotne nakłady i docierały do czytelników, którzy może po raz pierwszy w życiu stykali się z poezją. Potrafił współgrać z

ówczesnymi nastrojami Polaków poza krajem. Baliński bardzo lubił, by zaliczano go do grupy Skamandra. Był jednak w rzeczywistości epigonem Skamandra. Po wojnie zamilkł i tylko raz wystąpił z krótkim cyklem wierszy, które nosiły tytuł „Notatnik podróżny” i były powrotem do tematyki wojennej (oraz polemiką ze Słonimskim, z którym poróżnił go stosunek do Rosji i PRL-u).

Pamiętam go jako pana w średnim wieku, bardzo starannie ubranego. Nosił warszawskie jesionki z aksamitnym kołnierzem, których uszycie w Anglii nastęczało pewnych trudności. On je cierpliwie pokonywał. Inną jego osobliwością było zażywanie tabaki. Nosił nawet specjalne brązowe chustki do nosa, które ukrywały jej ślady. Sprowadzał ją z Paryża i było oznaką zaufania z jego strony, jeżeli prosił kogoś jadącego do Paryża o odnowienie jego zapasu.

Często widywałam Balińskiego na zebraniach pisarzy emigracyjnych. Był członkiem zarządu, poza tym pracował jako dziennikarz *Dziennika Polskiego*. Żył rzeczywiście samotnie, nie ożenił się i nie widywało się go w towarzystwie kobiet. Miał ukochanego psa, z którym się praktycznie nie rozstawał (chodził z nim także na zebrania). Gdy zostałam dopuszczona do sanktuarium, jakim był jego dom na przedmieściu Londynu, uderzyło mnie, że jest on urządzonej pod kątem potrzeb i upodobań psa. Pan był w nim wyraźnie na drugim miejscu. Na pierwszym planie były miski. Nie z żarciem, bo nie można w tym wypadku stosować tak wulgarne określenia, ale z jedzeniem dla pieska, który dostawał najlepsze kawałki mięsa, np. krwiste befsztyki. Właściciel starał się mu na wszelkie sposoby dogodzić i zaspokoić jego kaprysy. Baliński był bardzo samotny, ale nie umiał dać wyrazu swoim uczuciom w wierszach pisanych po wojnie. Coś w nim się załamało. Pisał felietony, nawet jakieś krótkie opowiadania. Nie godził się na wznowienia tomików, które kiedyś cieszyły się taką ogromną popularnością. Bardzo go lubiałam i serdecznie wspominam.

S.B.: – *Pani przyjaźniła się właściwie ze wszystkimi: pisarzami, uczonymi i politykami. Domyślam się, że to musiało wiązać się z Biblioteką Polską. Jaki był mechanizm budowania się tych przyjaźni?*



M.D.Z.: – To się wiązało z moją pracą bibliotecarską. Przed wybuchem drugiej wojny światowej miałam za sobą jedenaście lat pracy w Bibliotece Narodowej w Warszawie. Współpracowałam z czytelnikami. Byli to przede wszystkim historycy, historycy literatury i księża, szukający materiałów w rękopisach rewindykowanych z Rosji, z Biblioteki Załuskich. Biblioteka dopiero powstawała, formowała się i nie było katalogów. Czytelnicy więc po prostu przychodzili do mnie i pytali, co mamy na dany temat, a ja – po poszukiwaniach – przynosiłam rękopisy. Stąd zrodziła się moja znajomość, a później bardzo zażyła przyjaźń z Wacławem Berentem, który pisał opowieści biograficzne o Dąbrowskim, Niemcewiczu, Staszicu – potrzebował nieskończonej ilości materiałów, wiążących się z tematem jego opracowań. Nasze rozmowy rozpoczynały się zwykle od wątków historycznych, a kończyły na tematach bieżących. W bibliotece nawiązywałam znajomości, które trwały długie lata, aż do dziś.

S.B.: – *Przyjaźń literacka to jest coś bardzo dziwnego i dwuznacznego, bo ludzie piszący są trochę interesowni, ponieważ wiedzą, że są „fotografowani” przez swych piszących przyjaciół. A zatem wszyscy coś odgrywiają, udają. Każdy pisarz chce zapewnić sobie miejsce w historii literatury. Pani była idealnym magnetofonem, który to wszystko zapisze...*

M.D.Z.: – W tej relacji zawsze ktoś coś daje, a inny czerpie. Ja byłam tą stroną, która brała, eksploatowała wybitnych ludzi. Na przykład Berenta stale naciągałam na rozmowy, bo czułam, że wiele się od niego dowiem.

S.B.: – *Rozumiem, że to, co Pani wyciągnęła, znajdziemy tutaj, w Pani szafie, nie spalone w kominku? To wszystko będzie w autobiografii, którą Pani pisze?*

M.D.Z.: – Tak, o tym piszę.

S.B.: – *Ale ponieważ nie wiadomo kiedy się jej doczekamy, a na dodatek nie mamy gwarancji, że Pani jednak swoich wspomnień nie spali, proszę mi nieco opowiedzieć o*

*Berencie. Chodzą słuchy, że chodziła z nim Pani systematycznie do teatru...*

M.D.Z.: – Aby mówić o nim, muszę cofnąć się w przeszłość o 60 lat. Wspomnienia te dotyczą mojej młodości, okresu przed ukończeniem studiów polonistycznych na Uniwersytecie Warszawskim. Pracowałam już wtedy w Bibliotece Narodowej i dyżurowałam w czytelni rękopisów. Jednym ze stałych czytelników był właśnie Wacław Berent, który wówczas pracował nad opowieściami biograficznymi. Zajmował się charakterystyką gen. Dąbrowskiego i jego otoczenia. Postacią często występującą był Chamand. Berent, który był wzorowym czytelnikiem, zjawiał się w kilka minut po otwarciu czytelni i pracował przez cały czas naszego urzędowania, aż do późnego wieczoru. Moim obowiązkiem było dostarczanie mu rękopisów z magazynu. Zadanie to poszerzone zostało później o sporządzanie kopii potrzebnych mu dokumentów. Wówczas zupełnie nieznaną była technika sporządzania fotokopii i notatki trzeba było robić ręcznie, względnie przepisywać na maszynie, ale nie w czytelni, tylko gdzieś w biurach biblioteki.

Później znajomość ta przerodziła się w kontakt znacznie szerszy, bo okazało się, że moja praca nad historią Liceum Krzemienieckiego zahaczała w różnych punktach o tematykę opowieści biograficznych. Rozmawialiśmy więc o roli Karpińskiego, Czackiego, czy Osińskiego. Po pewnym czasie postaci te były naszymi wspólnymi znajomymi. Berent świetnie znał realia opisywanej przez niego epoki. Jego pracowitość w studiowaniu historycznego tła była zupełnie bezprzykładna. Nie widziałam czegoś podobnego nigdy więcej w życiu, a przecież na przestrzeni dziesiątków lat miałam styczność z ludźmi pióra i nauki w Warszawie i w Londynie.

Zawdzięczam Berentowi bardzo dużo. Nauczył mnie znaczenia detali i szacunku dla tła historycznego. Jego książki różnią się od innych nie tylko tym, że dotyczą różnych epok historycznych, ale także użytym w ich opisach językiem. Ponieważ każdą powieść poprzedzały długie lata studiów epoki, poszczególne utwory dzielą okresy ośmiu, dziesięciu lat. Każda z tych książek wymagała wieloletniego trudu, przeróbek



i odrzucania nawet pozornie już gotowych rękopisów. Dla mnie obserwowanie z bliska pracy Berenta było szkołą pisania i zbierania materiałów.

S.B.: – *Ale ciągle jeszcze nie widzę tu płaszczyzny, która pozwala chodzić starszemu pisarzowi z młodą mężatką do teatru...?*

M.D.Z.: – Znajomość zawarta w sali czytelnianej Biblioteki Narodowej przeobraziła się później w przyjaźń, która objęła także mojego męża, gdy w 1937 roku Berent przeprowadził się w nasze sąsiedztwo. Widywałam go wtedy bardzo często przy różnych okazjach, choć był wielkim samotnikiem. Prowadził regularny tryb życia, miał gosposię i ukochanego psa Białkę. Byłam u niego bardzo częstym gościem, a nawet miałam głos w takich sprawach jak farsz do pierożków.

Berent jako członek Akademii Literatury (P.A.L.) miał bilet wolnego wstępu do Teatru Polskiego i Teatru Narodowego. Bardzo często prosił mnie, abym mu towarzyszyła. Chyba nie było premiery teatralnej w dwudziestolecu, na której bym nie była. Najbardziej upamiętniło mi się „Nasze miasto” Wildera, na którym byliśmy dwa razy. Także dwa, może trzy razy byłam z nim na „Śnie nocy letniej”. Zdarzało nam się wychodzić w trakcie przedstawienia. Berent był dla mnie wielkim autorytetem. Bardzo ceniłam jego zdanie i liczyłam się z jego kapryсами i upodobaniami. Jego stosunek do mnie i do mojego męża był bardzo przyjacielski, serdeczny. Ten pozornie bardzo zamknięty człowiek u nas się bardzo „rozgrzewał” i czuł się jak u siebie w domu. Pamiętam, jak słuchaliśmy razem radiowego koncertu Paderewskiego z Brukseli. Był to jeden z jego ostatnich występów publicznych. Mieliśmy odbiornik radiowy wysokiej klasy, ale Berentowi nie podobały się komentarze w trzech językach, które były wprowadzeniem do koncertu. Tak go zdenerwowały, że w pewnym momencie wstał, pożegnał się i wyszedł. A bardzo lubił Paderewskiego.

S.B.: – *Jak widać, praca w bibliotece nie była tak nudna, jak można mniemać. Te kontakty z wybitnymi uczonymi i pisarzami nie miały więc zbyt ceremonialnego charakteru?*

M.D.Z.: – Te kontakty przybierały różne formy. Ze szczególną przyjemnością wspominam „herbatki”. W Bibliotece Narodowej pracowaliśmy od ósmej rano do trzeciej po południu. O dwunastej spotykaliśmy się na herbacie czy kawie. Schodziliśmy się na szerokim korytarzu. Jeśli tego dnia było posiedzenie komisji naukowej, przygotowującej zbiorowe wydanie pism Mickiewicza, dołączały się do nas takie profesorskie znakomitości jak Pigoń, Kot, Nitsch, Wędkiewicz. My, pracownicy biblioteki, obsługiwaliśmy ich, co dawało nam pole do ciekawych obserwacji, a poza tym poznawaliśmy nowinki z Krakowa i ze Lwowa. Byłam wówczas pełną zapału młodą bibliotekarką, czynną w Związku Bibliotekarzy. Dzięki temu poznałam takie osobistości jak dyrektor Ossolineum, Ludwik Bernacki (wybitny teatrolog) oraz dyrektor Kunze z Biblioteki Jagiellońskiej. Dzięki rozmowom z prof. Kotem na takich właśnie herbatkach, zostałam zaproszona do współpracy nad „Polskim Słownikiem Biograficznym” i przed 1939 rokiem opracowałam kilkanaście biogramów, przeważnie krzemieńczan. Studiowałam wtedy literaturę, dotyczącą historii polskiego szkolnictwa na Kresach (gł. Krzemieńca i Wilna, jako rywalizujących ze sobą ośrodków). Dlatego dziś czytam z ogromnym zainteresowaniem prace Jarosława Marka Rymkiewicza, którego obszar zainteresowań jest mi bardzo bliski.

S.B.: – *Jednak nigdy nic o nim Pani nie napisała...?*

M.D.Z.: – Nie, choć Giedroyc namawiał mnie na recenzję z jego książki. Obawiałam się, że ugrzęznę w szczegółach, bo z pewnymi detalami nie mogę się jednak zgodzić. Mój dziadek, który pochodził z okolic Nowogródka, był uczniem tych samych nauczycieli, co Mickiewicz. Istnieje np. dokumentacja w postaci broszury mojego dziadka o młodości Mickiewicza, wydanej już w roku 1861. Rymkiewicz jej nie uwzględnił.

S.B.: – *Więc Pani zainteresowanie historią literatury zostało odziedziczone? W takich rodzinach jak Korbutowie i Estreicherowie historyków literatury zawsze było zwykle kilku: ojciec, syn i wnuk.*



M.D.Z.: – Moim ciotecznym pradziadkiem był profesor Liceum Krzemienieckiego, Maksymilian Jakubowicz. Był autorem „Gramatyki Polskiej” i rozważań filozoficzno-religijnych. Po likwidacji Liceum Krzemienieckiego został profesorem Uniwersytetu Kijowskiego. Z kolei moim dziadkiem był Wincenty Korotyński, dziennikarz warszawski. Przybył do Warszawy w roku 1866, po powstaniu styczniowym. Właściwie należałoby rzec, że został wysiedlony z Wilna, ponieważ Rosjanie wprowadzili jako język urzędowy rosyjski i tym samym dziadek stracił możliwość pracy dziennikarskiej. Wcześniej był współpracownikiem *Gazety Wileńskiej* (pismo bardzo konserwatywne). W Warszawie rodzina mojej matki znalazła się więc w bardzo ciekawym środowisku, złożonym z Polaków z wileńszczyzny i kowieńszczyzny, którzy schronili się w Warszawie w obronie przed rusyfikacją. Należeli do nich: Odyniec, przyjaciel Mickiewicza, Sowiński (poeta bardzo popularny w tamtym czasie), Andriolli. Całe to towarzystwo zbierało się co niedzielę u moich dziadków. Moja mama, która była wtedy dzieckiem, pomagała przy lepieniu kołdunów. Na tę litewską ucztę przygotowywano ich kilkaset, w co zaangażowana była cała rodzina. Obiad był klasyczny, składała się nań zupa grzybowa, kołduny i kisiel z żurawin. Co ciekawe, w dzisiejszych czasach podobna komórka wileńska działa w Toruniu. Był bowiem okres, kiedy Uniwersytet Wileński przeniósł się do Torunia. Powstało tam wtedy silne środowisko wileńskie. Wracając zaś do genealogii: trzech synowie mojego dziadka figurują w „Polskim Słowniku Biograficznym” jako ludzie pióra. Jeden z nich, Władysław Korotyński, był historykiem starej Warszawy, ma nawet ulicę swojego nazwiska. Ze strony ojca jestem spokrewniona z Zygmuntem Glogerem, autorem „Encyklopedii Staropolskiej” i „Roku Polskiego”, bardzo popularnego w swoim czasie. Dużo mu zawdzięczam.

S.B.: – *Jak to się stało, że na polonistyce warszawskiej pojawiły się akurat w Pani czasach takie znakomitości: z jednej strony katedry wybitni profesorowie, z drugiej znakomici studenci, którzy w przyszłości również staną się znakomitymi badaczami. Jak Pani...*

M.D.Z.: – [przerywa] Ja nie jestem „znakomitym” badaczem. Warszawa jako stolica odrodzonej Polski, była adresem bardzo atrakcyjnym, przyciągającym profesorów wysokiej klasy ze Lwowa, z Krakowa. Przez pewien czas profesorem historii literatury był Juliusz Kleiner, ale nie wytrzymał w Warszawie i wrócił do Lwowa. Jego miejsce zajął Józef Ujejski, który jest niedocenionym, wysokiej klasy uczonym. Umarł mając pięćdziesiąt kilka lat i nie zdążył się wypowiedzieć w „Wypisach”. Mam indeks, w którym jest potwierdzenie uczestnictwa w wykładach prof. Tatarkiewicza i prof. Kotarbińskiego. Jeżeli chodzi o formowanie się moich poglądów i metod pracy, Kotarbiński wysuwa się na pierwsze miejsce. Byłam słuchaczką jego pierwszego kursu prakseologii, podczas którego po raz pierwszy rozwinął swoje poglądy na temat dobrej roboty.

S.B.: – *Kiedy mówiła Pani o Rymkiewiczu, pomyślałem od razu o dwóch – zasadniczo różnych – szkołach polonistycznych: tej, którą reprezentuje Pani i tej, którą reprezentuje on. Mam tutaj Pani „Próby przywołań”. Otwieram w miejscu, które sobie wcześniej zaznaczyłem i czytam co pisze Pani o Celinie Szymanowskiej-Mickiewiczowej: „Celina wyruszyła do Paryża z podwójną misją: pogodzenia Mickiewicza z Towiańskim i zasięgnięcia rady w trudnościach małżeńskich, wiążących się ze słynną Ksawerą Deybel”. I nic więcej! Gdyby to Rymkiewicz pisał, natychmiast by wprost powiedział, że Ksawera Deybel była kochanką Mickiewicza, który miał z nią dziecko etc. Jak Pani wobec tego znosi takich historyków literatury jak Rymkiewicz albo Rutkowski?*

M.D.Z.: – Mają dobre intencje, ale ich sądy nie są dostatecznie podbudowane dokumentacją. Wydaje mi się, że sądy o Celinie Mickiewiczowej należy formułować na podstawie jej własnych słów z listów, które ogłosiłam w „Mickiewiczianach”. One nie są natomiast uwzględniane przez Rymkiewicza i Rutkowskiego. Ich sądy na temat Celiny są w rzeczywistości zbyt łagodne. Ja ją sądzę o wiele surowiej. Za prof. Pigoniem przywiązuję ogromną wagę do świadectw dokumentalnych. Interesują mnie fakty, np. ostatnie godziny



pobytu Mickiewicza w Rosji. I jest na to sporo świadectw. Należy z nich wyciągać jednak wnioski możliwe do udokumentowania. Jestem przeciwko fantazji.

S.B.: – *Boję się, że mówimy o różnych rzeczach. Ja mówię o tym, że kiedy Pani pisze o Ksawerze Deybel, nie dowiaduję się kim była dla Mickiewicza. Natomiast u Rymkiewicza czy u Rutkowskiego dowiem się przy pierwszym napomknieniu.*

M.D.Z.: – Nie ukrywałam niczego, uznawałam tylko, że czytelnik już to wie. Ksawera Deybel jest postacią opisaną i często cytowaną.

S.B.: – *Przywozę Pani licealny podręcznik szkolny. Nie znajdzie tam Pani nawet słowa wyjaśnienia kim była Deybel oraz Kowalska dla Mickiewicza.*

M.D.Z.: – To jest tendencja do unikania biografizmów.

S.B.: – *Tym sposobem okaże się, że najważniejsze etapy życia Mickiewicza i innych pisarzy są ocenzone obyczajowo. Według Sudolskiego, autora opastej biografii Mickiewicza, poeta na pewno nie miał dziecka z Ksawerą Deybel (w ogóle nie miał z nią romansu!). Natomiast według Łukasiewicza nie ulega to żadnej wątpliwości.*

M.D.Z.: – Jest pewna historia świadcząca, że Mickiewicz miał z nią jednak jakieś bliższe stosunki. Gdy Celina pojechała do Towiańskiego do Szwajcarii, ktoś ze znajomych Adama przyszedł, żeby się z nim zobaczyć. Drzwi otworzyła Ksawera i oświadczyła, że Mickiewicz jest... niewidzialny. Po prostu odrzuciła gościa. Więc jeżeli pod nieobecność żony Ksawera do tego stopnia rządziła w domu Mickiewicza, wniosek jest prosty.

S.B.: – *Czy Pani zdaniem dzieła historyków literatury mają być książkami, które można położyć na stole w domu, gdzie są dojrzewające dziewczęta?*

M.D.Z.: – Dojrzewające dziewczęta są w tej chwili lepiej uświadomione od starych mężatek.

S.B.: – *Ale pewna wstydlivość w mówieniu o biografii twórców jest Pani drogowskazem. Pokazuje Pani np. znakomicie, że Mickiewicz wszedł w kontakt z jakimś trzeciorzędnym pisarzem brytyjskim i wyciśnie Pani z tego spotkania sok jak z cytryny, ale nie zechce Pani pokazać, że Pani bohater prowadził skandaliczne życie erotyczne.*

M.D.Z.: – Nie unikam tego tematu. Nie zauważyłam u siebie takiej tendencji. Przeciwnie, jeśli chodzi o Celinę i o jej wyprawę do Towiańskiego, wydaje mi się, że ujawniłam wiele szczegółów dotąd pomijanych.

S.B.: – *A czy uważa Pani, że Celina rzeczywiście była złym duchem Mickiewicza?*

M.D.Z.: – Sama nazywała siebie kobietą opętaną. Była jego przekleństwem. Mickiewicz przestał pisać, kiedy nagle ożenił się z nią w dziwnych okolicznościach. Myślę, że Rymkiewicz odkryje kiedyś, jak doszło do tego małżeństwa.

S.B.: – *Gdyby położyć Pani książki jedna na drugą, uzyskamy wysokość tego stołu. A co będzie jeżeli dołożymy nadbitki i artykuły?*

M.D.Z.: – Mam za sobą jedną półkę, na której są samodzielne książki, a poza tym mam inne, gdzie są różne rozdziały, książki zjazdowe i zbiorówki.

S.B.: – *A gdyby ułożyć prace nieopublikowane, to ile tego będzie? Drugie tyle?*

M.D.Z.: – Mam tego bardzo dużo. Zrobiłam wybór ze „Szkiełka i oka” i myślałam o tym, żeby go wydrukować. Dyrektor Wolnej Europy, Nowak-Jeziorański, domagał się, żeby pisała o najnowszych książkach i wydarzeniach, aby zaskoczyć opinię publiczną niezależnym sądem, zanim w kraju uformuje się opinia kierowana przez partię. O „Poemacie dla



dorośli” pisaliśmy w tydzień po jego ukazaniu się w kraju. Radio miało świetnie zorganizowaną dostawę świeżo wydanych książek. Także w Londynie dostawaliśmy *Twórczość* tego samego dnia, w którym pojawiała się w kioskach w Polsce. Załatwiali to przyjaciele-Francuzi. Zdaje się, że nie bezinteresownie. Mam jednak wrażenie, że dyplomata francuski, który w tym pośredniczył, nie robił złego interesu.

S.B.: – *A kto mu za to zapłacił?*

M.D.Z.: – [z uśmiechem] Myślę, że Grydzewski.

S.B.: – *Była Pani stałym recenzentem dwóch najważniejszych periodyków emigracyjnych: Wiadomości i Kultury. Obaj redaktorzy mają silne osobowości, są wręcz apodyktyczni, a pomiędzy ich czasopismami przebiegała linia frontu. Jak Pani doprowadziła do tego, że współpracowała Pani z jednym i z drugim?*

M.D.Z.: – Grydzewski był bardzo na mnie rozżalony, gdy przestałam prowadzić cykl „Szkiełko i oko”. Byłam zmęczona, bo zabierało mi to mnóstwo czasu i kolidowało z innymi zajęciami, a w *Wiadomościach* było kilku współpracowników, którzy wydali mi się dobrymi następcami na moje miejsce. Potem się na nich – mówiąc szczerze – zawiodłam, bo sobie jednak nie poradzili. Sakowski utrzymał się najdłużej.

S.B.: – *A czy to nie było tak, że w pewnym momencie po prostu doszła Pani do wniosku, że linia Wiadomości Pani nie odpowiada, bo zorientowana jest na emigrację, a po-ciągga Panią Kultura, bo nastawiona jest jednoznacznie na kraj?*

M.D.Z.: – Niewątpliwie w *Wiadomościach* raziło mnie podejście do tematyki krajowej. Uważałam, że Grydzewski nie był tak czuły na sprawy krajowe jak Giedroyc.

S.B.: – *Ale w ten sposób podjęła Pani współpracę z pismem, które większy nacisk kładło na politykę, a mniejszy na literaturę.*

M.D.Z.: – Proszę zwrócić uwagę, że ja jednak nie zerwałam kontaktu z *Wiadomościami* i jeśli mi się zdarzyło napisać jakieś opowiadanie czy recenzję, wysyłałam je do Grydzewskiego. Nigdy nie odmawiał i drukował.

S.B.: – *Podejrzewam, że to był jednak bardzo trudny wybór, bo dotyczy bardzo zasadniczej kwestii.*

M.D.Z.: – Byłam po stronie Giedroycia, bo *Wiadomości* stały się pismem eklektycznym, bez wyraźnego oblicza. Były okresy, kiedy Grydzewski drukował co popadło.

S.B.: – *A czy nie próbowała Pani mu wytłumaczyć, że idzie niewłaściwą drogą, że należy zmienić linię pisma?*

M.D.Z.: – Był do tego stopnia apodyktyczny, że trudno było z nim dyskutować. Natomiast Giedroyc przyjmuje krytyczne uwagi, choć miewałam z nim trudne i zasadnicze rozmowy. To jednak jest partner, czego nie można było powiedzieć o Grydzewskim.

S.B.: – *Ale Grydzewskiego musiała Pani znać jeszcze sprzed wojny. To powinno ułatwiać porozumienie.*

M.D.Z.: – Znałam go oczywiście wcześniej, ale tylko z widzenia i telefonicznie, ponieważ w Bibliotece Narodowej często udzielałam informacji również telefonicznie. Takim wytrzymałym czytelnikiem, który zwracał się do mnie niemal codziennie z jakimiś pytaniami, był właśnie redaktor Grydzewski. Znany był z manii sprawdzania. Żartowaliśmy, że zagląda do encyklopedii, żeby się upewnić, czy Słowacki miał na imię Julian czy Juliusz. Stałym jego powiedzeniem było: „Sprawdzać, sprawdzać, sprawdzać”. Było to bardzo męczące, ponieważ oczekiwał błyskawicznej odpowiedzi i bardzo się denerwował, kiedy poszukiwania trwały jego zdaniem zbyt długo. Rozmowa zresztą przeważnie kończyła się słowami: „Tak myślałem”, co znaczyło, że pytanie właściwie było niepotrzebne. To mnie czasem do niego bardzo zniechęcało.

Znałam go także z widzenia, bo był postacią bardzo



charakterystyczną. Miał dwa ulubione psy, które codziennie zabierał na przechadzkę. Wyglądało to bardzo zabawnie, ponieważ psy ciągnęły swojego pana, który biegł za nimi galopem. Pracując w Warszawie, bardzo często spotykałam go w przerwie obiadowej, na szlaku łączącym cukiernię Ziemiańską z Krakowskim Przedmieściem, w towarzystwie przyjaciół: Lechonia, Wierzyńskiego, rzadziej Wittlina. Jednak do osobistego spotkania z Grydzewskim doszło dopiero w Paryżu, w zimie 1940 roku, w Bibliotece Polskiej na Wyspie św. Ludwika, gdzie pracowałam przez kilka miesięcy. Szukał wtedy tekstów klasycznych do wprowadzonej już w pierwszych numerach *Wiadomości* rubryki „Skarbnica literatury”. Potem była przerwa w znajomości, która odnowiła się, gdy wreszcie dostałam się do Londynu. Tam zaczęła się moja prawdziwa współpraca z bezprzymiotnikowymi (jak je nazywaliśmy) *Wiadomościami*.

Początkowo Grydzewski prosił mnie o informacyjne notatki o nowych wydawnictwach lub aktualnych tematach. Pisałam o stratach bibliotek polskich w czasie wojny na podstawie materiałów, które otrzymaliśmy w Ministerstwie Oświaty Rządu Emigracyjnego. Później dowiedziałam się, że ich redaktorem był prof. Wacław Borowy. Moja współpraca z *Wiadomościami* układała się bardzo dobrze i trwała przez długie lata. Dopiero w latach sześćdziesiątych, kiedy pismo zaczęło przeżywać kryzys związany z chorobą i stopniowym wycofywaniem się Grydzewskiego, moja współpraca z *Kulturą* przybrała znacznie szersze rozmiary. Przedtem jednak prowadziłam w *Wiadomościach* przez kilkanaście lat rubrykę, którą nazwałam „Szkiełko i oko” i podpisywałam pseudonimem „Szperacz”. Grydzewski bardzo tę rubrykę lubił i zawsze porozumiewał się ze mną na temat następnego numeru. Miał manię, żeby zawsze mieć w tece zapas na następne numery, jakby licząc się z tym, że w czasie wojny, w czasie nalotów niemieckich, mogą być kłopoty ze skompletowaniem materiału. Pesymizm był zresztą dla niego typowy. Finał był oczywiście tragiczny. Po ataku choroby został przykuty do łóżka w klinice. Zawiodła go pamięć i wzrok. Przestał się interesować swoim ukochanym pismem. Na ostatnie spotkanie z Grydzewskim poszłam z prof. Wiktorem Weintraubem. Grydzewski nie poznał go. Przy łóżku leżał nieroz-

pakowany numer *Wiadomości*. Ten żaloszny obraz trwa do dziś w mej pamięci.

S.B.: – *No tak, rozumiem, że Grydzewski był trudny i nie można z nim było negocjować. Ale przecież Giedroyc też nie jest łatwym partnerem. Gdy wchodzi w zasadniczy spór polityczny, jest gotów nawet zerwać przyjaźń.*

M.D.Z.: – Moja długa, bezkonfliktowa i przeszło 30-letnia współpraca z *Kulturą* oraz kontakty z Jerzym Giedroyciem, mające zresztą ogromną dokumentację w postaci kilku teczek listów i skryptów ogłaszanych przeze mnie w *Kulturze*, świadczą o tym, że współpraca z nim może toczyć się poza kontaktami osobistymi, drogą korespondencji. Widuję go rzadko, natomiast nie ma tygodnia, żebym nie otrzymała od niego listu i sama do niego nie pisała. Także Mieroszewski, czołowy współpracownik *Kultury*, bardzo rzadko spotykał się z Redaktorem. W czasie krótkich pobytów w Maisons-Laffitte miałam możliwość obserwować jego dzień powszedni. Zaczynał się o godzinie wpół do ósmej rano, w jadalni na parterze. Do obowiązków Redaktora należało przyrządzanie śniadania dla domowników. Stąd te wczesne wspomnienia wiążą się z zapachem dobrej kawy, którą Giedroyc artystycznie przyrządza. Jest doskonałym fachowcem, jeśli chodzi o tę dziedzinę.

Redaktor jest w dużym stopniu niewolnikiem Maisons-Laffitte i nie opuszcza właściwie swojej redakcyjnej siedziby. Trudno wyobrazić go sobie gdzie indziej niż przy biurku zawalonym papierami, z maszyną do pisania. Odpowiada na list prawie natychmiast po przeczytaniu go. To była dla mnie praktyczna lekcja, której efektem była zasadnicza zmiana mego trybu pracy w Bibliotece Polskiej w Londynie – najszybszym sposobem załatwienia sprawy jest jej załatwienie z miejsca, bez odkładania i bez pośrednictwa sekretarki. *Kultura* jest w dużej mierze dziełem tego jednego człowieka. W nagłówkach czasopism polskich figuruje zwykle cała lista nazwisk, które stanowią radę redakcyjną czy redakcję. W *Kulturze* czegoś takiego nie ma. Jest ona w pewnym sensie samowystarczalna. Oczywiście, trzeba tu wymienić bliskich współpracowników Redaktora, zaczynając od Zofii Hertzowej



i na Gustawie Herlingu-Grudzińskim (przed sławnym zerwaniem) kończąc, ale nad całokształtem działalności *Kultury* czuwa bezustannie Redaktor. *Kultura* to Jerzy Giedroyc.

S.B.: – *Wielu ludzi, z którymi Giedroyc pracuje po czterdzieści, pięćdziesiąt lat, jest z nim na „pan”. Sytuacja nie do pomyślenia w bardziej familiarnych środowiskach krajowych. Jak kogoś się zna 2-3 lata, przechodzi się z nim na „ty”, Giedroyc natomiast przez całe życie pozostaje nawet z ludźmi, z którymi mieszkał pod jednym dachem, na „pan”. Co Pani o tym sądzi?*

M.D.Z. [nie odpowiada]

S.B.: – *Ja mam oczywiście swoje, jak najlepsze zresztą, doświadczenia ze współpracy z Kulturą, ale Pani ma za sobą perspektywę kilku dziesięcioleci. Odniosłem wrażenie, że w Pani szkicach i recenzjach na łamach Kultury są jakby dwa okresy: w pierwszym porusza Pani głównie tematy edytorsko-bibliograficzne, w drugim zaś staje się Pani głównym recenzentem najważniejszych książek krajowych. Jest to zresztą bodaj najlepszy literacko okres Kultury. Czy to znaczy, że Giedroyc zżęcznie Panią przesterał?*

M.D.Z.: – Giedroyc zostawiał mi zawsze wolną rękę. Nie wprowadzał także nigdy poprawek do moich tekstów. Jeśli zdarzy mi się popełnić jakiś błąd rzeczowy w dacie czy w nazwisku, wtedy on to ze mną przekorespondowuje. Jest niesłychanie lojalny. Natomiast Grydzewski wykreślał, skracał i był bardzo despotyczny. Współpracownicy skarżyli się, że zostawiał połowę artykułu albo zmieniał słownictwo.

S.B.: – *Co zatem sądzi Pani o zerwaniu współpracy pomiędzy Giedroyciem a Gustawem Herlingiem-Grudzińskim? Poszło ostatecznie o to, że Giedroyc nie chciał wydrukować w Kulturze kolejnego odcinka „Dziennika pisanego nocą”, Herling zaś oświadczył, że został ocen-zurowany.*

M.D.Z.: – To była kwestia zmiany stosunku Giedroycia nie tyle do tego, co Herling pisze, ile do jego zachowania. Giedroyciowi nie przypadł do smaku styl zachowania Herlinga-Grudzińskiego w kraju.

S.B.: – *Co Pani ma na myśli? Obnoszenie się z charyzmą wielkiego pisarza czy typ poglądów politycznych...?*

M.D.Z.: – Moim zdaniem w rzeczywistości nie chodziło o stosunek do Kwaśniewskiego, ale o tę nadmierną ilość wywiadów, celebrowanie... Herling się trochę w ostatnich latach – jako pisarz – przeceniał. Nie zgodzę się z nim na przykład, że literatura polska ostatnich kilkudziesięciu lat to Miłosz, Gombrowicz i Herling-Grudziński.

S.B.: – *Ale na przykład Gombrowicz też szalenie wysoko się cenił i uważał się za geniusza. A był drukowany w Kulturze. I co, nie drażnił?*

M.D.Z.: – Naturalnie, drażnił. Uważam Gombrowicza za wielkiego pisarza, ale również za błazna. To się zresztą w dziwny sposób łączy. Kiedy powiedziałam Błońskiemu, że nie jestem wielbicieleką Gombrowicza, był wręcz obolały.

S.B.: – *Mówię bez hipokryzji i bez podlizywania się: Kultura nigdy nie miała tak dobrego recenzenta jak Pani. Ale też muszę dodać, że bardzo rzadko Pani krytykowała, a na tym polega ten zawód.*

M.D.Z.: – Nie lubię pisać o złych książkach. Często odmawiam napisania recenzji, bo nie chcę pisać o autorze źle.

S.B.: – *No i to jest właśnie ten problem: Pani selekcjonuje książki po to, żeby nie napisać o kimś źle.*

M.D.Z.: – Zawsze wydawało mi się, że honor kobiety-Polki wymaga tego, żeby nie kłać gniazda.

S.B.: – *To jest bardzo niedobre założenie. Przecież Pani wie najlepiej, że pisarze są pyszni, nadęci, pewni siebie,*



tracą poczucie hierarchii i wartości. Im się wydaje, że każda ich książka jest arcydziełem. Ktoś im musi dobitnie powiedzieć: „Drogi autorze, napisałeś książkę złą”!

M.D.Z.: – Napisałam tak właśnie o Miłoszu, bo moim zdaniem jego „Historia literatury polskiej” jest zła. W *Pamiętniku Literackim* Związku Pisarzy napisałam również, że Miłosz produkuje zbiory esejów na różne tematy, a byłoby lepiej, gdyby skoncentrował się na pogłębieniu jednego zagadnienia. Były to teksty bardzo krytyczne...

S.B.: – [wchodząc w słowo] *I domyślam się, że Miłosz nie był nimi uszczęśliwiony.*

M.D.Z.: – Nie. Zamieścił w *Kulturze* ostrą ripostę. Bardzo brzydko się o mnie wyrażał.

S.B.: – *I co, pozostał obustronny żal?*

M.D.Z.: – [ze śmiechem] Nie, to było nawet zabawne.

S.B.: – *No tak, zaatakowała go Pani, bo uraził Pani duszę uczonego, konkurenta. Ale poetów i prozaików zawsze nosiła Pani na rękach. A dziś widać znakomicie, że należało bić trzcina w pupę...*

M.D.Z.: – Nigdy nie uważałam pisanie recenzji za swój fach, nie sprawia mi to najmniejszej przyjemności. Odmawiałam często pisanie negatywnych recenzji również ze względów towarzyskich, koleżeńskich. To miało dla mnie duże znaczenie. Nie chciałam również szkodzić Bibliotece.

Poza tym zauważyłam także u siebie bardzo niedobłą cechę: są pewni pisarze czy osoby, których od pierwszego wejrzenia lub od przeczytania pierwszego ich tekstu nie znoszę. Takim pisarzem był np. Józef Łobodowski. Nie mogłam go czytać. Nie znosiłam go jako pisarza, a potem również jako człowieka. Mieszkał przez długie lata w Hiszpanii, poznał dobrze hiszpański i naśladował miejscowych poetów. Coś podobnego zresztą robił Rymkiewicz, z tym że jego romanse były o niebo lepsze od utworów Łobo-

dowskiego, które są grafomanią najwyższego stopnia. Ale z drugiej strony, ten Łobodowski był biedny, chory i godny pożałowania. Cieszył się wielką sympatią ludzką i występowanie przeciwko niemu byłoby okrutne. Trochę się tego bałam. To jest chyba bardzo ludzkie. Nie chciałam nowych wrogów, miałam wystarczająco dużo starych.

S.B.: – *Trochę to rozumiem, choć nie popieram. Czytając Pani prace o Mickiewiczu zwróciłem uwagę, że z wyraźną satysfakcją odnotowuje Pani każdy moment, gdy Mickiewicz jest dobrze widziany przez obcokrajowców. Pomyślałem, że to może być potrzeba kompensacji, charakterystyczna dla emigranta, szukającego uznania wśród obcokrajowców.*

M.D.Z.: – Radość, że ktoś z cudzoziemców interesuje się literaturą polską, jest nie tylko udziałem emigrantów, ale wszystkich Polaków.

S.B.: – *Ale Francuzi tak strasznie się tym nie przejmują, Amerykanie również nie. To jest chyba nasza polska cecha, kompleks narodowy. Pani też uwielbia, gdy nas doceniają za granicą.*

M.D.Z.: – A dlaczego by nie? Bardzo się cieszę teraz reakcją cudzoziemców na „Treny” Kochanowskiego. Niemal równocześnie ukazało się kilka ich przekładów na angielski. Przywiązuję do tego dużą wagę. Mam kompleks niższości, porównując średniowiecze polskie ze średniowieczem krajów zachodnioeuropejskich. Portugalczycy mieli duże kancjonały z bardzo urozmaiconą produkcją wierszopisarską, podczas gdy my możemy temu przeciwstawić jedynie luźne zdania i krótkie teksty, które nie mają żadnej wartości literackiej. Przed Rejem, a nawet przed Kochanowskim, napisano bardzo niewiele. Gdy Stefan Vrtel-Wierczyński, dyrektor Biblioteki Narodowej, przygotowywał wydanie tekstów staropolskich, w którym wykonałam część korekt, często rozmawialiśmy o tym, jak źle wypada literatura Polska w zestawieniu z literaturami zachodnimi.



S.B.: – *Zwróciłem też uwagę, że ważnym ogniwem Pani dorobku są rozważania na temat Polaków, którzy stali się słynnymi Brytyjczykami. Myślę np. o Conradzie i Malinowskim. Ten temat wyraźnie Panią pasjonował. Jakby poprzez nich próbowała się Pani przymierzyć do myśli o przedzierzgnięciu się w Angielkę...*

M.D.Z.: – *Nigdy nie myślałam o tym, żeby się angliczować. Niewątpliwie, interesowali mnie pisarze polscy, którzy osiągnęli sukces na Zachodzie. Bardzo się cieszyłam np. powodzeniem powieści Jerzego Pietrkiewicza i żałuję, że przestał pisać. Na starość wrócił znów do pisania po polsku, a był okres, kiedy wydawało się, że przeprowadził się na stałe do literatury angielskiej.*

S.B.: – *A jak Pani sobie radzi w sytuacji, kiedy przebywa Pani na emigracji i żywego języka praktycznie nie zna, poza językiem, który odnajduje Pani w książkach i czasopiśmie? Kiedy słucham na przykład swojego syna albo studentów na korytarzach uczelni, nieraz zdarza mi się ich nie rozumieć, chociaż jestem zanurzony w tym języku. Język stale się zmienia.*

M.D.Z.: – *Żywy język rzeczywiście doszedł do głosu w literaturze. Na mnie robi on wrażenie polszczyzny bardzo zaśmieconej. Kiedy czytałam pierwsze opowiadania Hłaski, czułam silny opór. Kiedy „Ósmy dzień tygodnia” stał się tematem dyskusji redakcyjnej w Radiu Wolna Europa, nie wzięłam w niej udziału, bo jest tam scena, w której bohaterowie przechodzą obok grupy łobuzów, którzy ich obrzucają najwulgarniejszymi przekleństwami. Mnie w tej chwili zastanawia to, że we współczesnej polszczyźnie jest tak dużo słów pochodzenia klasycznego, łaciny, czy greki. Nie wiem, jak sobie ten fenomen wytłumaczyć, bo w szkole dawno się już tych języków nie uczy.*

S.B.: – *Myślę, że obecnie obserwujemy przede wszystkim inwazję języka angielskiego. Nigdy tak nie było w języku polskim. Ale czy to jest zaśmiecanie języka? W polszczyźnie mamy całe złoża włoskiego, łaciny, francuskiego, a jednak*

*język polski jakoś żyje. Stąd sądzę, że angielski wejdzie tak samo w polszczyznę i będzie jej integralnym składnikiem, tak jak tamte języki. Być może dla emigracji, która zapamiętała język młodości, przedwojenna polszczyzna jest strażnicą, przy której należy stać z bronią u nogi. Język jednak żyje swoim życiem i nic mu się nie stanie.*

M.D.Z.: – *Nie nazwałabym tego strażnicą, ale osobistym upodobaniem. Nie podoba mi się dzisiejsza polszczyzna.*

S.B.: – *Ale to działa w dwie strony: Pani się nie podoba ten język, który zaczyna obecnie dominować, bo dla Pani jest on brudny, ale dla statystycznego czytelnika język emigracji jest niekomunikatywny, bo nakładają się nań gwary i języki obce.*

M.D.Z.: – *W ten sposób rozumując można dojść do wniosku, że Prus jest niekomunikatywny.*

S.B.: – *Dla młodzieży – częściowo już tak. Zmieńmy jednak wątek. Pani jest trochę jak Judym w spódnicy i bardzo chętnie wprowadza w swojej prozie silne akcenty społecznikowskie oraz postaci pozytywne lub wręcz pozytywistyczne. Czy to jest według Pani dobra tradycja?*

M.D.Z.: – *Myślę, że to wpływ Berenta. W opowieściach biograficznych ideą całego cyklu jest nawiązanie do okresu Księstwa Warszawskiego. Wtedy istniała prepozytywistyczna tendencja do akcentowania pożytku pracy. Może instynktownie szukam sensu tego, co robię?*

S.B.: – *Bardzo istotną cechą Pani pisarstwa jest przywoływanie atmosfery małych miasteczek. To niekoniecznie przyjazny świat, bo małomiasteczkowość to często synonim zacofania, konserwatyzmu.*

S.B.: – *Jestem zwolenniczką regionalizacji i regionów. Małomiasteczkowość w moim rozumieniu jest funkcją dogłębną znajomości jakiegoś odcinka Polski. Nie widzę u siebie małomiasteczkowości, tylko regionalizm.*



S.B.: – *A nie boi się Pani, że w ten sposób dochodzimy do idei skansenu kulturowego?*

M.D.Z.: – Misją pisarza jest uzasadnienie przywiązania do pewnego zakątka Polski.

S.B.: – *A co w takim razie zrobić z tym zakątkiem świata, w którym Pani obecnie mieszka? Mieszka tu Pani już prawie 30 lat, ale w Pani prozie nie ma Portugalii.*

M.D.Z.: – Bo jestem tu całkowicie wyobcowana.

S.B.: – *Twórca ma pewne serwituty wobec kraju, w którym żyje.*

M.D.Z.: – To jest kraj gościnny, który mnie przygarnął, który mi daje życie, ale nie jestem z nim uczuciowo związana.

S.B.: – *Dlaczego? 31 lat w Wielkiej Brytanii, 27 w Portugalii, a Pani mówi o wyobcowaniu. Czy to znaczy, że tak naprawdę emocjonalnie można się zakorzenić tylko w okresie dzieciństwa?*

M.D.Z.: – Chyba tak. Może nie tylko w okresie dzieciństwa, ale w latach młodości. Kiedy się już uformuje pewien styl życia, jeżeli jest się już dojrzałym, samowystarczalnym człowiekiem, trudno zakorzenić się w nowym miejscu. Mieszkałam we Francji, Anglii i w Portugalii, ale przecież nie mogę być po kolei Francuzką, Angielką i Portugalką.

S.B.: – *Próbuję to zrozumieć. Mieszka Pani tak długo w obcym kraju, przez prawie całe swoje dojrzałe życie, a jednocześnie uznaje Pani, że ojczyzna to te cztery ściany z polskimi książkami, mapami, przedmiotami i rozmowami z bliskimi, natomiast za ścianą jest już obcy świat.*

M.D.Z.: – To klerkizm, dobrowolne wyobcowanie. Moje życie tyle w sobie pomieściło, że już jest przepełnione, tak jak ściany tego domu odznaczeniami. Często słyszę, że w moim domu jest Polska i tak rzeczywiście jest.

S.B.: – *A może to jest właśnie ta słabość, o której mówił Gombrowicz, że my nie potrafimy i nie chcemy być obywatelami świata, że nie podejmujemy tego wysiłku.*

M.D.Z.: – Gdybym znalazła się w Polsce, czułabym jeszcze większe wyobcowanie i gorycz. Nie znalazłabym już tego, za czym tęsknię.

Feijó, Portugalia 1997-2000

Rozmawiał: Stanisław BEREŚ  
(Oprac.: Maja CICHORACKA)

## Inna wersja emigracji

FLORIAN ŚMIEJA: – *Przyjechaliśmy do Torunia tym samym pociągiem z Warszawy, ja po dziesięciodniowym pobycie w Wilnie, podczas którego miałem przyjemność pracować ze studentami na Uniwersytecie a także na Uniwersytecie Pedagogicznym. – Ty właściwie wprost z Londynu...*

BOLESŁAW TABORSKI: – Ale jeszcze zdążyłem wpaść do wydawcy (PIW), który przygotowuje wydanie mojego poematu „Drzwi gnieźnińskie” w trzech wersjach językowych (także angielska i niemiecka), ilustrowanego fotografiami kwater słynnych drzwi przedstawiających życie i śmierć św. Wojciecha.

F.Ś.: – *A przecież dopiero co była promocja Twojej książki „Moje powstanie, wtedy i teraz”, wydanej przez Państwowe Wydawnictwo Naukowe, a także „Poezje wybrane”, które ukazały się w PIW-ie. No, ale teraz jesteśmy w Twoim rodzinnym mieście na ogólnopolskiej konferencji naukowej poświęconej Jerzemu Pietrkiewiczowi, zatytuło-*



wanej „Inna wersja emigracji” w dniach 11 i 12 maja 2000. Mieliliśmy okazję świadczyć z autopsji o emigracyjnym poecie, pisarzu i naukowcu jako jego starzy sąsiedzi i przyjaciele z polskiego Londynu, o którym powstają w Polsce niedoinformowane i kumoterskie książki, pomijające wielu ważnych protagonistów niedawnej historii i życia emigracyjnego, a wynoszące różnych nadobowiązkowych pogrobowców.

B.T.: – Właściwie tak jest. Dlatego przypominanie jest tak ważne.

F.Ś.: – Zaskoczyło mnie wielkie zainteresowanie twórczością Pietrkiewicza wśród naukowców polskich, którzy tak licznie przybyli spoza Torunia: z Bydgoszczy, Gdańska, Katowic, Krakowa, Olsztyna i Poznania. Przyjechali, aby przedstawić postać wyjątkową i osobną, prezentować jego twórczość i wskazać, jak należy ją czytać, jak rozumieć literaturę emigracyjną, nie zadowolając się jedynie jej opisywaniem. No i ukoronowaniem dwudniowych obrad było pojawienie się na koniec Jerzego Pietrkiewicza, który nie tylko przeczytał kilka swoich wierszy, podpisywał swoje książki, ale znalazł wiele czasu, by z każdym wyczerpująco porozmawiać.

B.T.: – Wachlarz tematów poruszonych przez uczestników konferencji pokazuje wyraźnie, że Pietrkiewicz uchwycił się przed gettem, że usiłował po wojnie być nie pisarzem „emigracyjnym”, ale uniwersalnym. Nie chciał służyć tej społeczności w diasporze, pełnić służebnych obowiązków. Kiedy jego wena poetycka wyczerpała się i poezja pełniła mniejszą rolę, Pietrkiewicz ukończywszy studia objął niezależne stanowisko polonisty na Uniwersytecie Londyńskim, i był gotów na nowe...

F.Ś.: – Byłem wtedy jego asystentem. Pamiętam jak Pietrkiewicz przyszedł do pokoju i oświadczył, że od tego dnia stał się angielskim pisarzem. Chciał mieć kontakt ze swoim odbiorcą. Widział, że otoczenie mówi po angielsku i do niego postanowił mówić. Tak powstało osiem powieści

napisanych po angielsku, które krytycy przyjęli przychylnie, a nawet powstały przekłady na inne języki.

B.T.: – Wybrał inną drogę niż np. Gombrowicz, który również nie miał czytelnika, a jedyne oparcie znalazł w paryskiej Kulturze, gdzie mógł wydawać swoje książki i drukować dziennik. Pisał w swoim języku. Czy liczył na zwycięstwo za grobem, czy też będąc wielkim egotystą uważał, że najważniejsze było wyrażenie tego, co chciał, co nosił w sobie. I to go trzymało?

Pietrkiewicz w swoich powieściach był poetą. Dla Brytyjczyków była to trochę egzotyka. Cudzoziemiec piszący po angielsku nieco inaczej. Wtedy też Pietrkiewicz poznał i pokochał Hiszpanię. Zaczął do niej jeździć i osiadł w Andaluzji. Odtąd mówi o tym trójkacie w swoim życiu, o którym wspominałeś na sesji. Trochę racjonalizował to, że jest Europejczykiem trójnarodowościowym i że mu jest z tym dobrze.

F.Ś.: – Kto wie, czy w pewnym okresie Hiszpania nie zastępowała mu Polski, od której byliśmy odcięci. W moim życiu tak było. Anglia była zbyt inna. Podczas kiedy czasy stalinowskie zdawały się stanowić kordon sanitarny nie do przebycia, Hiszpania stała otworem, a sądzę, że dla Słowian jest to kraj bliższy, ciepły, w nim można się było czuć bliżej ojczyzny. Tę bliskość dwu krajów na ekstremach Europy już Leleweł zauważył snując swoje paralele...

B.T.: – W latach sześćdziesiątych Pietrkiewicz napisał, a wydał w Oksfordzie w 1970 roku, książkę „The Other Side of Silence” (Druga strona milczenia) – zbiór konsekwentnie napisanych esejów, w których jego znajomość i zadomowienie w poezji polskiej, angielskiej, francuskiej, hiszpańskiej i innych przyniosły doskonałe owoce. Pisząc tę książkę realizował założenie uniwersalizmu pisarza, ludzi czujących literaturę światową i wprowadził do książki poezję polską na równych prawach.

F.Ś.: – Ja również to zauważyłem: żadnej taryfy ulgowej. W pewnym czasie Jerzy Pietrkiewicz był jedynym bodaj



*Polakiem, który w Londynie publikował po angielsku eseje na temat literatury polskiej, wszystkie oryginalne, ogromnie ciekawe, nastawione na dobre przyjęcie przez Anglosasów, którzy nagle odkrywali w „Pamiętnikach” Paska czy „Pałubie” Irzykowskiego wartości sobie bliskie.*

B.T.: – Pamiętam jak studenci polscy zorganizowali w podlondyńskim ośrodku Cumberland Lodge sesję, na której Jerzy Pietrkiewicz mówił o literaturze polskiej. Nie zasypał słuchaczy setkami nazwisk, ale przedstawił historię rozwoju form literackich w Polsce na pięciu przykładach: „Trenów” Jana Kochanowskiego, „Pamiętników” Paska, „Vademecum” Norwida, „Wesela” Wyspiańskiego i „Pałuby” Irzykowskiego. Różnorodność i materiał do zastanowienia.

F.Ś.: – *Mówiono tu w Toruniu sporo o jego poezji, dużo o niektórych jego angielskich powieściach. Pominęto natomiast jego kontrowersyjną monografię poświęconą mariawitom polskim pt. „The Third Adam”...*

B.T.: – Nie wspomniano też o jego teatrze. No, nie było tego wiele. Wystawiono dramat „Sami swoi”, ale w roku 1950 napisał też sztukę „Scena ma trzy ściany”. Są to trzy sztuki powiązane z sobą. W każdej z nich grali czterej aktorzy, którzy odtwarzali kolejne sztuki. Moim zdaniem jest to sztuka nowatorska. W jednej z nich protagoniści noszą imiona abstrakcyjne: A, B. Nie znalazł się wtedy ani zainteresowany wydawca, ani teatr. W roku 1970 *Wiadomości* opublikowały tekst, ale było już za późno. Tymczasem odnieśli już swoje triumfy Beckett, Ionesco, a w Polsce pojawił się Mrozek. Sztukę Pietrkiewicza można by uznać za prekursorską.

Dramat wymaga trójwymiarowości, teatru. Pietrkiewicz go nie miał, więc jako dramaturg nie mógł rozwinąć skrzydeł.

F.Ś.: – *Mówiono natomiast o jego przekładach. To bardzo ważna pozycja. Przedtem wychodziły po angielsku różne zbiory poezji polskiej, ale zdystansowała je ta ogromna praca dokonana przez Pietrkiewicza i Burnsa Singera. Ich antologia oparta na własnych przekładach obejmuje pięć*

*wieków polskiej poezji. Stała się ona podstawowym źródłem tekstów w języku angielskim wszystkich epok polskiej poezji, jej kanonem. Inne antologie ograniczały się jedynie do poezji współczesnej.*

B.T.: – W Polsce natomiast antologia liryki angielskiej w wyborze i przekładzie Pietrkiewicza stała się ciekawym źródłem, wyborem bardzo wszechstronnym.

F.Ś.: – *Nie zapomniano też na konferencji o jego wyobraźni, o motywach religijnych i demonicznych...*

B.T.: – Ani o jego przedwojennych powiązaniach z prawicą, od których się z czasem odzegnał na skutek doświadczeń wojennych. Współpracował z londyńskimi *Wiadomościami*...

F.Ś.: – *Zapamiętałem prelekcję z Poznania o wadze miejsca i słowa u pisarza, o tym, że poeta żyje przede wszystkim w swoim świecie i że ważny jest jego akt do wewnątrz, jego tożsamość funkcjonalna, a nie tylko nominalna.*

B.T.: – W sumie bardzo udana konferencja doskonale zorganizowana przez profesora Janusza Kryszaka i jego Pracownię Badań Emigracji Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu.

*Rozmawiali: Florian ŚMIEJA  
i Bolesław TABORSKI*



## O religii bez namaszczenia

### Jak chory jest nasz Kościół?

Albo może lepiej – by uwidocznic, że chodzi nie tylko o nasz rodzimy Kościół katolicki – jak chore jest nasze chrześcijaństwo? Diagnozę postawił ks. Wacław Hryniewicz OMI w swym gorzkim sprawozdaniu z VIII sesji plenarnej Międzynarodowej Komisji Mieszanej dla sprawy dialogu między Kościołem rzymsko-katolickim i Kościołem prawosławnym\*.

Jest to gorzka i głęboko zawstydzająca lektura. Dialog katolicko-prawosławny był od siedmiu lat w zawieszaniu, od całych siedmiu lat, bo widocznie wzajemne stosunki były tak złe, że nie warto było nawet rozmawiać. Poprzednia, VII sesja plenarna Komisji, która odbyła się w roku 1993 w miejscowości Balamand w Libanie, zamiast wzajemnego zbliżenia wywołała po obu stronach fale protestów i wzajemnych rekryminacji, aż po zakwestionowanie przyjętej do tej pory grzecznościowej formuły, określającej oba wielkie odłamy chrześcijaństwa jako „Kościół siostrzane”. Nie było widocznie we wzajemnych stosunkach śladu chrześcijańskiej miłości, więc nie było właściwie o czym gadać. Niemniej, po siedmiu latach, Komisja zebrała się ponownie w lipcu 2000, tym razem w Stanach Zjednoczonych, w miejscowości Emmitsburg pod Baltimore. Ale i tym razem wynik nie był wiele lepszy. W pewnym momencie kardynał Edward Cassidy, jeden z dwóch przewodniczących Komisji, na znak protestu przeciwstawianym przez stronę prawosławną zarzutom wobec Rzymu, po prostu, wraz z całą delegacją katolicką, wyszedł z sali

\* Wacław Hryniewicz OMI: „Jesteśmy bardziej chorzy niż myślimy”. *Tygodnik Powszechny*, 13 sierpnia 2000.

obrad. Na szczęście udało się potem ten incydent załatać, kardynał wrócił na salę i przeprosił zebranych za swój spontaniczny gest. Z kolei drugi współprzewodniczący, prawosławny metropolita Stylianos z Australii, przeprosił stronę katolicką za nieumiarkowane wypowiedzi strony prawosławnej. I wówczas to metropolita Stylianos wypowiedział samokrytycznie tę ponurą diagnozę, której potem ks. Hryniewicz użył jako tytułu swojego sprawozdania w *Tygodniku Powszechnym*. W rzeczy samej musieli być po obu stronach ludzie, którzy potrafią opanować rozbujające emocje i szukać rzeczowych pomostów, co stanowi sens i cel dialogu. Nie było ich chyba wielu, ale jednym z nich na pewno był ks. Hryniewicz, który w swym sprawozdaniu kilkakrotnie cytuje treść swoich własnych pojedynczych wystąpień. Ks. Hryniewicz jest oczywiście absolutnie lojalnym duchownym katolickim (sądząc z jego artykułów w *Tygodniku Powszechnym*, czasem nawet zbyt lojalnym) ale jest też profesorem i wybitnym znawcą teologii prawosławnej na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, biegłym między innymi w języku rosyjskim i greckim. To osobiste zaangażowanie po obu stronach daje mu ogromną przewagę intelektualną i moralną nad uczestnikami dialogu, którzy są zaangażowani tylko po jednej albo po drugiej stronie. Nie tylko daje mu to poszerzenie wizji, ale także uwalnia od nadmiernej lojalności wobec własnej strony i pozwala uznać przynajmniej najoczywistsze racje strony przeciwnej. Nieszczęściem dialogu w Emmitsburgu, jak przedtem dialogu w Balamand, było, że ludzi o takiej szerokości wizji i zdolności zrozumienia argumentów strony przeciwnej było w obu sesjach za mało. Większość ich uczestników, zarówno katolickich jak i prawosławnych, była i jest nadal do tego stopnia przekonana o słuszności swoich i tylko swoich racji, że w ostatniej sesji nie doszło do żadnej poważnej próby znalezienia nadrzędnej wspólnej platformy.

Czy taka platforma istnieje? Zanim spróbujemy odpowiedzieć na to pytanie, trzeba, abyśmy i my, postronni obserwatorzy dialogu, podjęli próbę zrozumienia przyczyn i natury tych nieprzewidywanych dotychczas oporów. Jeśli te opory są chorobą, to i my, postronni obserwatorzy, jesteśmy nią nie mniej zarażeni. Jesteśmy z niej nawet na swój sposób dumni. Jesteśmy przywiązani do swoich instytucjonalnych, histo-



rycznych tradycji. Prawosławni do swoich nie mniej niż katolicy, czy w ogóle zachodni chrześcijanie do swoich. Także unicy, którzy na obecnym, historycznym etapie stali się główną kością niezgody między rzymskim katolicyzmem a wschodnioeuropejskim prawosławiem, też mają swoją, już pół-tysiącletnią tradycję, w tym i tradycję wyznaniowego męczeństwa, której wyrzec się, nawet gdyby chcieli, po prostu nie mogą. Walka z wszelkimi wyznaniowo-historycznymi tradycjami jest walką z góry przegraną. Tylko jednej rzeczy można ze strony wszystkich tych tradycji wymagać: uznania, że wszystkie one mają wartość tylko instrumentalną, jako zewnętrzne, kulturowe środki wyrazu ponadkulturowego, autentycznego chrześcijaństwa. Chrześcijaństwo to nade wszystko miłość Boga i innych ludzi, objawiona w ukrzyżowanym i zmartwychwstałym Chrystusie Panu, czyli Ewangelii. Ewangelii, sądząc z gorzkiej relacji ks. Hryniewicza, było zarówno w Balamand jak i Emmitsburgu serdecznie mało. Dużo było troski o swoje umiłowane tradycje, prawosławne i katolickie, jak gdyby były one celem same w sobie. Prawda, że w codziennej praktyce obu wyznań te tradycje w Ewangelii mają swoje zakotwiczenie i Ewangelii faktycznie służą, ale – jak właśnie obie te sesje międzywyznaniowe wykazały – nie są z nią jednoznaczne; często w gorące zaciętych debat miłość własnych tradycji przybierała kształt nienawiści do tradycji strony przeciwnej. I żadnemu z uczestników dyskusji jakoś nie przychodziło do głowy – w każdym razie nie ma śladu tego w relacjach naszego sprawozdawcy – że ich osobiste przekonania są w dużej mierze wynikiem przypadku urodzenia i wychowania w danym kręgu kulturowym, zachodnim czy wschodnim, katolickim czy prawosławnym. Że gdyby kardynał Cassidy, dajmy na to, był duchownym prawosławnym, to zapewne argumentowałby mniej lub więcej tak jak faktycznie w ciągu sesji argumentował, dajmy na to, metropolita Stylianos – i na odwrót. Trudno o bardziej elementarny, ale właśnie dlatego przekonujący dowód, że debaty dotyczyły nie esencji lecz przypadkowych okoliczności ich chrześcijańskiego zaangażowania. Jakże łatwo w świetle tego prymitywnego dowodu wyobrazić sobie, że mogło być, i powinno było, być inaczej. Faktycznie reprezentowali to „inaczej” ci z uczestników, którzy jak ks.

Hryniewicz podejmowali wysiłek zrozumienia postawy i argumentów strony przeciwnej.

Potrzeba podjęcia takiego wysiłku zachodzi oczywiście w każdej dyskusji, której celem są wartości nadrzędne w stosunku do interesów zaangażowanych stron, wartości takich jak prawda albo wspólne dobro. Zgoła odmienna jest sytuacja, w której celem rozmowy jest maksymalizacja interesu jednej lub drugiej strony. Takimi są, z grubsza biorąc, nade wszystko rozmowy polityczne i komercyjne. Pomińmy dla uproszczenia analizy sytuacje, nie tylko możliwe, ale w dojrzałych społecznościach świadomie poszukiwane, w których maksymalizacja interesu jednej strony jest równocześnie maksymalizacją interesu drugiej; istotne tu jest, że celem są interesy stron, a nie wartości w stosunku do interesu stron nadrzędne. Trudno oprzeć się wrażeniu, że w kolejnych sesjach rozmów katolicko-prawosławnych decydującą rolę grał właśnie interes, i to nie interes wspólny lecz interesy każdej ze stron, kosztem drugiej strony. To nadało im charakter rozmów nie tyle religijnych co politycznych i o tyle nie-chrześcijańskich, że nadrzędne wartości ewangeliczne były w nich na stosunkowo dalekim planie. Jest to szczególny aspekt zjawiska polityzacji życia Kościoła, o którym pisałem ostatnio w artykule „Watykan religijny i polityczny” (*Kultura*, wrzesień 2000).

Na tym chyba polega nasza choroba, i jesteśmy bardziej chorzy niż myślimy, gdyż wydaje się nam, że broniąc instytucjonalnych interesów naszych Kościołów, naszych ludzkich tradycji, bronimy sprawę Bożej, od której nie wolno nam nawet na jotę odstępować. Nawet z miłości dla naszych najbliższych współbraci w wierze, którzy z równą determinacją bronią swoich nieco odmiennych tradycji i instytucjonalnych interesów swoich Kościołów. I taką przynajmniej korzyść odnosimy z nieudanych dialogów katolicko-prawosławnych, że uprzytomniły nam one, jak bardzo jesteśmy chorzy i na czym nasza choroba polega. To pozwoliło ks. Hryniewiczowi zakończyć swoje bolesne sprawozdanie słowami nadziei, którą na pewno podzielają także najbardziej uparci uczestnicy rozmów w Balamand i Emmitsburgu: „Chrześcijaninowi nie wolno być desperatem. Nawet w sytuacji bezradności nie chce on poddać się zwątpieniu. Nadzieja żyje w naszych Kościołach. Dialog trwa nadal – jedyna droga do pojednania.”



Piękna nadzieja, ale po to by mogła być płodna, trzeba nam z dotychczasowych doświadczeń wyciągnąć praktyczne wnioski na przyszłość. Stwierdziliśmy, że przyczyną niepowodzeń jest głęboko zakorzeniona tendencja do nadawania charakteru prawd absolutnych zasadom, które mają charakter tylko instrumentalny. Taką zasadą po stronie katolickiej jest uniwersalny prymat biskupa Rzymu, powszechność jego jurysdykcji i jego fundamentalna nieomyślność, a po stronie prawosławnej (i w ogóle pozakatolickiej) równie stanowcze i naprawdę powszechne zaprzeczenie tego prymatu. Zatem podstawowym warunkiem powodzenia dalszego dialogu jest, jeśli nie wprost zarzucenie, to przynajmniej zredukowanie stanowisk obu stron w tej sprawie do statusu twierdzeń tylko względnych i podległych uzgodnionym w wyniku dialogu modyfikacjom. Ani Rzym, ani całe pozarzymskie chrześcijaństwo nic na tym nie tracą, bo i tak stanowiska te od tysiąca lat funkcjonowały tylko w teorii, będąc przy tym źródłem nie ewangelicznej miłości lecz rażąco niechrześcijańskiej nienawiści. Cierpiało na tym autorytet moralny obu wielkich odłamów światowego chrześcijaństwa, czyli cierpiało wspólnie przez nie reprezentowane ewangeliczne chrześcijaństwo, sprawiając, że w oczach niewierzącego świata traciło ono wiarygodność. Cóż może być warta prawda, rzekoma prawda, jaką ci rzekomi chrześcijanie głoszą przeciwko sobie! To już jest nie tylko choroba, to sprzeniewierzenie się nakazanemu im przez Boga wspólnemu posłannictwu, wielki historyczny międzyinstytucjonalny grzech.

Zgoła katastrofalny wynik obu ostatnich sesji Międzynarodowej Komisji Mieszanej może znaczyć, że ta metoda wewnątrzchrześcijańskiego dialogu nie jest najlepszym sposobem zaradzenia złu. Bo praktyczne stosunki w terenie nie wydają się być aż tak złe. Są złe, gdy kościoły czy parafie na siłę wciskają sobie wzajemnie swoje instytucjonalne racje, są natomiast zupełnie znośne, gdy zdarzają się możliwości lokalnej współpracy. Także na wyższych instytucjonalnych szczeblach. Dostojnicy prawosławni bywają w Rzymie, biskupi katoliccy spotykają się z biskupami prawosławnymi. Drugi Sobór Watykański, jakkolwiek formalnie tylko wewnątrzkatolicki, nie pozostał bez wpływu na inne wyznania, poza prawosławiem również na inne Kościoły zachodnie: anglikański,

protestanckie i inne. Także na szeregowych katolickich wiernych, często wbrew aplikowanym z góry oficjalnym hamulcom, jak zakaz inter-komunii. Jak cudowny efekt miałyby inter-komunia Papieża Jana Pawła z Patriarchą Teoksystem – i towarzyszących im dostojników katolickich i prawosławnych – w czasie zeszłorocznej wizyty Papieża w Rumunii! Efekt błogosławiony i bez porównania większy niż lansowane przeciw sobie wzajemnie inwektywy członków Międzynarodowej Komisji Mieszanej. Może już w tym roku lub w najbliższym czasie mogłoby dojść do wizyty Papieża w Rosji i spotkania z wciąż jeszcze zajadłym wrogiem Patriarchą Aleksym. Jakże inaczej wyglądałyby dziś stosunki Rzymu z prawosławną Rosją, gdyby arcybiskup Kondrusiewicz od samego początku swej misji, zamiast budować na tych terenach konkurencyjną katolicką administrację, szukał kontaktów, jak to teraz czyni, z ocalałymi z komunistycznej ateizacji prawosławnymi wiernymi i gdyby swoich wiernych do takich kontaktów zachęcał.

Na prawdziwe chrześcijaństwo składają się w pierwszym rzędzie czyny bezinteresownej miłości, dopiero na drugim lub trzecim miejscu ukształtowana w myślowy system doktryna i konieczne do efektywnego współdziałania kościelne instytucje. Przy zachowaniu takiej czy podobnej skali wartości – ale tylko pod tym warunkiem – kolejna sesja Międzynarodowej Komisji Mieszanej katolicko-prawosławnej, jeśli do niej dojdzie, też może dać pozytywny wkład do życia Chrystusowego Kościoła na ziemi. Ale byłaby to sesja bardzo niepodobna do dotychczasowych.

Antoni POSPIESZALSKI

#### Postscriptum

W ciągu miesięcy letnich i na początku września doszły do wiadomości publicznej dwa watykańskie dokumenty, które nie tylko stawiają pod znakiem zapytania konstruktywną kontynuację dialogu między rzymskim katolicyzmem a prawosławiem, ale stanowią ponadto bez mała śmiertelny cios dla całego ruchu ekumenicznego, ruchu zmierzającego do



zjednoczenia chrześcijaństwa, rozpoczętego (jeśli chodzi o Kościół katolicki) w latach 60-tych przez Drugi Sobór Watykański. Pierwszy z tych dokumentów, list okólny rozesłany przez Kongregację Nauki i Wiary do wszystkich biskupów, zakazuje kościołom pozostającym w łączności z Rzymem stosowania określenia „kościóły siostrzane” w odniesieniu do kościołów chrześcijańskich, które tej łączności nie mają. List stwierdza, że Kościół katolicki jako całość nie jest kościołem siostrzanym, lecz matką wszystkich prawdziwych kościołów. Drugi dokument, deklaracja zaczynająca się od słów *Dominus Iesus*, generalizuje tę postawę, stwierdzając, że Kościół rzymsko-katolicki jest jedynym kościołem w pełni chrześcijańskim, a wszystkie inne wyznania cierpią na różnego rodzaju „defekty”, do tego stopnia, że ich obrządki są czy mogą być „przeszkodą do zbawienia”. Rzecz jasna, że szczególnie ten drugi dokument wywołał z miejsca głośne protesty ze strony napiętnowanych w ten sposób wyznań, a także wyrazy żalu i zambarasowania ze strony wielu osobistości i ośrodków katolickich. Niektórzy hierarchowie, jak niedawno mianowany nowy arcybiskup Westminsteru, próbują łagodzić oburzenie, twierdząc, że jest to tylko dokument wewnętrzniekatolicki i że Rzym nie miał zamiaru obrażać innych chrześcijan.

Jest rzeczą zdumiewającą, że dokument o tak oczywistych i tak daleko idących konsekwencjach został wydany nie przez papieża, lecz tylko przez jedną, choć najważniejszą, z rzymskich kongregacji i nosi podpis prefekta tej kongregacji kard. Józefa Ratzingera. I tak samo jest w przypadku wydanego wcześniej listu okólnego zakazującego używania w celach ekumenicznych określenia „kościóły siostrzane”. Niemniej oba dokumenty mają mieć za sobą aprobatę papieża. Wygląda to trochę na to, jak gdyby Jan Paweł II odstąpił jednemu z kardynałów właściwą jego urzędowi funkcję uniwersalnego autorytatywnego nauczania. Ale dlaczego cały świat chrześcijański miałby słuchać głosu jednego z rzymskich kardynałów? Jeszcze jeden gest lekceważenia wobec niekatolickich chrześcijan? Na szczęście cechująca te dokumenty wyznaniowa arogancja nie ma już dziś przyszłości. Nawet w szerokich kręgach wiernych katolickich. Od czasu Soboru świadomość ekumeniczna poczyniła – mimo zrozumiałych historycznych i psychologicznych oporów – takie postępy, że

w codziennej praktyce wiary, choć nie w liturgii, czujemy się już prawie wszyscy jednym wielkim Chrystusowym kościołem. Katolicy nie mniej niż protestanci, anglikanie czy prawosławni (choć wśród tych ostatnich, jak to wykazała sesja katolicko-prawosławna w Emmitsburgu, nie brak równie aroganckich zakutych łbów jak w kongregacji kardynała Ratzingera, nastawionych jednak wzajemnie przeciwko sobie). Dlatego ostatnie wydarzenia nie są zapewne taką katastrofą, jak to (przyznaję) sam zrazu byłem gotów sądzić. Są one raczej jeszcze jednym przykrym epizodem na drodze do eschatologicznego zjednoczenia chrześcijaństwa. Nie sposób dzisiaj zgadnąć, jaką formę to zjednoczenie przybierze. Będzie takie, jakie Bóg zechce. Ale w naturze naszej wiary leży, jak to powiedział ks. Hryniewicz w zakończeniu swego sprawozdania z katolicko-prawosławnego spotkania, że chrześcijanin nigdy nie traci nadziei.

Antoni POSPIESZALSKI



## Kraj

# Cierpienia młodego tygrysa

Kiedy na początku lat dziewięćdziesiątych Lech Wałęsa zapowiedział, że Polska będzie drugą Japonią, warszawscy studenci złośliwie zdefiniowali drugą Japonię jako połączenie polskiej myśli technicznej z polską myślą organizacyjną. W kolejnych latach dość często powracały dumne stwierdzenia, że Polska jest „tygrysem Europy Środkowej”. Azjatyckie tygrysy uzyskały swoją nazwę dopiero wtedy, kiedy ich agresywna polityka eksportowa zaczęła być problemem dla najbardziej uprzemysłowionych państw świata. Zachodni ekonomiści kojarzyli szybki wzrost gospodarczy głównie ze skuteczną polityką eksportową i tylko nieliczni zajmowali się takimi szczegółami jak polityka rozwoju wsi, polityka oświatowa, ustawodawstwo sprzyjające rozwojowi przedsiębiorczości, itp. Z oddalenia widać było przede wszystkim nagłe pojawienie się na rynkach światowych towarów przemysłowych z Korei Południowej, Tajwanu, czy Hongkongu.

Tygrysy budziły obawę, Polska przypomina raczej kota, głaskanego i chwalonego za dobre sprawowanie. Zamiar zostania tygrysem był niewątpliwie szczyry. Również zachodni politycy i ekonomiści szczerze życzyli nam powodzenia i w najlepszej wierze dawali nam swoje instrukcje hodowli tygrysów. Chcieli nam tylko oszczędzić błędów, które ich zdaniem popełniły azjatyckie tygrysy, nadmiernie chroniąc swoje rolnictwo i niektóre dziedziny produkcji przemysłowej.

Załamaniu się systemu komunistycznego towarzyszyła galopująca inflacja. W ostatniej fazie socjalistycznej gospodarki jedyną produkcją, która szła pełną parą, była produkcja banknotów. W tej sytuacji trudno się dziwić temu, że wszel-

kie koncepcje przejścia do gospodarki kapitalistycznej musiały zaczynać się od pytania, jak zwolnić tempo maszyn drukujących pieniądze. Ktokolwiek krytykuje całą koncepcję reform Leszka Balcerowicza, powinien przypomnieć sobie ekonomiczne realia 1989 roku. Można powiedzieć, że początkowa faza reform podyktowana była przez ówczesną sytuację. Wszelka terapia szokowa wymaga jednak bardzo uważnej obserwacji reakcji pacjenta. Silna i stabilna złotówka była oczywistym marzeniem po okresie galopującej inflacji, z chwilą jednak gdy wzrost inflacji został zahamowany, pojawiło się pytanie o strategię gospodarczą. Silna złotówka utrudniała eksport i ułatwiała import, co mogło mieć pewne pozytywne z punktu widzenia tempa modernizacji parku maszynowego, ale było zabójcze dla polskiego eksportu w momencie jego całkowitego przestawiania z rynków wschodnich na zachodnie.

Dziś, po dziesięciu latach, pojawia się pytanie o powody, dla których najlepsze przedsiębiorstwa sprzedane zostały za bardzo niską cenę. Tych powodów było z pewnością wiele, ale jednym z dominujących czynników była z pewnością blokująca eksport siła złotówki, załamane się tych przedsiębiorstw zanim poszły pod młotek. Silna złotówka wzbudzała zaufanie, a przynajmniej takie było wówczas odczucie zarówno w NBP jak i w Ministerstwie Finansów. Od pierwszego momentu pojawiły się jednak głosy krytyczne i dziś możemy chyba powiedzieć, że nazbyt silna złotówka okazała się grzechem pierworodnym przy porodzie tego tygrysa.

Na przestrzeni minionego dziesięciolecia obawa przed ponownym wzrostem inflacji wyznaczała nadrzędną zasadę polityki finansowej w państwie. Wydaje się, iż było to i słuszne, i zrozumiałe. Niestety, dyskusja na temat metod walki z inflacją podobna była do wszelkich innych dyskusji na polskiej arenie politycznej. Podczas gdy architekt polskich reform gospodarczych, Leszek Balcerowicz, oskarżany był bardzo często (w tym również przez kolegów z własnej partii politycznej) o apodyktyczność, brak umiejętności dyskusowania, czy wręcz doktrynerstwo, wielu przeciwników jego polityki prezentowało swoje argumenty w sposób zapraszający do skwitowania ich wzruszeniem ramion.



We wszystkich publicznych wystąpieniach Leszka Balcerowicza zdecydowanie najczęściej występującym zwrotem jest określenie „ręczne sterowanie”. Balcerowicz jest gorliwym wyznawcą gospodarczego liberalizmu, a więc systemu, w którym ingerencja państwa w działanie rynku ograniczona jest do minimum. Ręczne sterowanie, to według Leszka Balcerowicza, wszelkie zbędne ingerencje państwa w działanie rynku.

Problem polega na tym, że nie mamy dobrej definicji tego, co to jest rynek, ani gdzie właściwie przebiega granica owego minimum ingerencji państwowych, ani wreszcie, które ingerencje są zbędne. Polityka monetarna, system podatkowy, regulacje prawne, polityka budżetowa państwa, to wszystko są ingerencje państwa w działanie rynku i możemy je uznać za lepsze niż wyznaczanie planów produkcyjnych konkretnym fabrykom, ale nie powinniśmy udawać, że są czymś innym. Jakościowa różnica polega na tym, że ten typ ingerencji państwa z założenia zmierza do tworzenia względnie stabilnych i przewidywalnych warunków działania dla autonomicznych podmiotów gospodarczych.

Mam wrażenie, że spory wokół bezcłowego importu zboża znakomicie pokazują pewne uproszczenia, którymi posługuje się większość uczestników dyskusji o strategii gospodarczej. Zwolennicy liberalizmu gospodarczego z reguły odnoszą pojęcie rynku do rynku międzynarodowego, zaś rynek wewnętrzny jest i powinien być ich zdaniem tylko jego częścią, której ochrona nieodmiennie pociąga za sobą negatywne skutki. W wypowiedziach liberałów rynek jest nagminnie idealizowany. Handel bronią i handel żywnością pokazują najwyraźniej jak wielka jest przepaść między ideałem wolnego handlu a rzeczywistością.

Trwająca ponad trzy miesiące susza spowodowała w tym roku gwałtowny spadek plonów zbóż, co już w czerwcu i lipcu spowodowało wzrost cen zboża i mąki. Wyprzedaż rezerw Agencji Rynku Rolnego okazała się niewystarczająca. W sierpniu okazało się, że inflacja podskoczyła do ponad 11 procent. W opiniach wielu polityków głównym czynnikiem, który spowodował wzrost inflacji był wzrost cen żywności. W tej sytuacji rząd zezwolił na bezcłowy import ograniczonej ilości zboża. W końcu sierpnia prasa wiele pisała o incydencie

jaki miał miejsce przed i w gmachu Ministerstwa Gospodarki z okazji przydzielania firmom koncesji na bezcłowy import. Wśród stojących w kolejce po owe „kontyngenty” doszło do szarpaniny i rękoczynów, a ministerstwo zostało oskarżone o manipulację informacją na temat tych „kontyngentów”. Cała sprawa wywołała dyskusję w prasie, która zaowocowała licznymi propozycjami nowych zasad przydzielania takich „kontyngentów” oraz lawiną żądań całkowitego zniesienia ceł na zboże. W *Gazecie Wyborczej* Krystyna Naszkowska przypominała, że w podobnej sytuacji w 1996 roku, ówczesny minister rolnictwa Roman Jagieliński zniósł cła na import zboża co, jak sama przyznaje, na dwa lata zapełniło magazyny, narażając krajowych rolników na ogromne straty. Krystyna Naszkowska twierdzi, że kolejne rządy przywróciły i utrzymywały cła na zboże z obawy przed chłopami. Autorka nie wspomina, że te cła są całkowicie zgodne z porozumieniami ze Światową Organizacją Handlu, że są ważną kartą przetargową w negocjacjach z Unią Europejską i (co ważniejsze) wydaje się być całkowicie nieświadoma tego, co właściwie skłania rządu do kontroli handlu żywnością.

Nie chcę się wdawać w tym miejscu w dyskusję na temat tego, jaki udział ma tegoroczny wzrost cen zboża na poziom inflacji. Od początku istnienia nauki o ekonomii, ekonomiści wiedzą, że gwałtowne skoki cen żywności nieodmiennie pociągają za sobą inflację, a często również cały szereg innych problemów gospodarczych, społecznych i politycznych. Pierwsze wzmianki na temat konieczności stabilizacji zaopatrzenia kraju w żywność znajdujemy w Starym Testamencie, a lwia część książek zajmujących się historią gospodarki, poświęcona jest głównie opisom handlu żywnością oraz bardziej lub mniej udanym wysiłkom zmierzającym do stabilizacji zaopatrzenia w żywność oraz stabilizacji cen żywności. Mało kto dziś pamięta, że brytyjskie „prawa zbożowe” w XVII i XVIII wieku były silnie związane z polskim eksportem zboża po, jak byśmy to dziś powiedzieli, dumpingowych cenach. System pańszczyźniany, czyli praca niewolnicza, pozwalał na sprzedaż tego zboża po zdecydowanie „konkurencyjnych” cenach w portach Europy Zachodniej. Warto powrócić do tej odległej historii, by odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego bezcłowy import żywności do Polski



przynosi tak bajeczne zyski importerom. Dziś, podobnie jak dwieście lat temu, na rynkach światowych pojawia się bardzo dużo żywności po podejrzenie niskich cenach. Ponieważ do produkcji żywności nie jest absolutnie niezbędny ani wielki kapitał, ani wysokie kwalifikacje, natomiast łatwo ją rekwirować producentom, więc dyktatorzy chętnie sprzedają ją po dumpingowych cenach, uzyskując w ten sposób środki na zakup towarów, które trudno wyprodukować przy pomocy niewolnej lub nie całkiem wolnej siły roboczej. W miarę wzrostu znaczenia międzynarodowego handlu i wyłaniania się wolnego rynku, handel kradzioną żywnością stanowił dla owego wolnego rynku coraz poważniejsze zagrożenie. Jeśli na wcześniejszym etapie głównym powodem dążenia do żywnościowej samowystarczalności była troska o bezpieczeństwo państwa, to w nowej sytuacji (po rewolucji przemysłowej) wyłonił się problem konkurencji między wydajnym rolnictwem, opartym na wolnym handlu, a prymitywnym rolnictwem w krajach zniewolonych przez własne dyktatury lub siły zewnętrzne.

Włączenie produkcji żywności do nowoczesnej gospodarki, oparcie rolnictwa na wysokich kwalifikacjach, opłacalność podnoszenia wydajności w tym dziale produkcji uzależniona była od odcięcia rynku wewnętrznego od stałego dopływu towarów sprzedawanych po podejrzenie niskich cenach. Oczywiście nie było ani jednolitej teorii, ani jednolitej praktyki w tej dziedzinie. Rewolucja przemysłowa wzmacniała szeregi tych, którzy dążyli do rozszerzenia rynku wewnętrznego i gwarancji dla wolnego handlu w granicach własnego kraju oraz szeregi tych, którzy czerpali zyski głównie z eksportu i w związku z tym byli głęboko przeciwni jakimkolwiek restrykcjom w imporcie żywności. W historii najnowszej wydarzeniami, które promieniują nadal na dzień dzisiejszy była polityka rolna Stanów Zjednoczonych w latach trzydziestych i czterdziestych, przyjęcie analogicznej polityki przez Europejską Wspólnotę Gospodarczą w latach sześćdziesiątych oraz zastosowanie podobnej strategii rozwoju przez Japonię, a następnie kilka innych państw Południowo-Wschodniej Azji. Z grubsza rzecz biorąc, taktyka ta polegała na włączeniu własnego rolnictwa do nowoczesnej gospodarki, m.in. poprzez drastyczną osłonę własnego rynku żywności

przed zewnętrzną „konkurencją”. (Zaopatrzyłem tu słowo konkurencja w cudzysłów, gdyż nieodmiennie tańsza, importowana żywność nie była sprzedawana przez bezpośrednich producentów, a przez paserów i po paserskich cenach). W efekcie tych zabiegów byliśmy świadkami lawinowego wzrostu wydajności w produkcji żywności. Gromadzenie dużych państwowych rezerw żywności pozwalało na zagwarantowanie zarówno stabilnych cen producenta jak i konsumenta. Stabilizacja cen żywności okazała się na dłuższą metę korzystniejsza dla przemysłu niż ciągła presja na utrzymanie maksymalnie niskich cen, gdyż stabilizacja pozwalała radykalnie ograniczyć inflację.

Fakt, że rolnicy objęci zostali w tych krajach mechanizmami wolnego handlu, okazał się w Stanach Zjednoczonych, w Europie Zachodniej i w krajach azjatyckich czynnikiem niebywale wzmacniającym gospodarkę. Mechanizmy wspierania rolnictwa prowadziły nie tylko do radykalnego wzrostu wydajności, ale również do gwałtownego przyspieszenia redukcji zatrudnienia w rolnictwie bez tworzenia wielkiej rzeszy bezrobotnych. W miarę upływu czasu można było powiedzieć, że zasadnicze cele takiej polityki rolnej zostały osiągnięte (modernizacja rolnictwa, wzrost wydajności, zmiana struktury zatrudnienia), natomiast koszty dalszego utrzymywania tej polityki miały z wielu względów tendencję rosnącą. Szczególnie kosztowne były (i są nadal) ogromne nadwyżki towarów rolnych, których skup jest głównym mechanizmem wspierania rodzimych rolników. W krajach, które prowadzą taką politykę, lata złych plonów przyjmowane są często z kiepsko skrywaną ulgą, gdyż pozwalają częściowo rozładować nadmierne zapasy. Bez trudu można również zauważyć, iż piękne gesty pomocy humanitarnej w postaci darmowych transportów żywności, mają również swoje cele uboczne, które w pewnych sytuacjach mogą być tak ważne dla ofiarodawców, iż w efekcie nadmierne przedłużająca się pomoc staje się przyczyną nowych problemów gospodarczych kraju, który taką pomoc otrzymuje. Dbalność o stabilność cen żywności na rynku wewnętrznym pozwala zrozumieć kalkulacje, według których opłacalne są pozornie absurdalne subwencje do eksportu żywności, sprzedawanej obcym po cenach znacznie niższych niż na własnym rynku krajowym.



(Uczeni w piśmie twierdzą, że jest to wynik nacisków rolniczego lobby, reprezentującego raptem 2-5 procent wyborców i coraz mniejszy kapitał). Rządy tych krajów dość często opowiadają się za liberalizacją handlu żywnością na arenie międzynarodowej, z reguły bardzo starannie ograniczając reformy własnej polityki rolnej do zmian kosmetycznych lub pozorowanych. Włączenie rolnictwa do wolnego rynku na ograniczonym obszarze wymagało i nadal wymaga ręcznego sterowania, zaś długotrwałe zabiegi w tym kierunku łatwo zniweczyć nazbyt pochopną rewolucją.

Tymczasem na międzynarodowym rynku żywności mamy radykalnie zmienioną sytuację. Nieliczne kraje, które włączyły swoje rolnictwo do wolnego rynku i umożliwiły, by wzrost wydajności w tej dziedzinie produkcji był analogiczny do wzrostu wydajności w produkcji przemysłowej, produkują dziś więcej nadwyżek żywności niż cała reszta świata i chociaż na międzynarodowych rynkach nadal jest sporo żywności sprzedawanej przez różnego rodzaju dyktatury, to w porównaniu ze sprzedawaną po dumpingowych cenach żywnością z najbardziej uprzemysłowionych państw świata, żywność z dyktatur stanowi dziś zaledwie drobny margines.

Oczywiście możemy włączyć się do chóru głosów domagających się całkowitej liberalizacji handlu żywnością, ale warto pamiętać, że skuteczność tych żądań jak dotychczas była dość ograniczona i realizm nakazywałby liczenie się z tym, że handel żywnością długo jeszcze odbiegać będzie od naszego ideału wolnego handlu. Z tego punktu widzenia interesujące były apele profesora Balcerowicza do Unii Europejskiej o zniesienie wszelkich dopłat do eksportu żywności (jak pamiętamy pozostały głosem wołającego na puszczy) jak również jego obecne apele o zniesienie ceł na import zboża do Polski z argumentacją, że przecież inflacja uderza również w rolników. (Perspektywa inflacji dochodów, których nie ma, słabo przemawia do wyobraźni).

Jeszcze w latach siedemdziesiątych, ówczesny przywódca szwedzkich związków zawodowych, Stig Malm, wystosował żarliwy apel do rządu o zniesienie wszelkich ceł na import żywności. „Jeśli są kraje – mówił – które chcą subwencjonować naszą konsumpcję żywności, powinniśmy brać i jeszcze dziękować.” Ten apel powtarzany był setki razy przez

szwedzką prasę, powtarzany był przez posłów w szwedzkim parlamencie, ale został totalnie zignorowany przez szwedzki rząd.

Dziś polscy politycy, ekonomiści i dziennikarze powtarzają dość podobne apele. Chwilowo rząd nie zdecydował się na zniesienie ceł na zboże, decydując się w walce z inflacją na wpuszczenie bez cła 1,1 mln ton zboża oraz na zniesienie ceł na import paliw (przy równoczesnym podniesieniu akcyzy). Rada Polityki Pieniężnej, uznając te kroki za niewystarczające, zdecydowała się na podniesienie podstawowych stóp procentowych, a więc na środek prowadzący do dalszego umocnienia złotówki. Istnieje obawa, że te niewystarczające kroki rządu oraz równoczesne podniesienie stóp procentowych może prowadzić do kumulacji efektów negatywnych. Tymczasem systematycznie rosnący deficyt w handlu zagranicznym wskazuje na bardzo kiepskie zdrowie „tygrysa Europy Środkowej”, w szczególności, że ten negatywny bilans jest w niemałym stopniu wypracowywany przez spółki z kapitałem zagranicznym, a więc przez tę część gospodarki, która miała uczynić z Polski eksportową potęgę.

Problem inflacji jest tu niewątpliwie bardzo poważny, zaś skaczące ceny żywności są bez wątpienia jednym z poważniejszych jej źródeł. Budżetowe i ideologiczne przyczyny spowodowały, iż Agencja Rynku Rolnego nie może zgromadzić nadwyżek pozwalających na rzeczywistą stabilizację cen towarów rolnych w przypadkach poważniejszych zaburzeń w produkcji rolnej i hodowli. Pewnym rozwiązaniem mogłoby tu być ręczne sterowanie – skorzystanie z faktu, że Unia Europejska hojnie subwencjonuje swój eksport żywności i w nadzwyczajnych przypadkach udzielanie przez rząd Agencji Rynku Rolnego (i tylko ARR) zezwoleń na uzupełnianie rezerw poprzez kontrolowane zakupy bezcłowe w Unii Europejskiej (i tylko w Unii Europejskiej) doraźną stabilizację cen i (przy okazji) gromadzenie pozabudżetowych środków na powiększenie rezerw przez zakupy na rynku krajowym w przyszłości. Takie rozwiązanie łączyłoby interesy producentów i konsumentów, a zarazem pozwalałoby na wykorzystanie skomplikowanej sytuacji na międzynarodowym rynku handlu żywnością, a wreszcie byłoby pierwszym etapem korzystania ze Wspólnej Polityki Rolnej Unii Euro-



pejskiej dla stabilizacji cen żywności na naszym rynku wewnętrznym, a więc również ważnym elementem programu zwalczania inflacji.

Chwilowo polska gospodarka tylko uzurpuje sobie miano tygrysa, kotek jest zagłaskiwany na śmierć, zaś jego opiekunowie brykają jak Tygrys z Kubusia Puchatka.

*Andrzej KORASZEWSKI*

## Z ukosa

Po wielu latach zanurzam się w piwnicy domu, gdzie mieszka moja mama, a więc w domu mego dzieciństwa. W korytarzu tej piwnicy dozorczyńni Badowska trzymała kury, tam dziećmi będąc bawiliśmy się w nasze najbardziej tajemnicze i mroczne zabawy. Zanurzam się teraz w tych ceglanych korytarzach, nic nie zmienionych, pełnych kurzu i warstw brudu z kilku epok, i całym sobą czuję ten sam co wtedy zapach, duszny i wilgotny, zapach zatęchłego czasu, który płynie powoli, jakby musiał się przeciskać przez piwniczne szczeliny. Otwieram drewniane drzwi z numerem dziewięć, nigdy nie było tu światła, w blasku latarki widzę kilka pokoleń stearyny z czasów gdy nie używano latarek, ujawnia się bezładna płatanina niepotrzebnych rzeczy, to nawyk polskich pokoleń doświadczonych przez wojny, niewyrzucania niczego, a nuż coś się przyda. Dzięki temu ocalało tu wiele przedmiotów, które przypomną mi dzieciństwo.

Jest nawet blaszana wanienska, w której byłem kąpany. Wydawała mi się wielka, a jest nieduża. A ten wielki kufer z drewniano-metalowymi okuciami? To w nim mój ojciec, przeprowadzając się z Łodzi, wioził swój dobytek zmierzając ku wygrzebującej się z ruin stolicy. To kufer zapewne ponie- miecki, w domu na Bandurskiego, w którym po wojnie

zamieszkali pisarze, wcześniej w czasie okupacji mieszkali ważni hitlerowscy urzędnicy. Z innego świata, początku lat 60-tych, pochodzi bidet, stoi na cienkich, składanych nóżkach, jak jakiś groźny przyrząd szpitalny. Przez mgłę pamiętam triumf matki, gdy to urządzenie zostało zakupione i sprowadzone do domu, w blasku nowej higienicznej ery. Ten bidet był wożony na wakacje, na ówczesnych kwaterach nie było pryszniców. Jest gruba księga, to „Tajemnicza Wyspa” Juliusza Verne’a, w bardzo twardej okładce, nie do wiary jak wiele ta książka wytrzymała, nie tylko zaogniła moją wyobraźnię, ale też była używana do wojennych zabaw. I czuję, że przeraża mnie ta rupieciarnia, wszystkie te przedmioty były takie ważne, a teraz są martwe, otwierają drzwi do pokoi przeszłości, wchodzę, ale tam nie ma już nic.

Wkładam wanienkę z setkami wystygłych kąpieli mego dzieciństwa do kufra wielkiej przeprowadzki mego ojca, jak małą trumienkę, i upycham z trudem w bagażniku samochodu. I jak to bywa na pogrzebie, nie czuję za wiele. Obojętność na odklejanie się przeszłości czasami mnie jednak uwiera. Jadę samochodem na wieś, a jadąc czuję, jakbyśmy zwijali za sobą dywan asfaltu. Słowa, które wymieniam z moją narzeczoną, stanowczo za ładną i za młodą, wlatują przez okna, ciągnąc za sobą gasnące smugi. Moje ręce na skórze kierownicy, owady rozpryskują się na szybie, pobojo- wisko owadów. Ale wycieraczki zetrą wszystko, prędzej czy później dobiórą się do naszych twarzy. Nasza przeszłość sterczy z tyłu, zawsze z tyłu, jest w tym ironia, która jedynie czasami jedynie dla nielicznych bywa gryząca.

Wanienska i antyczny bidet staną w mojej wiejskiej łazience, która nadal czeka na kabinę prysznicową, ale najpierw muszę ją wypisać dziesiątkami nędznie opłacanych tekstów, tyle wypoconych słów pracuje na takie banalne urządzenie.

Kościół w Wilanowie, trwa msza, a ja delektuję się harmonią wnętrza tej starej świątyni. Kto by się spodziewał, że będę tak ładnie zmuszony, aby uczestniczyć we mszy, a obok w kościelnej ławie siedzieć będzie młoda i piękna Roxana, córka wielkiego kompozytora Andrzeja Panufnika, słynnego uciekiniera z Polski, znana brytyjska kompozytorka. W prze-



szłości tak dalekiej, że trudno domyślnej, łączy mnie z nią właśnie ta blaszana wanienka, wydobyta z mroków piwnicy. (To długa i skomplikowana historia, napiszę o tym w następnym tekście). Roxana, która nie mówi po polsku, pyta mnie szeptem: czemu ten ksiądz tak gniewnie krzyczy? Odszeptuję: on tak krzyczy na liberalizm. A potem pyta: a czemu on taki zmartwiony? Tłumaczę, że ksiądz uważa, że Polsce grozi niebezpieczeństwo, dlatego tak się smuci. Jakie niebezpieczeństwo? Ze strony liberalizmu, a też postkomunistów, którzy mogą przejąć władzę.

Im piękniejszy stary kościół (nowe potrafią tylko czasami nie razić swoją brzydotą), tym bardziej marzy mi się msza, podczas której grają organy, śpiewają chóry, pachną kadzidła, śpiewają dzwoneczki, a ksiądz pokazuje tylko plecy zdobne w ornat, czyta fragmenty Biblii i niczego sam od siebie nie mówi. Sam od siebie niech mówi Papież, wystarczy. Ale też nie zawsze. Lepiej bym się czuł gdyby Papież nie piętnował gejów z powodu ich odmienności, nie walczył z pigułką antykoncepcyjną i polecał wstrzemięźliwość płciową jako receptę na przeludnienie świata i na AIDS, obie te plagi niszczą właśnie Afrykę.

Wielka pielgrzymka narodowa do Rzymu, kilkanaście tysięcy ludzi z Polski, na czele premier Buzek, jest oczywiście Marian Krzaklewski, plus liczni, liczni rozmodleni politycy, jest też nawrócony, przynajmniej częściowo, prezydent Kwaśniewski. I pomyśleć, tak modlą się i ulepszają ci nasi politycy w Watykanie, jak mawia Wałęsa „ładują tam akumulatory”, ale to najwyraźniej nie są moralne akumulatory, bo nic ładnego z tego nie wynika, jak było parszywie na naszej scenie politycznej, tak jest obrzydliwie. Ani skrawka chrześcijańskiej pokory, dobroci, same narcyzmy i niechęci.

To ja już wolę te pieszki pielgrzymki do Częstochowy. Jest w nich anachronizm, ale też coś ładnego, w tym dobrowolnym znoju marszu przez setki kilometrów. Pielgrzymka autobusowa czy samolotowa, to jest pielgrzymka zastępcza, jak kiedyś towary miawały etykiety zastępcze. Pani Frania, która u mnie sprząta, już po raz dwudziesty maszeruje na Jasną Górę. I to jest bez wątplenia jej największa miłość, najbardziej poruszające doświadczenie. I myślę, że zasadniczy nie jest tu element religijny, a ważniejsze poczucie wspólnoty z

ludźmi. Największa moja dzisiaj dolegliwość, dolegliwość tak wielu bliskich mi ludzi, to ssąco-żrący brak poczucia wspólnej sprawy. Pani Frania opowiada jak podczas tej wędrówki nie ważne kto jest ważny w siedzącym życiu, kto biedny, kto bogaty, ładny lub brzydki, każdy kto idzie jest tylko siostrą i bratem, nie ma chamstwa, nieżyczliwości, alkoholizmu. Czy nie taki był Sierpień roku 80?

I co myśmy z tym zrobili, z Sierpniem, z „Solidarnością”, z buntem stanu wojennego?

Miałem szczęście być w Sierpniu roku 80 w Stoczni, potem tej słynnej nocy długich łomów budziłem ludzi, a gdy jest koniec świata, to bardzo ważne, czy jest się budzonym, czy się budzi. Potem przez wiele lat prowadziłem podziemne pismo literackie. Nie wiedzieli przedtem i nie wiem już teraz, jak wiele form może mieć bezinteresowność. Dzisiaj wszystko zostało sprzedane, bezinteresowność też.

Warszawskie obchody 20. rocznicy Sierpnia. W Gdańsku podobno jako tako to poszło, a wszystko zmierzało do katastrofy, Wałęsa groził, że zbojkotuje, wszyscy się kłócili o zasługi. Lech w końcu obchodów nie zbojkotował, ale za to tego dnia w telewizji obsmarował Krzaklewskiego, że „zawłaszcza ‘Solidarność’, a w Sierpniu był na wczasach w Bułgarii”. Na gdańskich uroczystościach podobno zabrakło stoczniowców, a też kilkunastu osób, bez których nie byłoby Sierpnia, zabrakło też głębszej refleksji czym był Sierpień, „Solidarność” dla nas i dla świata. M., który był na gdańskich obchodach, a bawił się też był na urodzinach Mariana Krzaklewskiego, po setce spotkań z ludźmi, bez wielu z nich nie byłoby Sierpnia, opowiada przerażony jak poczuł się zatruty ich goryczą, frustracją, wzajemnymi niechęciami, jakby to była rocznica jakiejś wielkiej, narodowej klęski.

Ja sam tak rzadko i z takim trudem wracam do tamtych lat, jakby coś je zapaskudziło. W środku to nadal piękne, ale by dojść do wspomnień trzeba się upaprać. A przecież to nie był kawałek, ale wielki kawał mojego życia, tak wiele pięknych emocji, tysiące zapisanych stron, a wszystko wydaje się teraz unieważnione. Coś okropnego!

W redakcji pisma *Res Publica Nowa* biorę udział w dyskusji, czy Sierpień i „Solidarność” to był skarb i czy go zagubiliśmy, jak ten złoty róg z „Wesela”. Jesteśmy zgodni, że tak.



Gdy koledzy ubolewają, że nie ma intelektualnych analiz ruchu „Solidarność”, ja przypominam, że gorzej, o wiele gorzej, że nie ma o tamtych zdarzeniach trwałych świadectw w sztuce, w literaturze, w filmie, a to one mogły stworzyć mit, jak tworzyła go poezja romantyczna. I to sztuka jest pożywieniem, dzięki któremu mit może przetrwać, to ona karmi naszą zbiorową pamięć historii. Pisałem wtedy wiersze, które były popularne, podobały się tak zwanym prostym ludziom i krytykom, chwalił je nawet Herbert, tylko Miłosz z dała od Polski widział trzeźwo, napisał esej o naszej ówczesnej twórczości „Szlachetność, niestety”. I rzeczywiście, utwory wtedy pisane niemal w całości po latach zwiędły. W jakim pięknym amoku musieliśmy wtedy być, że tylu rzeczy nie widzieliśmy, też pewnej groteskowości ówczesnych zdarzeń i że jednak nie były one ostateczne. Ten brak ironii, patos i szlachetność zaszkodziły sztuce tamtego czasu. A więc wielka dominacja emocji nad refleksją. Redagowałem przez wiele lat podziemne pismo literackie *Wezwanie*. Wydawało nam się intelektualnie bogate, teraz widzę jak jest ubogie. Emocje wzięły górę nad myśleniem, a moralizatorstwo zabiło sztukę. Trochę się chyba nawet teraz wstydzimy siebie z tamtego czasu, też dlatego, że byliśmy przesadnie dumni ze swojej szlachetności. Dlatego tak trudno jest wracać do tamtego czasu, aby czytać go inaczej. I można zaryzykować paradoksalną tezę, że moralne poruszenia „Solidarności” są po latach szkodliwie dla naszej moralności obecnej. Kiedyś byłem pewien, że zostaliśmy na dziesięciolecia napromieniowani jakąś formą moralności, teraz w to wątpię. Tak, dostaliśmy wtedy potężny zastrzyk, o pięknym ładunku emocjonalnym, w bagnie PRL-u zakwitły niezwykle kwiaty. Upokorzeni, skazani na zjadanie kłamstw, nagle podnieśli głowę i poczuli, że są piękni. Ale dzisiaj setki tysięcy ludzi, którzy mieli wtedy swój wielki lub mały heroizm, czują się oszukani. Wierzyli święcie w sprawę, pielęgowali własne poświęcenie, wierzyli też w grozę tamtego czasu, a ta groza okazała się tylko groteskowym żartem. Dlatego tak wielu dławi gniew. Jeździłem po fabrykach podczas pierwszego wielkiego strajku, tego po bydgoskiej pacyfikacji, ludzie chcieli umierać za sprawę, dzisiaj wydaje się, że sprawy nie było. Jak nie było wtedy wybitych zębów Janka Rulewskiego,

przez te zęby to mogła być wojna domowa, a była tylko sztuczna szczęka, którą sam sobie wyjął do fotografii, która potem wstrząsnęła naszymi sumieniami. (Ten sekret wyszeptał mi na więziennej pryczy Antek Tokarczuk, teraz minister ochrony środowiska). I jak tu się dziwić, że teraz tak wielu ludzi nie wierzy już w nic. Ja sam się teraz czasami wstydzę swych ówczesnych emocji. A przecież to była piękna sprawa, a nasz bunt był autentyczny. Problem roku 1989 i Wielkiego Przełomu, że myśmy to zarazem przegrali i wygrali, a jedno i drugie zostało rozłożone w czasie, w podwójnym sensie słowa rozkład.

Znowu jakieś szaleństwo lustracyjne, które tym razem dotyczy kolejnych kandydatów na prezydenta. Kwaśniewski tłumaczy się w sądzie – pokazuje go kamera – jak uczeń przy tablicy, że nie był agentem Alkiem. I znowu wraca Wałęsa jako agent Bolek, a Wałęsa w ławie sądowej też jest żalony. Andrzej Olechowski kaja się, że był tylko w wywiadzie gospodarczym, a w wojskowym nie był. Taki duży chłop, a tak się tłumaczy.

To wszystko przyszło w majestacie prawa uchwalonego przez nasz parlament. I już teraz nie wiadomo, czy to głupota parlamentu, prawa, chyba tylko niechlujstwo i niekompetencja, że pozwolono, by lustracja kandydatów odbywała się tuż przed wyborami, publicznie i po chamsku. Mówi się, że „ktoś” wykorzystuje Urząd Ochrony Państwa, że to ten Urząd zaczyna rządzić naszą polityką. Ale to też przesada. Wszystko tonie we mgle. Ja być może w swojej naiwności jestem skłonny więcej przypisać naszemu niechlujstwu, niż czyjejsz złej woli. A Polacy mają tego dosyć, nie wierzą już w nic. I znowu ta histeria *Gazety Wyborczej*, patetyczne teksty Adama Michnika na pierwszej stronie, że polska demokracja jest zagrożona. Bez przesady. Można pisać takie felietony, ale bić na taki alarm w dzwon Zygmunta?

Po tylu latach łatwo zamienić wszystko w groteskę, ale czy nie jest to argument, że jakaś forma lustracji powinna była być zrobiona dziesięć lat temu? Nie wykluczam, że w naszym politycznym kabarecie, tego nigdy nie dało się zrobić na innych papierach niż wariackie, jak to próbował zrobić Macierewicz.



Byłem w szoku, kiedy dowiedziałem się, że przyjaciel mojej młodości A. był agentem. No i ta wdowa po słynnym pisarzu, ile wódki z nią wypilem, nie wiedząc, że to agentka Ewa. Niedawno odkryłem, że ten otyły mężczyzna, którego widuję co kilka dni, to mój dobry kolega z końca lat 60-tych. Nie poznałem go, tak utył, on musiał mnie poznać, wołał jednak nie przypominać mi siebie. Był jedną z lepszych wtyczek, jakie miała bezpieka w latach 60-tych. Wysłano go nawet z misją za granicę, nic dziwnego, że jako dziennikarz specjalizuje się teraz w zagranicznym reportażu. Czasami los sadza nas w grupie osób przy jednym stole, a on wkłada wielki wysiłek, aby jego spojrzenie nawet nie musnęło moich oczu. Gdyby podszedł do mnie i powiedział: wiesz, wiem, że wiesz, byłem bydlę, skrzywdziłem kilka osób, nawet na ciebie coś napisałem, wybac. Wybaczyłbym. To unikanie spojrzenia i milczenie jest jednak okropne. I być może dotyczy ten problem całej lustracji? Zdrajcy, donosiciele, podobnie jak mordercy, gwałciciele, powinni żyć w cieniu, a nie w blasku publicznej kariery. Taki blask rozmazuje wszystkie nasze podstawowe normy moralne. Ale z drugiej strony, głosy moralnych fundamentalistów w tej sprawie są jak zgrzytanie noża po patelni. Nie ma już dobrego wyjścia z tej sytuacji.

30 sierpnia na Placu Zamkowym są małe warszawskie obchody. Za stołem pod napisem: „Popieramy budowę Muzeum Komunizmu” siedzą – Andrzej Wajda, Jacek Fedorowicz i Czesław Bielecki. I tylko ten stolik ma długi ogon, lekko zawinięty w kierunku kolumny Zygmunta ogon. Domyślam się, że po autograf od Wajdy. Nie podoba mi się ten pomysł z muzeum. Od dawna w *Kulturze* ubolewam, że zamiast burzyć, nie zgromadzono na jakimś skwerze komunistycznych pomników. Do dzisiaj prześladują mnie przerażone oczy Dzierżyńskiego, gdy mu obalano głowę. Przy okazji można było stworzyć kilka gabinetów osobliwości. Ale muzeum? Wsadzimy tam w gabloty kartki na mięso, obok będzie stółek, na którym sadzano na przesłuchaniach więźniów na Rakowieckiej? Teksty pokreślone czerwonym ołówkiem cenzora, mam ja nawet gdzieś w swoich papierach, w razie czego służę. Komunizm to było przede wszystkim zatęchłe, szare powietrze i mdły zapach urzędu, groźne

korytarze, zapyziałość powszechna, zdławiona energia, gładzenie partyjnych pierdół, kłamstwo o wielu odcieniach czy zamkniemy te zjawiska w muzealnych słoikach? Najgorszą cechą komunizmu była jakaś nieuchwytność koszmaru, beznadziejność, tego nie da się pokazać w muzeum, i to też powód, że tak łatwo jest teraz idealizować tamten czas.

Co po nim zostanie jako świadectwo? Jest może kilka książek, filmów o tamtym czasie, i chociaż pochodzą z okresu gdy była cenzura, więcej mówią o tamtym czasie, niż współczesny film mówi o dzisiaj. Walczący o muzeum ostrzegają, że wkrótce nie będziemy już pamiętać o okropieństwach PRL-u, ale właśnie, czy nie większy problem, że po ostatnim, niezwykłym dziesięcioleciu zostanie chyba o wiele mniej świadectw. A to czas niezwykły.

Jak na zawołanie, w Zachęcie była wystawa „Szare w kolorze”, tam wewnątrz mieszkań z lat 60-tych, bar mleczny, w którym wydaje się prawdziwe potrawy, sala kinowa, biblioteka, wszystko sprzed kilkunastu lat. I wielkie nostalgiczne tłumy chodziły ze łąką w oku po salach. My przenosiliśmy się w świat naszej młodości, a młodzi z pewnym sentymentem spacerowali po pokojach młodości swoich rodziców. Ale też poruszało wszystkich, że przecież fragmenty tamtego świata nadal są u nas żywe, czasami wystarczy otworzyć piwnicę, strych, zdarzają się mieszkania ludzi zastygłe od pół wieku, a na prowincji lokale zupełnie niezmienione. I to nostalgia idealizuje tamten czas, gdyż wyparowało z niego kłamstwo. Prawicowa prasa wystąpiła z krytyką, że ta wystawa jest nieuczciwa, idealizuje PRL. Pokłady głupoty są niewyczerpane. To tylko nasza pamięć jest nieuczciwa.

A wracając do warszawskich obchodów, było zaskakująco mało ludzi na tym, w końcu jednym z najbardziej ludnych, warszawskich placów, grupka przypadkowych przechodniów, trochę turystów, zaś pewien tłok tworzymy właśnie my, ludzie kiedyś związani z opozycją lat 70-tych, wszyscy zmienieni przez dwudziestoletnią maszynkę do mielenia twarzy, a też niepewni swojej tu obecności. Ale jednak przyszliśmy, pchnięci jakąś pierwotną siłą. I czy nie podobnie jak wtedy, w latach 70-tych, znowu jesteśmy sami, ale o wiele bardziej niż wtedy, gdy byliśmy tak blisko ze sobą. Dzisiaj nie tworzymy już żadnego środowiska, nie mamy czasu dla siebie,



nasze poglądy wpadły w poślizg i rozjechały się w różne strony. I jak wtedy stoi wokół obojętność tego miasta, już wolnego, ale bardzo zajętego, by tę wolność zapełnić samochodami, pralkami i dobrem wszelkim, które piętrzy się w nowo otwieranych świątyniach handlu, co miesiąc jakaś nowa handlowa katedra jest otwierana (właśnie gdy piszę, słyszę wielki zgiew i widzę odbłask wybuchów sztucznych ogni, tak celebrowane jest otwarcie na Mokotowie wielkiego centrum handlowego „Galerii Mokotów”). Z gotyckimi katedrami łączy je ogrom, jednolitość stylu i żarłoczność kultu, uprawianego zwykle rodzinnie.

A dwudziestą rocznicę Sierpnia lud Warszawy ma najwyraźniej w nosie. A ten dzień podpisania gdańskich umów powinien być świętem państwowym, nie 11 listopada, ta data nic ludziom nie mówi. Wkrótce 31 sierpnia też będzie martwy.

Wita się ze mną minister „kultury”, przedstawiam się zakładając, że nie wie kim jestem, zabawne, on niepewny przedstawia się: „Ujazdowski”, zakładając nie bez podstaw, że mogę nie znać jego nazwiska. Takie czasy. Kilka przemówień, m.in. Bogdan Borusewicz, bez niego nie byłoby strajku w stoczni, lubię go, ale odruchowo trochę mniej, od kiedy jest ministrem.

Na wsi u znajomych, oboje są lekarzami, ona jest lekarzem domowym. To jest w Polsce nowa forma opieki zdrowotnej, która chyba mniej więcej się sprawdza, bardziej na wsi, niż w mieście. E. ledwie żyje, ma dobre serce, więc pracuje nie tylko jako lekarz ciała, ale też duszy. Czasami w trudnych sprawach odsyła swoich pacjentów do księdza. Byłem świadkiem, jak zadzwoniła do niej wiejska niewiasta ze skargą na sąsiadkę, że ta wybiła jej przedni ząb, poszło oczywiście o chłopca. Ząb był sztuczny, E. pociesza, że to się da poprawić, a potem odsyła uszkodzoną babę do księdza. Jej mąż jako chirurg ma m.in. obowiązek jechać do wszystkich wypadków nagłej śmierci w powiecie. Opowiada, że ostatnie lata to niezwykle gwałtowny przyrost tragicznych zgonów, jakby z braku wojny ludzie wymyślali dla siebie i dla swych bliskich wojny zastępcze. Rośnie liczba wypadków samochodowych. Na pobliskim rozwidleniu szosy widziałem prechy-

lony dramatycznie betonowy słup z nazwą powiatu, wiadomo jak doszło do nieszczęścia. Kierowca sięgał po papierosy i tak zastygł w swojej śmierci, z wyciągniętą ręką zacisniętą na paczce. Każdy ma swój pomnik swojej śmierci, ale ten wydał mi się jakiś szczególny. Zwykle jednak wypadki powodują pijani i gwałcący przepisy szybkości. I coraz więcej jest samobójstw. Ostatni przypadek w okolicy jest jak z okrutnej baśni, chłop przywiązał się do ciężkiego kamienia i skoczył z nim do studni. Bardziej rolgarnięci rolnicy biorą krzesło, idą z nim w las i wieszają się na gałęzi. Chirurg tłumaczy mi fachowo dlaczego śmierć przez powieszenie, chociaż źle się kojarzy, jest szybka i przyjemna.

W ogrodzie ocienionym modrzewiem jemy mięso z grilla, gdy nagle przybywają dwie wiejskie kobiety. „Umarł wujek, leży w pokoju i jest zupełnie martwy, a tu taki upał.” E. wystawia im akt zgonu od ręki. Poczuję niepokój, mówię znajomej, że mam nadzieję, że to nie z powodu naszej kolacji ona nie jedzie, by osobiście stwierdzić zgon. Tłumaczy, że ma zaufanie do zmarłego, był jej pacjentem i miał pełne prawo zejść, a rodzina jest porządna, więc jak mówią że umarł, to można im ufać. Dlatego ten akt zgonu wystawia zaocznie. Po chwili więc znowu bierzemy się do kolacji, ja jednak jem nie wiadomo dlaczego z mniejszym apetytem.

Oto Polska właśnie. To jest ten luksus, że tu wszystko da się jakoś załatwić, choćby taki zaoczny akt zgonu, co za wygoda, są zapewne żywi, którzy też taki akt zgonu dostaną po przyjaźni lub za opłatą. Na każdym kroku korzystamy z tych niezwykłych udogodnień, w postaci „załatwić coś”, a to są rzeczy zupełnie niedostępne choćby w pobliskich Niemczech. A jednak myślę, że w kraju gdzie wszystko da się jakoś załatwić, da się też każdego załatwić. A każda pewność jest podminowana niepewnością.

Z kolei drobny przykład naszej codziennej, powszechnej niesubordynacji, tysiące tych detali tworzą nasz specyficzny klimat samowoli. W dzielnicy gdzie mieszka moja przyjaciółka, dzielnicy nowej generacji, czyli zamkniętej i pilnowanej, mimo istnienia podziemnych garaży i naziemnego parkingu dla gości, samochody uparcie parkowano na chodnikach przed domami. Po burzliwym zebraniu mieszkańców, wśród wielu kłótni i sporów, u nas każde zebranie ma taki



charakter, zdecydowano, że trzeba ustawić słupki na brzegu chodników, by samochody nie blokowały przejścia. Ustawiono te słupki nadzwyczaj szybko. Ale samochody nie wyniosły się na przeznaczony dla nich parking, stanęły obok słupków i chodnika, wcześniej blokowały ruch pieszych, teraz jest gorzej, gdyż blokują lokalną drogę. I to się dzieje w tym nowym świecie, gdzie mieszka ta nowa, lepsza Polska.

Te wszystkie drobne sprawy mają odpowiednik w życiu politycznym i gospodarczym, gdzie bałaganiarstwo, niekompetencja, przynoszą straty krajowi. Obserwuję jak rośnie Warszawa. Rozmawiam ze znanymi architektami, wszyscy są tak samo bezradni, najlepsze projekty są mordowane przez banalną, wysoką, bezduszną zabudowę. Coraz częściej jednak architekci machają ręką, zanika myślenie o pięknym mieście, zostaje goły interes. Dobrze zarabiają, to jednak jest pociecha.

Jest niejasność reguł gry, brak wyraźnych praw, korupcja, łapówki, a ta mętność leży w interesie rekinów finansowych, które wyhodowaliśmy w akwarium ostatniej dekady. Architektura, urbanistyką rządzi więc pieniądze, a nie myślenie o pięknie miasta.

A jednak muszę też odnotować, że zawisł nad Wisłą piękny Most Świętokrzyski. I jednak będzie odbudowany pałac Brühla i pałac Saski na placu Piłsudskiego. Potrafię się jeszcze z tego cieszyć. A z drugiej strony, trudno o lepszy dowód na klęskę współczesnej architektury, najlepsi architekci nie zbudowaliby w tym miejscu piękniejszych budynków niż te stare pałace. Współczesna architektura to nadal płatanina bełkotliwych języków.

A chodząc po placu Piłsudskiego, z już wspomnianą córką Andrzeja Panufnika, szukamy miejsca, gdzie stał pałac Brühla. W jego piwnicach jej ojciec miał nieprawdopodobne przygody, gdy próbował odzyskać skrzypce zarekwirowane przez Niemców swemu ojcu. Zaczepiamy dziesiątki starych ludzi, pytając czy pamiętają gdzie stał ten pałac. Wszyscy mniej więcej pamiętali miejsce i było coś poruszającego w tej bezradności pamięci. W końcu ten pałac był taki wielki, a teraz nie ma go nawet w pamięci tylu zaczepianych ludzi. Wzruszająca ich bezradność i wstyd, że nie pamiętają.

Wczoraj w tramwaju, tak rzadko nimi jeżdżę, że zawsze

jest jakaś przygoda, kiedy więc po powrocie z Krakowa jechałem tym tramwajem z ciężką torbą (wszystko przez te książki, które na wszelki wypadek wożę, bez sensu, gdyż teraz pociągi tak pędzą na trasie stolica – Kraków, że nic nie zdążyć przeczytać), jakiś młody chłopak chciał mi ustąpić miejsca. Odmówiłem, zmuszając się do grzeczności, a chciałem mu zrobić awanturę. Potem wytłumaczyłem sobie, że ta jego uprzejmość była z powodu mojej siwej torby podróźnej, a nie mej siwej głowy. Ale kto tam wie? Coś okropnego jakie to człowiek zaczyna mieć problemy z powodu galopady czasu. Niby się wie o tych kopytach co nas tłamszą, ale nigdy nie jest się do końca przygotowanym.

Smutek utraty wagi spraw, rzeczy, ludzi, tego wszystkiego co było dla mnie takie ważne. Najgorzej z pamięcią różnych dawnych bezinteresowności. I chyba coraz mniej jest we mnie ekscytacji światem i ludźmi. To chyba też sprawa wieku. Nie ma się już złudzeń, że każda fasada ma swoje tyły, każda twarz swoje ukryte podwórko i nic nie jest już tak jednoznaczne, jak wydawało się kiedyś. Ale przecież chyba nadal ocaliłem w sobie tak wiele z dziecięcej ciekawości świata. Ale marzeń coraz we mnie mniej. I jednak chudnie mi ciekawość ludzi.

Kiedyś tak bardzo chciałem poznać świetnego izraelskiego pisarza Amosa Oza. Podziwiam go też jako intelektualistę, liberała w kraju rozdartym między myślenie bardziej otwarte i ortodoksyjne, jak u nas, tylko tam skala i waga problemu stukrotnie większa, człowieka, który potrafi mówić swojemu narodowi prosto w oczy okrutną prawdę.

I oto spaceruję z Ozem po łazienkowskim parku. Brał udział w kilku wojnach Izraela, był dzielnym żołnierzem, ale utyka po niedawnym wypadku samochodowym. Izrael, podobnie jak Polska, ma jakąś niebywałą ilość samochodowych katastrof, znak pewnej autodestruktywności obu tych społeczeństw. Pokazuję mu w parku budynek, skąd podchorążowie wyruszyli na powstanie listopadowe. I nagle czuję, że to powstanie mnie już tak nie wzrusza. Co się stało? Zniszczenie mitu Solidarności powoduje, że mojemu pokoleniu prują się po kolei wszystkie polskie mity, jak spodnie które pękły w kroku. Najdłużej trzymało mi się powstanie warszaw-



skie. Teraz codziennie dolega mi bezsens tego powstania, zabito duszę tego miasta i bardzo tu bezdusznie. I nawet już nie potrafię się oburzyć, gdy jeden z najwybitniejszych intelektualistów z tak zwanej prawicy, ale myślący otwarcie, dlatego tak dla nich podejrzany, szepce mi na dziedzińcu odbudowanego zamku królewskiego: „Powstanie warszawskie, to było ostatnie pierdnięcie polskiego ziemiaństwa”. Przepraszam, to brzmi okropnie, wiem. Kiedyś bym się rzucił protestując, teraz stoję nieruchomo w ramach odbudowanego królewskiego zamku.

A wtedy z Ozem w zielonych ramionach łaźniakowskiego parku, gdzie już nie historia a przyroda mnie wzrusza, pytam go dlaczego nie napisał ani słowa o wojnie, przecież to taki wspaniały temat dla pisarza. Mówi „...jeśli nie był pan na wojnie, to nie wie pan, że wojna to przede wszystkim smród. A ja nie znalazłem jeszcze słów na opisanie smrodu. Wszystkie książki i filmy jakie o wojnie widziałem kłamią, ja nie chcę kłamać, wolę milczeć”. Potem dzielimy się nawzajem przerażeniem naszą cywilizacją, powtórzył to w formie aforyzmu w wywiadzie: „Większość moich znajomych pracuje ciężiej niż powinni, po to, aby zarobić o wiele więcej pieniędzy, niż są im w rzeczywistości potrzebne, aby mogli nabyć rzeczy, których naprawdę nie potrzebują, a też po to, by zaimponować ludziom, których w gruncie rzeczy nie lubią”. Pomyślałem, że ja sam łapię się na tym, że czasami staję się posiadaczem tego lub owego, aby nie cierpieć, że tego nie mam. A potem odkryć, że nie było mi to potrzebne. I ta infantylizacja naszej cywilizacji, to jest zjawisko globalne – udziecinnienie dorosłych, gdy dzieci natomiast zbyt szybko wkraczają w dojrzały świat. Oglupia nas telewizja, reklama, komercja, zagonienie. I wszędzie jest już tak samo. Ale jest jakaś polska specyfika. Nasz kapitalizm jest młody i dziki, a my okropnie żarłocznicy, bo historycznie spóźnieni. Nie nauczyliśmy się jeszcze żyć w tej dżungli. Nie ma miejsc schronienia dla tych, którzy mimo wszystko chcą istnieć inaczej. Osobny, trudny, niepewny temat, to spływanie też u nas życia religijnego, pod wielkim pozorem, że jednak nie. Kwitnie więc jego ornamentalna powszechność, w czym pomaga celebrowanie Papieża, jakże często zamiast Boga.

W sali Stowarzyszenia Pisarzy prowadzę spotkanie z wiel-

kim szwedzkim poetą Tomasem Tranströmerem. Pamiętam nasze spotkania w Sztokholmie na początku lat 90-tych. I tego roku ten niezwykle wieczór, gdy w piwnicach szwedzkiej Akademii – tam na górnych piętrach zapadają losy nagród Nobla – czytałem wtedy jego wiersze w polskim przekładzie, a on czytał je po szwedzku. I moje wzruszenie, gdyż miałem złudne poczucie, że mam jakąś zasługę w świetności tej poezji, która nawet w przekładzie nie traci tak wiele. Pamiętam wtedy jego plecy jak zniknął w mroku jesiennego wieczoru, mocny, zdrowy. W kilka tygodni potem miał wylew. Od tego czasu jest częściowo sparaliżowany, nie mówi, bełkoce, mówią jego oczy. Jego niezwykła, piękna żona Monika wiele jednak rozumie i to ona stała się jego ustami. W słynnej sali Związku Pisarzy na spotkaniu tak niewielu ludzi, kolejny znak, że stowarzyszenie jest martwe i z każdym rokiem martwieje. Ale w kilkanaście minut potem, w kinie Muranów, na dokumentalnym filmie o poecie są setki widzów. Sztuczny świat filmu dominuje nad prawdziwym życiem.

Tranströmer jest poetą paradoksów, siły i delikatności, ogólności i detalu, mroku i światła, ja i nie ja. Niewidoczny łuk międzysłowny, który godzi owe sprzeczności jest siłą tej poezji, której półchłodne przestrzenie są bardzo szwedzkie. Jak jego niebieskie oczy, które tak wiele mówią, gdy w milczeniu dziękując mi za to co mówiłem o jego poezji, ścisła mi rękę jedną władną dłońią. I mam wrażenie, że jest jakoś szczęśliwy, mimo wszystko, chyba bardziej niż ja ze swoim brakiem paraliżu, a jednak zawsze podminowany niepokojem. Ludzie zdrowi są zawsze przed katastrofą, on ma ją już za sobą, może stąd ten wielki spokój. I nie ma w tym poecie, który zapewne wkrótce dostanie Nobla, tej dręczącej próżności, która tak brutalnie i mało subtelnie zatrzuwa dusze polskich artystów.

Na trzydziestym piętrze Pałacu Kultury łni nowością eklektyczne wnętrze niedawno odnowionego tarasu widokowego. Tam dla wybranych jest spotkanie z Günterem Grassem. Otula mnie sympatycznie groteskowość tej celebracji noblisty na 30. piętrze daru Stalina, a ten dar wbrew usiłowaniom naszej demokracji nadal króluje w swoich koronkowych majtkach nad Warszawą i nawet zaczyna nam się podobać. Okoliczne wieżowce nie zaślaniają go, stają się



dla niego oprawą. Jest więc jakaś niesłychana perfidia w tym pałacu. Prezydent stolicy wita pisarza tytułując go natrętnie „mistrzu”, co jest denerwujące. Grass wygląda zabawnie w surduciku w kolorze kanarkowym, odpowiada konwencjonalnie, ale trudno w takiej sytuacji inaczej. Ktoś mi szeptem na ucho, że w jakimś wywiadzie pisarz krytykował Gdańsk za brak publicznych szaletów. Musiał mu ten brak bardzo dokuczyć. Szepczący oburza się, że Niemcy nie mają prawa nas krytykować za brak szaletów, doprawdy poczułem, że nie mam siły wkleść się w intelektualne spory, czy Grass jako nietypowy Niemiec ma prawo, czy nie go ma? Jest jakaś sztuczność w tych wszystkich spotkaniach, bankietach i celebracjach, gdzie jedynie alkohol i jedzenie na stołach, a potem wielkie żarcie wydają się prawdziwe. W jakimś naturalnym odruchu ludzkość wymyśliła zwyczaj, że po męce wysłuchiwanie przemówień ma miejsce nagroda w postaci wyzerki.

Stoję potem z boku na tarasie, patrzę na Warszawę, jest jak na dłoni, obnażona, widać bujny, ale chaotyczny rozwój miasta. Jakby niefachowy kolekcjoner kupił na przecenie efektowne, banalne obiekty. Z drugiej strony, dziecięcą część mojej natury porusza ten bujny wzrost miasta, te nowe szklano-metalowe, czyste obiekty. Nagle przebiega obok truchtem Grass, ze swoimi wąsami, a obok niego drepce prezydent stolicy Piskorski. Sympatyczna, inteligencka i młoda twarz, w której jednak coś niepokoi. Już wiem, ta twarz zaczyna delikatnie wylewać się ze swoich brzegów, młody prezydent miasta ma lekką skłonność do tycia.

Zjeżdżam windą, wychodzę z pałacu i czuję to, co zapewne czuli bywalcy warszawskich pałaców w dawnych wiekach. Bolesny kontrast. Cudzoziemcy opisujący dawną Warszawę zawsze dziwili się, jak wiele tu luksusowych budowli, a jak obfite błoto czeka tuż za progiem. Plac Defilad nadal tonie w straganach, niby ich mniej, ale śmierdzą tak samo. Gdy podchodzę do samochodu, dopadają mnie „pilnowacze samochodów”, pijani, niechlujni, chcą datek na alkohol. „Prezesie, poratuj”, jest w tym pokora ale tuż obok czai się groźba. A ja mam jeszcze w ustach smak łososia i francuskiego wina na tym 30. piętrze pałacu, i ten trucht prezydenta miasta z noblistą, który jest niewinny, ale jego

rodacy kiedyś to miasto doszczętnie zrujnowali, wymordowali mieszkańców i zabili jego duszę. I ogarnia mnie wielki gniew na brak władzy w tym mieście, na to jadło i podniosłe gadanie na górze, gdy tu na dole krzewi się alkoholowe bezprawie. Niech prezydent tego miasta zamiast za Grassem pogania trochę za namolnym żebractwem, chamstwem i brudem dookolnym. Piskorski na progu urzędowania sprawiał wrażenie, że weźmie się za Warszawę. Ale zawsze jest ten sam scenariusz, nawet jak jakiś nowy gospodarz miasta ma energię, pomysły, wolę i obiecuje, że zabierze się za miasto, po roku widać, że to miasto wzięło się za niego. Ale poczekajmy jeszcze chwilę.

W jakiś czas potem na jakimś przyjęciu spotykam prezydenta miasta, stoję z senatorem Piesiewiczem, który podobnie jak ja ma nieszczęście być czułym na architekturę i narzekamy na stolicę, gdy podchodzi Piskorski. Mówimy mu o naszych niepokojach. On mówi, że też martwi się o Warszawę i roztacza wiele wspaniałych planów. Kiedy odszedł, można było tylko powiedzieć, czemu jest tak źle, skoro jest tak dobrze.

Narasta śmiertelna nuda prezydenckiej kampanii. To gra w już dawno rozdane karty. Kwaśniewski już wygrał, a przegrani udają, że o tym nie wiedzą. Klepią swoje role, co też oni zrobią dla ojczyzny gdy wybrani zostaną na prezydenta. Krzaklewski uczepił się AWS-owskiej idei powszechnego uwłaszczenia. Mają być rozdane ludziom m.in. mieszkania komunalne. Ale nawet ci co mają zostać obdarowani nie cieszą się, widzą, że to monsturalny idiotyzm, goła wyborcza przynęta.

Jeden z najbardziej inteligentnych, świątłych, szanowanych i porządných ludzi AWS-u mówi mi: „Krzaklewski, czyli piękny Lolek, to palant, szkodnik, matoł. Niszczy polską prawicę”. Więc on z dwójgą złego woli, by Kwaśniewski został prezydentem. I dodaje: „Wie Pan, moim największym marzeniem jest by Krzaklewski tak przegrał te wybory, aby do końca życia po tej kłęsce się nie pozbiarał. Jeśli zostaną po nim pióra i kości, to jak Feniks odrodzi się z popiołów i znowu okrzepnie wokół niego to, co w naszej prawicy jest głupie”. Mam wrażenie, że wszyscy inteligentni ludzie po pra-



wej stronie myślą podobnie. I jest w tym coś tragikomicznego.

Niepoprawny idiotyzm zapiekłych wrogów Kwaśniewskiego, tych zapiekłych napaści na postkomunistów polega na formie, na demonizowaniu wroga. Jakby nie wiedzieli, że to przegrani demonizują zwycięzców. Pracują więc na pogłębienie własnej klęski. W demokracji porażka jest zwykle progiem przyszłego zwycięstwa, ale prawicowi idioci chcą przegrać na pokolenia. A kiedy naród wybierze czerwonego potwora, a zaraz potem czerwony parlament, komuchów, morderców nie-narodzonych, bezbożników, szmatławych cyników, to chyba już naszej prawicy nie pozostanie nic innego, jak rozwiązać naród. Tego jednak się nie da zrobić, więc sami zostaną rozwiązani. A wtedy rodzić się będą w bólach jakieś nowe formy polskiej prawicy. Ja nie będę przy porodzie, ale doprawdy niech wierzący pomodlą się, by to dziecko nie miało wodogłowia.

A co słyszać na salonach? W komitecie wyborczym Aleksandra Kwaśniewskiego drastycznie brakowało pisarzy. Patrząc, jest para. Ludzie do niedawna z zupełnie innej strony barykady, ale przecież nie ma już barykad. Spotykam pisarza H. Pytam go serdecznie zdziwiony: „A czemu to Pan u Kwaśniewskiego?” Odpowiada z rozbijającą szczerością: „Zadzwoń do mnie minister prezydenta, pan Kalisz, przecież nie mogłem odmówić”. Pisarki K. nie pytam czemu. Wiem. Jakiś czas temu prezydent zaprosił ją na wycieczkę swoim prywatnym samolotem. Ona, która zawsze odczuwała śmiertelny lęk przed fruwaniem, po raz pierwszy w życiu poleciała, trzymając prezydenta za rękę. Czy nie podobnie uwodzone pisarzy w czasach stalinowskich? Wszyscy wsiedli do samolotu i polecieli. Czasy inne, Kwaśniewski potrafi być miły, samoloty też odmienne, ale mechanizm podobny. Kto wie, czy próżność nie była jednym z bardziej istotnych czynników wejścia artystów w stalinizm, to ona napędzała różne wiary, w które jedni wierzyli bardziej, inni mniej, a byli tacy co nie wierzyli wcale.

Bo próżność artysty nie zna granic, ani państwowych, ani przyzwoitości. Nie twierdzę, że jestem wolny od licznych słabości, które wypominam innym, nie ma więc we mnie gniewu potępienia, raczej zdziwienie światem. A dopóki potrafię się dziwić, potrafię pisać, chociaż coraz mi trudniej.

Rosyjski podwodny okręt atomowy „Kursk” stał się kolejnym łupem mediów. Umieranie 118 marynarzy na dnie morza przykuło na wiele dni uwagę świata. Tragedia ukazała stan pomieszania, w jakim jest Rosja. Dawne nawyki totalitarnego państwa mutują się z nieuchronnymi wymogami demokracji. Co za koktajl! W tym kraju jeszcze do niedawna w ogóle nie było wielkich katastrof, nawet klęski żywiołowe traktowano jak akty antykomunistycznej dywersji. Dzisiaj dramatem staje się śmierć stu żołnierzy, kiedyś niewinne miliony szły na śmierć w wielkim milczeniu. To jest jakaś rewolucja. Okazuje się, że ci ludzie mają rodziny, że rodziny mają w sobie rozpacz i gniew. Że ich gniew nie boi się nawet prezydenta i ma środki by się upublicznić, więc ogląda go cały świat.

Obserwując dramat, zwrócono uwagę na wiele dawnych nawyków, na ukrytą strzykawkę, którą pielęgnarka o twarzy anioła wbijała po kryjomu w ramię kobiety, która na spotkaniu rodzin z prezydentem gromiła Putina, ale to wszystko są detale pewnej oczywistości. Wiele jest starego w Rosji, ale jest wielkie nowe, czyli wolność słowa. A prezydent Rosji, dawny oficer KGB, publicznie się kaja. I ta monstrualnie obskurna i odrapana ściana klatki schodowej, gdzie mieszka żona poległego dowódcy okrętu, odwiedził ją tam prezydent, patrząc na ten świerzb na ścianie, i ta ściana mówi więcej niż słowa gniewu rodzin zmarłych. A więc jest poruszenie pokaleczonych, stwardniałych przez historię i biedę rosyjskich sumień. Kiedy dramat łodzi podwodnej ma swój finał, żarłoczne media mają od razu nowy łup. Spada pasażerski samolot lecący z Kairu, więc sępy i hieny rzucają się na nowe zwłoki. W chwilę potem płonie moskiewska wieża telewizyjna. Widomy znak, że Rosja psuje się tak od dołu, jak i od góry.

A dramat rosyjskiej łodzi podwodnej dał możliwość udziału w akcji współczucia, który niestety ma wymiar groteskowy. Nie wypada się chwalić swoim współczuciem. Jest w polskim języku słowo odpowiednie – palant. I od niego powinno się stworzyć pojęcie „palantowskiego aktu”. Taki wymiar mają te zbiorowe kondolencje wielkich Polaków dla rodzin ofiar katastrofy, opublikowane na pierwszej stronie *Gazety* w formie nekrologu. Otwierają go nobliści, Miłosz i Szymborska. Zapewne najpierw podpisał zaskoczony Miłosz,



wahał się, wpadł w rozpacz, czuł, że coś jest nie tak, ale jednak podpisał, nie wypadało nie podpisać. A kiedy Miłosz, to już zupełnie nie wypadało nie podpisać Szymborskiej, to by było aroganckie wobec starszego laureata. A reszta wielkich podpisała, nie mieli wyjścia, skoro list uzyskał taką noblowską lokomotywę. Ostatni wagon z rozkołysaną dumnie latarnią, to cały zespół *Gazety Wyborczej*, on też składa rodzinom wyrazy współczucia. To ma być ten piękny most ponad strukturami państw, który łączy Polskę i rodziny ofiar zatonięcia podwodnej łodzi. Ale to nie jest Polska, a tylko super elitarny salon. I nagle ten akt współczucia zmienia się we własny narcystyczny pomnik. Jest jakaś choroba, która drażni *Gazetę*, jestem uzależniony od jej czytania, więc tym bardziej mi przykro. Czy mam jakiś wybór? Jest śmiertelnie nudna *Rzeczpospolita*, skretyniałe *Życie*. Tak często dopada mnie w naszej demokracji brak wyboru, chyba, że wyborem jest wycofanie się.

I jak tu nie wspomnieć o poprzednim liście w dosyć podobnym składzie, tam też byli nobliści, to list poparcia dla Andrzeja Olechowskiego jako kandydata na prezydenta. Wielkie autorytety moralne nie powinny publicznie popierać i namawiać innych do głosowania na człowieka, którego dobrze nie znają. Pamiętam miłość naszych intelektualistów do Wałęsy, nawet po latach, gdy każdy, kto miał oczy, widział, że rośnie w nim bełkot i próżność. Czy Olechowski nie jest tylko dwumetrową, inteligentnie mówiącą atrapą prawdziwego człowieka, i ta jego praca dla gospodarczego wywiadu, te donosy „niewinne” bo tylko gospodarcze?

Można mówić o braku wyboru w ramach naszych wyborów. Ale bądźmy sprawiedliwi, inteligentni Amerykanie, z którymi rozmawiam, żalą się, że ich sytuacja jest równie rozpaczliwa, mają dwóch kandydatów i żadnego dobrego wyboru.

Mijające dni przynoszą nowe suplementy do tematu „pieniądze”. Dzwoni do mnie K. Prowadzi w popularnej rozgłośni radiowej program poetycki. Zaprasza do udziału, mam przeczytać kilka wierszy, potem będziemy o nich rozmawiać. Redaktorka ostrzega z pewnym skrępowaniem, że wiersze powinny mieć powyżej 13 wersów. Jeśli będą krótsze, radio

nie płaci ani grosza za przeczytanie utworu. Oburzam się i gniewam. Oczywiście nie będę liczył wersów, lubię krótkie wiersze, nikt nie będzie mi narzucał ich długości. Ale już na miejscu, czyli w stylowej kawiarni przerobionej na studio, za subtelną namową prowadzących idę na kompromis. Czytam dwa krótkie utwory i kilka dłuższych. Coś za mnie oblicza, że za ten kompromis będę mógł kupić rower, który powinienem mieć na wsi.

Bezkompromisowość jest dzisiaj uważana za szaleństwo, naiwność lub głupotę, nie jest ładna, jej oblicze przekreślone blizną rozpaczy i gniewu. Tak często spotykam ludzi, których znałem kiedyś w innej wersji, mniej lub bardziej bezinteresownej. Dzisiaj są poprzerabiani, jakby przeformatowano im mózg. Słucham, nad czym tak debatują. Oczywiście... jak zarobić?

Czuję się jak w pralce w trakcie odwirowania. W takim stanie coraz częściej ostatnio kończę teksty do *Kultury*. Czasy są zawirowane, a brak skupienia to fascynujący temat, godny dłuższego eseju – narcystyczna i „rozkupiona” osobowość naszych czasów. Ale mnie przecież czekają za chwilę liczne przyjemności. Już, już lecę na Sycylię, tam gdzie ta wyspa łączy się z Korsyką, lecę w podobnie przyjemnych celach, po powrocie od razu do Rybnika, a potem z rozpędu do Toronto. Niczego nie jestem w stanie skończyć, niczego domknąć, najwyższy czas abym nauczył się nie kończyć i nie domykać, i by to nie budziło takiego niepokoju, jak własne mieszkanie, zostawione z niedomkniętymi drzwiami. Mam często też taki lęk. A ten tekst doprawdy piszę, jakbym zjadał własną poduszkę, lubię na niej kłaść głowę, ale żeby jeść?



## Kartki ze skażonej strefy

Pojechałam na wieś pilnować z mężem psa krewnych, którzy udali się na Majorkę. Okolica piękna, na południe od Kazimierza Dolnego, jarowata, rozfalowana, przypominająca Prowansję, drogi białe, łąki jarzące się, dziewanny na dziesięć metrów; gospodarstwa małe, rozdrobnione, czyli typowo polskie. Ze względu na usytuowanie, mikroklimat, glebę (kredowy margiel, którym zęby i buty można czyścić) idą tu dobrze orzechy, a jakby się postarał, to i winorośl by poszła.

Rzecz w tym, że nikt się nie stara. Podczas niekończących się spacerów z psem – gadki z rolnikami. Najczęściej powtarzanym słowem stała się ostatnio „renta”. (Miasto mówi „kasa”, wieś mówi „renta”). Marzenie o rencie. Stary czy młody, chory czy zdrowy, silny czy słaby ma jedną myśl w głowie, jakby tu skombinować rentę. Renta jako sposób na życie, renta jako obsesja. Chłopi mało się odwiedzają, ale wszystko o sobie wiedzą. „Ten będzie się żenił z miastową wdową, co ma rentę po pierwszym mężu. Wygrał. Tamten o rentę złożył; nie ma lat, ale może dostanie, bo kogoś w komisji ma...” Oto zdania, które się słyszy.

Czasami renta jest rzeczywistym wybawieniem, ale czasami! W znakomitej większości chłopom przestało się chcieć tak pracować. Ciężko i mało efektywnie. Nie potrafią zabiegać o pracę. Nie potrafią dotrzymać kroku zmianom. Nie nauczyli się „przeskakiwać”: nie idzie tytoń, to przerzucam się na chmiel, nie idzie chmiel, to trzeba..., itd., itp. (Mówię, oczywiście, „na rybkę”). Sieją jak praojce i zbierają jak praojce. Trochę tego, trochę tego, byle do przednówka. Nie mają w sobie ducha interesu; nie pojmują bessy i hossy; aż się prosi, żeby młodzi, a w każdej rodzinie jest taki, który zostanie na roli, przeszli ostre biznesowe nauczanie. Ale tego nie zapewnią im partie najludowsze z ludowych. Nie to partiom w głowie, mimo czułych słówek. Rolnicy są na tyle inteligentni – a chłopu, przy całej jego bierności, nie można odmówić inteligencji – że o tym doskonale wiedzą. Nie ruszą się do

głosowania. Te wszystkie rolnicze protesty, to wywalanie zboża z wagonów, blokady dróg, robią głównie bogacze wiejscy, najmujący parobków.

Spotykamy na miedzy kobietę. Prowadzi rower, sapie ciężko. Na obu ramionach kierownicy zawieszono kosze z cebulą; dorodną, złotą, wielką jak głowa dziecka. Chwalimy.

– I cóż z tego, pani, kiedy ciężko tak tyrać. Dwa lata, jak mnie operowali, wyjęli mięśniaki, cieszyłam się, że będzie renta. Nie dali. Powiedzieli: zdrowa. Nie ma raka, nie ma renty – rozkłada ręce z zalem.

– A wolałaby pani raka?

Wzruszenie ramionami i w końcu, wspólny śmiech. Potem rozmowa o Unii Europejskiej. Pyta, po co nas tam ciągną. Tłumaczymy, że będzie lepiej.

– Pani cebula wytrzyma konkurencję z francuską, ale transport na rowerze nie...

Słucha. Myśli. Łapiemy wspólny język. Żegnając się mówi:

– Widzicie ten zagon słończników? Weźcie sobie, zerwijcie, wielkie, nie? Na zdrowie!

W wiosce, gdzie diabeł dobranoc mówi (przy byle niepogodzie karetka nie dojedzie), mamy zaprzyjaźnioną rodzinę. Zasuważą jak głupi. Do niedawna zasuwał w polu i dziadek, „podpierając” się nitrogliceryną z kieszonki. Teraz ino gotuje krupnik dla rodziny, chodzi koło drobiu. Ziemię mają rozstrzeloną w małych kawałkach na różnych wysokościach, tu zagonek, tam zagonek, więc uwijać się trzeba. Całe gospodarstwo na głowie syna, którego na dodatek wybrali sołtysem. Dorabia sprzedając gaz do butli. Starzy w chacie, on z żoną i trójką dzieci w wiecznie niewykończonym budynku z cegły. Żona pracuje u dentysty w gminie. Najstarsza córka u cioci na stacji w mieście; uczy się. Płacą świniakiem, jak jest bicie. Syn zasuwa codziennie 10 km do technikum. Dobry. Cenzurki z czerwonym paskiem. Będzie inżynierem elektrykiem, postanowione. Najmłodszy, urodzony do gospodarki. Przyjemnie patrzeć, jak chodzi koło obrządku. Ale kto go przyuczy po nowemu?

Przywoziliśmy im odzież, ale bardziej potrzebne okazało się pieczywo dla drobiu. Więc gromadzimy im całe worki nie-dojedzonych chlebów. Nie są to ludzie krańcowo biedni, ale



cały wysiłek spalają, żeby nie spaść pod kreskę. Nic nie zostaje na progres, nic na zainwestowanie z ryzykiem.

W gminie są dwie szmaciarnie, czyli sklepy z używaną odzieżą, kupowaną przez handlarzy w workach na wagę. Aczkolwiek sama ubieram się w szmateksach, jak wielu, szmaciarski interes powoli pada. Kula ziemską nawytwarzała nad miarę okryć na ciała ludzkie. Nawet w rejonach skrajnego głodu i wycieńczenia ludzie, a zwłaszcza dzieci, ubrani są według światowego standardu: dżinsy i bawełniana koszulka.

Ludzka bieda ma się czym okryć, nie ma co jeść, pić i gdzie mieszkać.

Kobieta z lokalnej wiejskiej szmaciarni narzeka. Niby są z tego jakieś pieniądze, ale musi myśleć.

– Myślenie to najgorsza rzecz – mówi z przekonaniem.  
– Za komuny jak prowadziłam sklep geesu, o niczym nie myślałam. Przywieźli towar czy nie przywieźli, taką samą pensję dawali. A teraz muszę myśleć, żeby zarobić.

– A wołałaby pani nie myśleć?

– No pewnie!

*Homo sovieticus* zalazł narodowi mocno za skórę.

Na mojej osobie spełnia się powoli los niedawnej towarzyski sali szpitalnej, której przez lata odraczano zdjęcie zaćmy, aż w końcu oczy miała bielusieńkie jak śnieg. Okuliści amerykańscy odwiedzający Polskę pokazują sobie palcami takie przypadki jako *curiosum* historii medycyny. „Patrzcie, koledzy, tak wyglądało kiedyś bielmo.”

Moje prawe oko od pół roku patrzy bez mgły. Termin zdjęcia dojrzałej zaćmy z lewego został wyznaczony specjalnym pismem. Ucieszyłam się i gdy szybko pozmieniałam plany wakacyjne, listonosz przyniósł drugi list tej treści: „W związku z przeniesieniem Kliniki Okulistycznej do nowego budynku oraz rozkazem przełożonych od dnia dzisiejszego aż do odwołania zostają wstrzymane przyjęcia pacjentów i wykonywanie operacji. Termin przyjęcia Pani do Kliniki jest nieaktualny...” Podpisał: Ordynator Kliniki Okulistycznej Wojskowego Instytutu Medycyny Lotniczej, dr n. med., Wojciech Skowroński.

Podjezwam, że najbardziej poszkodowanym jest on sam, ordynator i operator w jednej osobie. Nie może wykonywać swojej pracy, ręce chirurga precyzyjnego są jak ręce pianisty, drewnieją niećwiczone; podobnie najnowsza aparatura przestaje być najnowsza, śniedzieje. Lekarze są więc równie stratni jak my, pacjenci. Jesteśmy we władaniu Kas Chorych, a Kasy ścibolą, nie chcą płacić za soczewki, czego otwarcie powiedzieć nie mogą, bo przecież płacimy za nie sami poprzez podatki na ubezpieczenie zdrowotne, więc wymyślają różne kruczki.

Najsensowniejszym rozwiązaniem byłoby stworzenie konkurencyjnych prywatnych Kas Chorych, co już dzieje się w Poznaniu. Wtedy powstałaby zdrowa konkurencja, zabiegi potaniałyby, a wybiegi biurokratyczne znikły. Proste jak drut. Ale nam rzeczy proste nie wychodzą. (Teraz zdjęcie zaćmy z jednego oka kosztuje *circa* 3 tys. zł., czyli 750 dolarów, na co garstkę stać). Powszechne sprywatyzowanie, powtarzam, potaniłoby zabieg, ale – bo jest „ale” – niewielu okulistów mogłoby do prywatyzacji stanąć. Bo chirurg, choćby najlepszy, nie może sobie normalną drogą kupić gabinetu wyposażonego we właściwe oprzyrządowanie. Tu sumy idą w miliardy. Istniejące gabinety powstały albo ze spadku, albo z bogatego ożenku, albo z czegoś równie losowego. Mało więc tych prywatyzarzy, do nich też kolejka, mimo stale podbijanej ceny.

Tak więc cierpią lekarze, cierpią ci, których mają leczyć, a urzędnicy Kas (niech je piekło pochłonie!) obrastają w sadło. Leszek Balcerowicz wyliczył detalicznie (*Gazeta Wyborcza*, 26-27 sierpnia br.) trzy grzechy polskiej gospodarki i dwie ich przyczyny. Grzechy to – za duże bezrobocie, inflacja oraz korupcja. Zjawiska te są spowodowane przede wszystkim ręcznym sterowaniem ważnymi dziedzinami gospodarki, a także akceptacją (podkreślenie moje) wyłudzeń i marnotrawstwa wydatków publicznych. Przykładem jest system refundacji leków (parodystyczny!), a także luksusowe budynki Kas Chorych.

Twórca i odnowiciel naszych finansów na ogół nie uciekał się do szczegółów, nie bawił się w wyliczanki detali. Widocznie jednak sprawy zaszły za daleko. To, co do niedawna nazywało się pryszczem, kroplą w morzu budżetu, stało się już poważnym uszczerbkiem. Żeby przypomnieć Colosseum,



jeden z najokazalszych budynków Warszawy, który zafundowali sobie urzędnicy Mazowieckiej Kasy Chorych. Albo z innej branży: budynek Nadzoru Ubezpieczeń Mokotów, który przebił Colosseum. Na urzędnika przypada tu 30 m<sup>2</sup> powierzchni; gabinet pani prezes ma siedemdziesięciometrowy taras; gmach jest przeszklony, pracujemy w jawności, ale dostań się, człowieku, do wnętrza! Dziewięćdziesięciu dziewięciu urzędników robi to posługując się specjalnym kodem. Inny przykład z tego samego podwórka: buduje się ekstra okazały ratusz gminy Wilanów, podczas gdy pieniądze na remont historycznego Pałacu Wilanowskiego brak...

Słowa: „wstydzilibyście się” zamierają na ustach jako żałość niefortunna. Jakby napadnięty napominał nimi bandziorów, którzy okładają go kijami...

Mimo iż wiem, że tego rodzaju samowola należy do faz przejściowych, a my, Polacy, jesteśmy szczególnie marni w społecznym organizowaniu się, zatem procesy samoregulujące przebiegają u nas dłużej, jak po grudzie, w drgawkach; otóż, mimo że wszystko to wiem, wiem od dawna, nie mogę otrząsnąć się z gniewu.

Właśnie z tego gniewu i złości napisałam książkę pod banalnym już tytułem „Ale się porąbało”. Skontrastowałam obraz sprzed dwudziestu laty, Polaków wyłaniających się z topieli komunizmu, z tym, co teraz, i fatalnie się zbilansowało. Krzycząc „wolność i demokracja!” stworzyliśmy system chory, zgangrenowany; trzeba go amputować i zaczynać od nowa.

Książkę pomyślałam w gruncie rzeczy z myślą o młodych dziennikarzach. Ich ignorancja w sprawach historii najnowszej kraju jest porażająca, słowo „cenzura” kojarzy się z jakąś restrykcyjną obyczajowością, nie mają pojęcia, w jakich warunkach myślowych i psychicznych pracowało pokolenie ich ojców; jakiej się nabawiło schizofrenii przez ową cenzurę. Pokazałam to w książce na kilku przykładach. Nic nie poradzę, że przy okazji ułało się ze mnie sporo gorczy. Książka bije w naszą obecną *political correctness*, co wyraża okładka, trochę jak z Bronisława Linke, przeraża i intryguje. Nie wiem, czy zachęciłam do lektury, czy odstręczyłam od niej ewentualnych czytelników. W każdym razie, starałam się nie nudzić.

Żyjemy w ciekawych czasach.

WAT, Wojskowa Akademia Techniczna. Absolwenci w stopniach oficerskich, odpłacając ciężkie pieniądze za studia, wyciekają do cywila. Daremna robota MON-u. Bódcem jest „kasa”, w cywilu daleko większa niż w wojsku, ale nie tylko! W zielonym garnizonie marnieją ich świeżo nabyte umiejętności. Gnuśnieją w monotonii koszarowego życia, gdzie nic nowego się nie dzieje. Stare roczniki przynajmniej czekały na awanse. Awanse mierzyły im czas, były rekompensatą,żywieniem. Zjeżdżała generalicja, panowało biesiadowanie.

Dziś oficerów nie mnoży się na szczęście bez potrzeby, więc okazji brak. Zresztą, młodym wódczane orgie nie zastąpią ambicji. Mają poczucie straty czasu. Na rutynowe zajęcia, na ryby, grzyby, kasyno. Rozrywki dobre na weekend, ale nie na co dzień. Szkoda życia. Żony współczesnych oficerów sekundują mężom w parciu do przejścia do cywila. „Tyle się nałykałeś wiedzy i co z niej tu masz...”

Niezależnie od tego, kiedy i jak odkryje się tajemnica katastrofy okrętu podwodnego „Kursk”, życie w garnizonie Widajewo, gdzie stacjonował ten cud techniki, nie zmieni się. A jakie jest?

Kilkadziesiąt identycznych odrapanych bloków, szpital, Dom Oficera. Trzy ulice na krzyż z popękana nawierzchnią, powybijane, zabite deskami okna, sterty śmieci. Marynarze w łańchmanach, niektórzy wręcz oberwańcy (jeden mundur i jedna para butów na dwa lata); prowiant zarobaczony, wszędzie szczury. Rekordzista w ich łapaniu (nałapał 40) dostał w nagrodę urlop.

Marynarz dostaje 30 rubli żołdu miesięcznie – dolara, specjalista – 90. Żeby przeżyć, załogi rozkradają własne okręty. Sprzedają na złom części z metali kolorowych. (Dane z *Polityki*, nr 35).

Katastrofa napędziła tu dziennikarzy, którzy odkryli przy okazji obraz garnizonowego bytowania.

Z zabiedzonych żołnierzy nie zrobi się armii ani floty. Jak budować na wojsku, w którym już na wstępie łamie się zasady logistyki?

Sierpniową tragedię na Morzu Barentsa przeżywaliśmy razem z Rusłanem, młodym zaprzyjaźnionym z nami Rosjaninem. Mimo, że nie najlepiej mu się powodzi, głosował wraz z żoną na Putina w obawie przed Ziuganowem i Żyrinowskim.



Woli mniejsze zło. Bo tamtych obu nie chciałby, jest za demokracją. Ciekawe, że daleko spokojniej od nas przeżywał los zatopionych marynarzy. Od początku wiedział, że są na straty. Interesowały go kwoty odszkodowań dla rodzin; uznał, że przyzwoite. Nie jest bynajmniej człowiekiem bez serca, ale patrzy na śmierć żołnierza postawionego w takich warunkach, jakie u nich panują – inaczej. Spokojniej. Daleko bardziej wzburza go nieumiejętność sterowania nawą państwową. Marnotrawienie dóbr, niewykorzystanie surowców i ludzi. Na rozwój swojego kraju patrzy z narastającym żalem: „Tyle mamy, więcej od Ameryki, a tak wszystko nam się rozłązi...”

„Mamy więcej od Ameryki” – porównanie wraca w rozmowach. Przy demokratyzmie ducha, w Rusłanie pozostało coś z widzenia świata poprzez perspektywę dwu mocarstw.

●

Beatyfikacja dwu krańcowo różniących się papieży: Piusa IX i Jana XXIII. Łączność między nimi jedynie formalna, za ich pontyfikatów odbyły się dwa sobory – Sobór Watykański I i Sobór Watykański II. Podobne z nazwy, całkowicie odmienne w treści. Co do Jana XXIII jest pełna zgoda wszystkich, że święty. Nie ma jej w najmniejszym stopniu wobec Piusa IX. Oponują nawet duchowni, a przynajmniej pytają, dlaczego. Wielki znak zapytania wisi nad tą beatyfikacją, który zapewne długo będzie poddawany weryfikacji. Nie mnie ją czynić, choć w skrytości ducha i ja zastanawiam się, czym kierował się Jan Paweł II wynosząc Piusa IX na ołtarze. Czy z własnego przekonania to uczynił, czy ulegając jakiejś presji?

Milenijny zlot młodzieży świata w Rzymie potwierdził coś daleko głębszego niż popularność obecnego papieża. Istnieje tu jakieś wzajemne przyciąganie. Jakieś spełnienie tęsknoty metafizycznej. Tajemniczy człowiek ten Jan Paweł II. W czasie gdy obcował z młodzieżą na podrzymskich błoniach, mój mąż otworzył telewizor w Warszawie, chcąc posłuchać dorocznego Festiwalu Piosenki w Sopocie. Nie spodziewał się niczego dobrego, bo Festiwal spisał w ostatnich latach, a tu niespodzianka: świetny murzyński zespół. Gdy pokazano szeroki plan, okazało się, że to nie „Sopot”, tylko młodzi z Afryki grają i śpiewają Papieżowi wtórującemu im

do taktu ręką. „Kto z kim przestaje, takim się staje” – odezwał się trochę autoironicznie. Po przetłumaczeniu przysłowia, burza oklasków.

Zaiste, dziwny ten Papież. Po takim zbrataniu się z ludźmi różnych wyznań, po tylu słowach miłości dla każdego, deklaracja Dominus Iesus wydana przez kardynała Ratzingera, prefekta Watykańskiej Kongregacji Nauki i Wiary – jest szokiem. Szokiem i znów pytaniem: jakie naciski działały na Papieża? Bo przecież nie mogło się to odbyć bez jego zgody...

Dzwonię do sióstr z Lasek.

– Niech będzie pochwalony – mówię.

– A kto?

– Jak to, kto?! Jezus Chrystus! Dlaczego siostra pyta?

– Bo jak odpowiem: „niech będzie” mogę usłyszeć: „diabeł”.

– Dużo takich telefonów?

– Dużo. Dawniej tego nie było.

Sataniści i wyznawcy. Ciekawe czasy. Nie tylko – politycznie.

●

Więzienia, na gwałt budować więzienia. Buduje się, o zgrozo, tylko jedno, kropla w morzu potrzeb. Już nie po dwóch, ale po czterech siedzą skazani w jednej celi. Już nawet pojawiają się piętrusy. Telewizor trudno ustawić, żeby każdy na leżąco widział...

Zaostrzona polityka penitencjarna zaprowadzona przez ministra sprawiedliwości, Lecha Kaczyńskiego – każe sadzać przestępców, jakich dawniej puszczano się wolno. Opinia sprzyja zamykaniu, bo ludzie się boją chłoptasiów, wyglądających jak każdy inny młody człowiek. Jak rozróżnić dobrego od złego? Jak poznać tego, który jest pozbawiony uczuć syntonicznych wobec swojego gatunku, więc zabić człowieka znaczy dla niego tyle, co rozgnieść glistę? Rozróżnić można dopiero „przy robocie”, kiedy jest za późno.

Trudno rozróżnić twarze, analizuje się więc sylwetki psychiczne. Psycholodzy mówią, że ten, kto zabija dla przyjemności, był w dzieciństwie bity dla przyjemności przez najbliższych. Z pewnością tak. Ale tu wkraczamy w wielką spra-



wę wychowania na przyszłość. Na razie jest, jak jest. Trzeba wsadzać bandziorów „pod cele” – a cel brak. Bo we współczesnym więzieniu w kraju pretendującym do Unii Europejskiej nie może być jak np. w szpitalu: naupychać, ile wlezie. Parametry unijne przewidują odpowiednie przestrzenie i jedzenie. Tak więc niech się nikt nie dziwi, że dzienna stawka żywieniowa dla więźnia często wielokrotnie przekracza stawkę szpitalną na chorego w normalnym szpitalu. Różnica ta w Chełmie wynosi: na więźnia – 11 zł, na niewinnego chorego – 3 zł.

Gdy media pokazują nasze więzienia, co lubią, bo jest się czym pochwalić – aż oczy się jarzą, tak tam pięknie. Jak w amerykańskim filmie. Naprawdę sympatyczniej zerknąć w głąb cel niż w salę szpitalną.

Ciekawe czasy.

Ale niestety nie przydaje im pieprzu kampania prezydencka, nudna jak flaki z olejem. Tak liczyłam na ekstra rozrywkę, a tu nic. Kandydaci snują się ulicami miast, ściskając z rzadka czyjeś ręce, powtarzają ze sztucznym zapachem kilka oklepanych frazesów, znużeni, co widać. Gdzieś tam pod ziemią idzie krecia robota. Czekam, aż wyskoczy na powierzchnię.

Warszawa, 7 września 2000 r.

*Ewa BERBERYUSZ*

## Główne orientacje prawicy

Prawica polska przekształciła się ze związku zawodowego „Solidarność”, co jest pewnym fenomenem w Europie, gdzie większość związkowców orientuje się na lewicę. W Polsce mamy jednak także związki zawodowe po obu stronach, a więc prawicowe i lewicowe, którym zresztą trudno jest się wzajemnie porozumiewać. „Akcja Wyborcza Solidarność” nie mając klarownego programu wraca do przeszłości, do idei chrześcijańsko-demokratycznej i narodowo-demokratycznej. Partią inteligentką współdziałającą z AWS w imię wspólnej wcześniejszej drogi opozycyjnej jest Unia Wolności, mająca wyraźne skłonności do zbliżenia się nie tylko do filozofii liberalnej, lecz niestety także do akceptacji skrajnego liberalizmu gospodarczego.

W nowoczesnym świecie ma on już określone granice, uwzględniające czynnik socjalny i troskę o prawa ludzi pracy, a także bezrobotnych.

Zdecydowanymi zwolennikami nauki społecznej Kościoła byli ludzie należący do różnych ugrupowań katolickich, na przykład Wiesław Chrzanowski, który jednak największy nacisk kładł na wartości narodowe i po upadku PRL-u stał się animatorem Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego. Wielu ludzi postrzega je mniej jako ruch chadecki (chrześcijańsko-demokratyczny), a bardziej jako kontynuację przedwojennej Narodowej Demokracji. W późniejszym okresie dwudziestolecia międzywojennego endecja, czyli Narodowa Demokracja, odchodziła od dawnych zasad w stronę skrajnego nacjonalizmu, o czym jej dzisiejsi zwolennicy chcieliby jakoś zapomnieć.

Złudzeniem obozu solidarnościowego w Polsce jest przypuszczenie, że może się dłużej ostać poważny ruch polityczny, obejmujący tak zróżnicowane formacje, jakimi są nacjonaści, chrześcijańscy demokraci, konserwatywni liberałowie i związkowcy, nawiązujący do dawnej „Solidarności”, która stanowi piękną przeszłość, dzisiaj już nieistniejącą. Nie wróżę więc



przetrwania zjednoczonego AWS dłużej niż do najbliższych wyborów, bo ugrupowania w nim uczestniczące nie mają innej wspólnoty poza nienawiścią do komunizmu, który już nie istnieje.

Wierność zasadom chrześcijańskiej demokracji zachowali jej członkowie, którzy w miarę kształtowania się w PRL systemu rządów jednej partii poczuli się zagrożeni i różnymi drogami znaleźli się na emigracji. Wymienić wśród nich należy przede wszystkim byłego prezesa Stronnictwa Pracy – Karola Popiela. Stronnictwo to powstało jeszcze przed wojną i było częścią tzw. Frontu Morges, stanowiącego w czasie wojny bazę społeczną rządu emigracyjnego generała Władysława Sikorskiego. Po wojnie chcieli oni rozbudować w kraju SP, lecz władze komunistyczne, obawiając się politycznej konkurencji, rozbiły tę partię, wprowadzając do niej swoich agentów – Widy-Wirskiego i Felczaka, co spowodowało rozwiązanie tego stronnictwa. Jego czołowi przedstawiciele różnymi drogami udali się na emigrację, gdy tylko zaczęły się aresztowania chadeków. Najszybciej i do tego legalnie opuścił kraj Karol Popiel, na co rządzący musieli się zgodzić, a było to jeszcze przed ucieczką Stanisława Mikołajczyka do Anglii, a potem do Ameryki. Inni działacze SP potrafili znaleźć konspiracyjne drogi opuszczenia kraju. W ten sposób najpierw w Paryżu, a potem w Rzymie znaleźli się Konrad Sieniewicz, Stanisław Gebhardt, a Jerzy Kulczycki w Londynie. Weszli oni w kontakt z partiami chadeckimi w Europie i z czasem przenieśli swoje centrum do Rzymu, gdzie słynna wtedy włoska Democrazia Cristiana zapewniła im pobyt i warunki pracy politycznej. Polska grupa chrześcijańsko-demokratyczna odgrywała pewną rolę w międzynarodówce chadeckiej. Otrzymane od niej środki wyzyskiwano między innymi dla utrzymania stałych kontaktów z krajem. Dzięki pomocy polskich chadeków w Rzymie miałem możliwość uczestnictwa w sesjach Soboru Watykańskiego II i otrzymywałem zaproszenia do Francji i Niemiec (Zachodnich), a także do Anglii.

Faktyczna likwidacja Stronnictwa Pracy i PSL Mikołajczyka przez rządy okresu Bieruta sprawiła, że udział w życiu politycznym PRL miały tylko ugrupowania spolegliwe wobec PZPR, jak PAX, lub najbardziej oportunistyczny CHSS, czyli najpierw Chrześcijańskie Stowarzyszenie Społeczne, przemiana-

nowane po paru latach na całkiem uległą wobec władz komunistycznych Unię Chrześcijańsko-Społeczną. Formacja ta była bardziej bezwolna wobec PZPR nawet niż PAX Bolesława Piaseckiego, bo ten ostatni oddawał partii usługi, jakich chciała, lecz miał zarazem ideę „spółrządzenia” z PZPR, tak jak chciał jeszcze przed wojną „współrządzić” z Obozem Zjednoczenia Narodowego, zwanym „Ozonem”. Piasecki rozmawiał nie tylko z szefem OZN płk. Kocem, miał nawet kontakt z Rydzem-Śmigłym, który jednak kazał w końcu rozpedzić „falangistów” Piaseckiego. Powtórzenie tego samego manewru wobec totalitarnie rządzącej PZPR było naiwnością Piaseckiego, choć w okresie dużych wpływów nacjonalistycznego skrzydła Moczara przywódcy PAX-u mogło się zdawać, że jakieś „współrządzenie” może okazać się realne. Obsesja ta doprowadziła PAX do tego, że w nagonce na Polaków pochodzenia żydowskiego prasa PAX-u przebiła nawet *Trybuna Ludu* i inne skrajne elementy w PZPR.

W nowej sytuacji międzynarodowej lat osiemdziesiątych XX wieku okazało się, że upadek komunizmu w ZSSR przyspieszył uwolnienie się z zależności całego Bloku Wschodniego, a tym samym ewidentny koniec formacji pseudokatolickich, które wysługiwały się komunistom.

Przetrwały natomiast tzw. grupa „Znak” i *Tygodnik Powszechny*, który w pierwszych latach PRL nawoływał do wyrzeczenia się polityki, przy całkowitym zaangażowaniu w religię i kulturę. Stanisławowi Stommie zarzucano wcześniej, że sprzeciwiał się udziałowi katolików w życiu politycznym PRL i głosił tak zwany „minimalizm katolicki”. Stomma go nie pragnął, a kiedy powstały warunki dla przyzwoitego zaangażowania politycznego, w 1956 roku sam wszedł do Sejmu PRL i pociągnął za sobą grupę ludzi myślących w kategoriach moralności. Grupa ta ze Stommą na czele przetrwała w sejmach PRL aż do roku 1976, kiedy wycofała się z polityki, gdy zdecydowano wprowadzić do Konstytucji PRL zasadę „kierowniczej roli partii”, a także zasadę „sojuszu ze Związkiem Radzieckim”. Z sejmów PRL kolejno występowali liczący się działacze katolicy, jak Stefan Kisielewski w 1965 roku, Jerzy Zawieyski w 1968 roku i wreszcie sam Stomma w 1976 roku. Wspomniane fakty i ich daty mówią same za siebie i świadczą o moralnym czynniku zaangażowania politycznego



ruchu „Znak”, „Więź” i Klubów Inteligencji Katolickiej. Także te środowiska popełniały błędy i sam z nimi polemizowałem, lecz nie mam najmniejszych wątpliwości, że w skali ogólnej linia „Znaku” sama się broni. W dużej mierze wynikało to z faktu, że „Znak” zawsze potrafił dystansować się nie tylko od totalizmu rządów, lecz także od nacjonalizmu rządzących ekip i części społeczeństwa.

Niestety, w części społeczności katolickiej w Polsce silniejsze są nastawienia narodowe, a nawet nacjonalistyczne, od opcji chrześcijańsko-demokratycznej. Było tak już w okresie międzywojennym. Roman Dmowski swoją książką „Kościół, Naród i Państwo” zjednał dla Narodowej Demokracji więcej ludzi niż miała ich Chrześcijańska Demokracja. Wiele mówi fakt, że już w 1923 roku Chrześcijańska Demokracja uzyskała w wyniku wyborów tylko 49 posłów, a był to jej największy sukces w okresie międzywojennym. Narodowa Demokracja była niestety dużo silniejsza politycznie. Ona też do przewrotu majowego w 1926 roku była główną partią rządzącą. Piłsudski i Dmowski byli w dwudziestoleciu międzywojennym głównymi adwersarzami politycznymi, a chadecja wypłynęła na szersze wody dopiero w 1937 roku w ramach Frontu Morges, a potem w rządach emigracyjnych w Londynie w czasie II wojny światowej. Powiem szczerze, że w katolicyzmie polskim dominacja orientacji narodowej nad chrześcijańsko-demokratyczną była postrzegana jako żenująca. Po wojnie zaczęło się to zmieniać, ale ekipa Bieruta szybko rozprawiła się z odnowioną chadecją, podobnie jak z endecją.

Znaczącym *novum* w tej trudnej sytuacji była linia kardynała Wyszyńskiego, przed II wojną światową bliskiego chadecji i chrześcijańskim związkom zawodowym. W warunkach powojennego systemu totalitarnego w Polsce Wyszyński uznał za właściwe zestawienie pojęć Kościoła i Narodu w tym tylko sensie, że gdy państwo atakowało Kościół, to liczył on na poparcie narodu, a gdy ograniczano wolności narodu i jego różnych warstw społecznych, to Kościół brał je w obronę. Jednakże, gdy w 1976 roku Wyszyński krytykował z ambony wprowadzenie do Konstytucji PRL zasady kierowniczej roli partii, czyli PZPR, a także zasady sojuszu Polski z ZSSR, prymas oświadczył: „nie znaczy to, abyśmy zmiierzali do jakiegoś odnowionego nacjonalizmu”. Wielu ludzi, powołujących się

teraz na kardynała Wyszyńskiego jako narodowca jest w błędzie, bo prymas bronił praw różnych warstw społecznych, np. rolników, lecz zdecydowanie odcinał się od nacjonalizmu, sprzecznego z chrześcijańskim personalizmem i uniwersalizmem.

Nastawienia narodowe w Polsce były nieuchronne ze względu na naszą skomplikowaną historię, co jednak nie znaczy, że myślący Polacy nie zamierzają popadać w potępiany na całym cywilizowanym świecie – nacjonalizm. Polska została w końcu XVIII wieku podzielona na trzy zabory: rosyjski, pruski i austriacki. Utraciliśmy niepodległość i stan ten trwał od 1795 roku aż do 1918 roku, a więc przez 123 lata. Po wybuchu II wojny światowej Niemcy i Rosja bolszewicka zafundowały nam nową utratę niepodległości i wyćpienie ponad sześciu milionów obywateli polskich, wliczając w to naturalnie naszych obywateli pochodzenia żydowskiego. Po II wojnie światowej powstała tak zwana PRL (Polska Rzeczpospolita Ludowa), która była państwem zdominowanym przez zależność od ZSSR, a więc nie niepodległym, lecz dyrygowanym z zewnątrz. Społeczeństwo polskie nigdy się z tym stanem nie pogodziło i dało temu dowód w wydarzeniach 1956 roku, w protestach 1968 roku, w grudniu 1970 roku i w całym okresie lat osiemdziesiątych, które poprzedziły powstanie legalnej „Solidarności” i niepodległego państwa na przełomie lat 1989 i 1990. Trudno się więc dziwić, że w nowej niezależnej Polsce przywiązuje się wielkie znaczenie do wartości narodowych i suwerenności politycznej. Pamiętajmy jednak, że w erze globalizacji politycznej Europy, a potem całej półkuli północnej, wszelkie przejawy nacjonalizmu dziwią i wywołują oburzenie. Bądźmy więc patriotami, lecz pamiętajmy, że także marginesowe przejawy polskiego nacjonalizmu budzą zdumienie. Mam pełne zrozumienie dla uczuć patriotycznych, lecz uważam, że zwłaszcza Polska, leżąca na skrzyżowaniu dróg europejskich, musi strzec się wszelkiej ksenofobii i niechęci do innych narodów, a także do mniejszości narodowych. Dystansowanie się od wszystkich tak zwanych „obcych” jest w Polsce poważnym błędem moralno-politycznym. Kraj nasz wiąże się ze światowymi centrami gospodarczymi i kulturalnymi, a także obronnymi, w których powinniśmy okazywać naszą otwartość i zrozumienie dla potrzeb innych krajów i narodów. Polska musi i powinna stać



się w ciągu najbliższych lat animatorem porozumienia z naszymi dawnymi przeciwnikami – Niemcami i Rosjanami, i takimi sąsiadami jak Ukraina i Białoruś, czy Litwa. Trzeba w naszym kraju skończyć z poczuciem wyższości wobec krajów mniejszych, byśmy mieli tam przyjaciół.

W katolicyzmie polskim nieporozumieniem jest przeciwstawianie myśli chrześcijańsko-społecznej poczucia tożsamości narodowej. Wartości te obiektywnie nie są ze sobą sprzeczne. Natomiast istnieje rzeczywista sprzeczność myśli katolickiej, czyli powszechnej i opcji nacjonalistycznej, która – nie ma co ukrywać – ma w naszym kraju skłonność do postaw agresywnych i nieobliczalnych. Wrogości do innych ludzi nie da się pogodzić z chrześcijańską zasadą miłości bliźniego. Należy o niej pamiętać nawet w polemikach prasowych i politycznych, w przeciwnym przypadku bowiem odchodzi się od często deklarowanych wartości chrześcijańskich. A prawdziwa troska o naród nie powinna mieć nic wspólnego z urazem i niechęcią wobec innych ludzi, skoro chcemy być postrzegani jako społeczeństwo pluralistyczne i demokratyczne, co ciągle deklarujemy.

W krajach europejskich, które nie były poddane totalizmowi marksistowskiemu, nie ma także nieprzekraczalnej przepaści między prawicą i lewicą socjaldemokratyczną. Przeciwnie, dochodzi tam do wielkich koalicji prawicy i lewicy. I tak 1 grudnia 1966 roku w Niemczech Zachodnich powstała tak zwana wielka koalicja Socjaldemokratycznej Partii Niemiec i Chrześcijańsko-Demokratycznej Partii Niemiec. Koalicja ta przetrwała do 28 października 1969 roku, a więc prawie trzy lata. W Austrii Wielka Koalicja chadeków i socjaldemokratów trwała najpierw od roku 1947 do 1960. Potem Austriacka Partia Ludowa, chadecka, uzyskała w wyborach absolutną większość, a więc koalicja nie była jej już potrzebna. Kanclerz Kreisky ponownie w 1986 roku zainicjował koalicję prawicy i lewicy, która trwała tak długo, że w 1999 roku chadecy z ÖVP poszli na koalicję z nacjonalistą Haiderem, co jest krytykowane teraz w społeczeństwie austriackim i w całej Europie. Dużo wody upłynie jeszcze w Wiśle, zanim Polacy zdołają dojrzeć do porozumienia prawicy i lewicy, lecz takiego aliansu i u nas nie można wykluczyć.

Andrzej MICEWSKI

## Przygoda na Starym Mieście

Od czasu kiedy kilka lat temu przeszedłem na emeryturę, często jeżdżę z Nowego Jorku do Polski, spędzam tam kilka miesięcy każdego roku. Atrakcji jest wiele, intelektualnych i sentymentalnych. Mam przyjaźnie sięgające czasów przedwojennego dzieciństwa, przyjaźnie z ludźmi, których rodzice byli przyjaciółmi moich rodziców, z ludźmi należącymi do sfery dawnej, ginącej już inteligencji. Tak się też złożyło, że na emigracji miałem okazję być w kontakcie z wybitnymi przedstawicielami polskiej kultury, z twórcami, o których moi młodszy przyjaciele piszą dziś książki. Daje to poczucie przynależności do pewnej elitarnej grupy, poczucie którego w Ameryce, poza kręgami polskimi, mieć nie mogę.

Warszawskie Stare Miasto w lecie przyciąga tubylców i cudzoziemców. Z roku na rok powiększa się ilość wylęgujących się na Rynek i wąskie uliczki kawiarenek pod parasolami konkurujących browarów. Od zeszłej jesieni, na wzór włoskich miast, na środku Rynku stoi stara rzeźba Syrenki, symbolu Warszawy, z wypryskującą naokoło wodą, w której brodzą dzieci. Grają katarynki, uliczne orkiestry, malarze wystawiają swoje dzieła lub malują błyskawiczne portrety, wróżą wróżki, sprzedawcy kwiatów krążą po kawiarniach. Córka mego brata, pierwszy raz od dzieciństwa w Polsce, siedząc w rynkowej kawiarni, była zachwycona. „Żebyśmy coś takiego mieli w Nowym Jorku...”.

Idylla jest powierzchowna. Piękne niedzielne popołudnie na początku czerwca spędziłem na Starym Mieście. Niefortunnie i naiwnie rozpocząłem od podjęcia pieniędzy na kartę nowojorskiego Citibank w ulicznym bankomacie. Zapamiętałem, że za mną stało dwóch mężczyzn, jeden w żółtej koszuli. Siedziałem godzinę w kawiarni, oglądałem sklepy, wreszcie wszedłem do sympatycznej, popularnej restauracji Samson. Było gorąco, nie miałem na sobie marynarki. Obok przesunął się mężczyzna w żółtej koszuli, rzucił za siebie „nie ma miejsca” i szybko wyszedł. A ja stwierdziłem, że w bocznej



kieszoni spodni nie mam portfelu. Dogoniłem go na ulicy. „Pan ma mój portfel!”. Nie reagował, jak osoba niewinnie oskarżona. Tłumaczył się, że portfelu nie ma, był w obcistych spodniach i koszuli – portfel musiał natychmiast podać koledze. Powiedział wreszcie, raczej bez sensu, że bardzo mnie przeprasza, podał nawet rękę i szybkim krokiem oddalił się. W portfelu była karta Citibank, Mastercard, amerykańskie prawo jazdy, niewielkie sumy w złotówkach i dolarach. Upłynęły dwie godziny nim udało się zamknąć obie karty. W tym czasie złodzieje zdołali zrobić zakupy w pięciu miejscach, łącznie z restauracją Fisherman na samym Rynku, supermarketem Robert, dyskoteką Cotton Club Cafe. Falszowali mój podpis, a żeby korzystać z karty Citibank musieli również znać kod, tak zwany *PIN number*. Stąd wniosek, że zaobserwowali go, kiedy wybijałem ten numer na klawiaturze bankomatu. Straty nie poniosłem, bo według amerykańskich przepisów nie jestem w takich sytuacjach odpowiedzialny.

Do tego momentu sprawa była dość prozaiczna. Moja nieuwaga i wprawni kieszonkowcy, przed którymi trudno się uchronić, a którzy działają we wszystkich wielkich miastach. Rzecz nabrała innego wymiaru przez to, że w portfelu miałem również kwitek na pralnię, a na nim adres mego ówczesnego, tymczasowego mieszkania w Warszawie. Po adresie złodzieje zdobyli telefon i już następnego wieczoru grzeczny głos zapytał: „Czy pan Marek Rudzki?”. Najniewinniej odpowiedziałem, że jestem przy telefonie. „Dziękuję” – i odłożona słuchawka. Dzień później, kiedy w komisariacie policji przy ulicy Wilczej składałem raport o kradzieży by otrzymać potrzebne mi papierki, wspomniałem o tym telefonie. Bardzo miła pani policjant przestraszyła się i radziła, bym natychmiast mieszkanie opuścił. „Czy mnie zabijają?” „Pewno nie, ale napadną Pana i bardzo pobiją”. Ostrzeżenie zignorowałem, miałem się parę dni na baczności, telefon nie dzwonił, uznałem sprawę za zakończoną.

Dalsze wydarzenia nastąpiły po miesięcznej przerwie, dwa dni przed wyjazdem do Ameryki. Może zauważono mnie znów na Starym Mieście. Wieczorny telefon, wulgarny głos: „Dziadku, szykuj kasę, bo cię zaje... Cześć”. Potem, w środku nocy: „Szykuj papiery – my się zgłosimy. Cześć”. W dzisiejszym języku ulicy termin „papiery” oznacza dolary.

Zgłosili się następnego dnia po południu. Miałem gościa, który szczęśliwie zjawił się wcześniej, nie reagowałem więc na domofon, a potem dzwonek do drzwi mieszkania. Obserwowałem dwóch młodych ludzi w sportowych czapkach. Szybko oddalili się z terenu osiedla. Wieczorem telefon z dalszymi pogroźkami. Zdążyłem powiedzieć, że to pomyłka. „Jaka pomyłka, ciebie przecież okradli na Starówce”. „Ten pan dawno wyjechał”. „Nie opowiadaj, my cię rozpoznamy”. Policja pod alarmowym numerem zasugerowała, by dobrze zabezpieczyć drzwi i dzwonić gdyby się dobijano, przyjadą w pięć minut. Nikt się w nocy nie dobijał, a rano, przed samym odjazdem na lotnisko, ostatni telefon: „Szykuj pięć tysięcy dolarów. Przyjdziemy o 3-ciej. Jak nie dasz, zrównamy cię z chodnikiem”. O 3-ciej godzinie byłem już nad Kopenhagą. Z dużym zadowoleniem.

Tak niestety wyglądają polskie realia. Idylliczna atmosfera bardzo szybko zmienić się może w horror. Mój wypadek nie jest odosobniony, słyszy się o wielu podobnych. Nasz nowojorski burmistrz Giuliani rozprawiłby się z podobną bandą terrorystów w ciągu tygodnia, podstawiając „ofiary” i aresztując gangsterów na gorącym uczynku. Niestety, w Polsce zwolniono by ich po paru dniach. Policja jest bezsilna, sądy nieudolne. Imponuje rozwój gospodarczy, nowe wieżowce wyrastają w Warszawie jak grzyby po deszczu. Prasa rozpisuje się o spełnianiu warunków na przyjęcie do Unii Europejskiej i o wysiłkach w sprawach tak drobnych jak ujednolicenie znaków drogowych i tabliczek rejestracyjnych samochodów. Jednocześnie, pod względem bezpieczeństwa osobistego, kraj stacza się w kierunku trzeciego świata, zaczyna przypominać pewne łańskie republiki gdzie nie pojawiają się turyści, a dyplomaci i ludzie interesu korzystają z opieki ochroniarzy. Czy władze czekać będą, aż amerykański Departament Stanu wyda oficjalne ostrzeżenie dla swych obywateli, by unikali podróży do Polski?

Nie czekając na takie ostrzeżenie myślę, że przez jakiś czas będę tych podróży unikał. Mam dziwne poczucie, że musiałbym się w Warszawie „ukrywać”, jak w czasach niemieckiej okupacji. Może to poczucie przesadne, ale kto chciałby być „rozpoznany”, a potem „zrównany z chodnikiem”?



## Sąsiedzi

### Wilno: coraz dalej

W Wilnie na Antokolu budzi mnie hałas ptaka. Tak to zanotowałam, wstydząc się dopisać: błogi hałas. Pod samym oknem mam las i śpiewaka, który obtańcowuje gałązkę i rażno wykrzykuje nutki.

Po przyjeździe przespałam – jednym tchem – czternaście godzin. To mi się nie zdarza. Na Antokolu mieszkam po raz pierwszy, stromo tutaj i zielono, okolica może mieć jakieś specjalne klimatyczne właściwości.

Codziennie po powrocie z miasta siadam na ławce, żeby pooddychać wspaniałym antokolskim powietrzem. Ależ ten las odurza. U któregoś z rosyjskich prozaików czytałam o stepie upajającym jak spirytus. Potwierdził to nasz dziennikarz, w celach krajoznawczych zabrany helikopterem gdzieś za Irkuck. „W Rosję”. Powiada, że wrażenie było niesamowite. Po raz pierwszy docenił przyjemność oddychania. Wcześniej nawet nie wyobrażał sobie, jak smakuje powietrze.

Antokol pachnie lasem. Zaciągam się tym aromatem jak papierosem za moich lepszych czasów. Podchodzi mała z psem. – Cześć, *Vijoleta* – mówię do sąsiadki. Tak właśnie mi się przedstawiła. Nie *Violetta*, a *Vijoleta*. Z wileńskiego na ruski, z ruskiego na wileński. Polka. Ma osiem lat i codziennie przyprowadza psa na trawnik, żeby się wybiegał. Opowiedziała, jak było ze szczeniakami po mamie znajdzie. Ładnie to opowiedziała, chociaż trochę smutno.

– Dziewczynkę wrona ukradła. Chłopczyk został. Mieliby trzech psów, a tak – nie ma. Szkoda. Bawiliby się.

Miłe dziecko z „*Violety*”. Przypomina mi się (przypominam), należałoby powiedzieć w Wilnie. Tu się tak mówiło.

Co śniłaś? Przypominasz jeszcze?) wiersz redaktora *Nad Wilją* Romualda Mieczkowskiego ze zbioru „Sen w ogrodach Moneta”. Moja córeczka nie potrafi/ napisać słowa jesień/ wychodzi jej jeśjeń/ tu w Wilnie –/ marszczy się przy tym/ co to za język – powiada/ przecież słyszę/ jak wszędzie mówią jeśjeń/ w książkach piszą nieprawdę.

Jeszcze trochę, a już się nie usłyszysz o budowie domu: a była postąpiwszy. To znaczy: idzie nie najgorzej.

Polacy na Litwie już prawie nie mówią po wileńsku. Nie mówią – przynajmniej w tym „przedwojennym”, czyli bardzo już niegdysiejszym rozumieniu tutejszej językowej swoistości. Z przeszliczną ich polszczyzną stało się to, co musiało się stać po sześćdziesięcioletniej separacji od żywego języka. Przesiąknęła Rosją.

Dialekt? Gwara? Wydziwiamy, wpychamy pod mikroskop, kto może, pincetą chwyta, mierzy, waży, dodaje i ujmuje... Nie zwracajmy sobie głowy. Te zabiegi, dłubaniny, nic nie dadzą, to tylko odsuwanie egzekucji. Urzekająca wileńska polszczyzna tak się zachwyciła, tyle naleciałości ją stratowało, tak jej brakło powietrza, że jest nie do uratowania. Język to nie garnek czy zapaska, nie uchowa się w skansenie. Oczywiście, tutejsi jeszcze latami będą mówić po swojemu, ale już na sposób, który sprawia, że w mieście Vilnius coraz łatwiej pomylić Polaka z Rosjaninem.

Wileńska niedziela. Donikąd się nie spieszę, mogę do woli słuchać hałasu ptaka w lesie, tuż przy moim oknie. Tylko że to nie on mnie dziś obudził. Taki niepokój wnoszą jedynie ludzie. Co się ta dzieje, drwale przyszli? Nie, to zaledwie dwoje na wycieczce. Trzeszczą łamane gałęzie. Ostry, nieprzyjemnie wysoki głos kobiecy komunikuje mężczyźnie, że zostaną tutaj, miejsce jest ujutne. I znowu – chrzęst kancerowanego drzewa. Co ona robi, zbiera chrust na zimę? Ale to żywe gałęzie. W czymś jej przeszkadzają, albo nudzi się, więc zrywa, żeby zaraz odrzucić.

Wkraczam do akcji.

– Co pani wyprawia? Tak nie wolno.

Nawet nie spojrzała. Nie odszczeknęła się. Natrafiłam na grzeczną. I to mnie ośmiela.

– Nie wolno niszczyć drzew! – nacieram.

Odkrzykuje nawet bez irytacji, nie zamierza sobie psuć nerwów w pogodną niedzielę.



– To postoj! Postoj! Nic pani nie rozumie?!

Pan Eugeniusz, portier z hoteliku dla sportowców, w którym mnie ulokowano (hotel, jak i klub piłkarski, jedna z lepszych drużyn na Litwie, należą do Polaka), otóż pan Eugeniusz jednak mówi „po przedwojennemu”, pewnie z zasługi lat, uodporniających na przemiany. Lubię nasze rozmowy. W kompletnym przeciwieństwie do mnie – optymista, podejście do świata ma życzliwe i kompromisowe. Zapytany, czemu pies skowyczy, objaśnia pocziwie, że przyczyny nie ma, bo to tak: jeść – dostał, wodę – dostał, sytuacja w porządku. Ja przy swoim: Ale płacze! Skarży się! On, z wyrozumiałością: Widocznie zaskuczał. Może i nudno jemu na łańcuchu. Psy lubią swawolić, pozawczoraj będzie... bawimy się, raptem ten jak skoczy, dla żartu rozumie się. Prosto z nóg mnie strącił, przewalił się, ja na niego, on piszczy, ja wystraszywszy się... Nieprzyjemność. I na kogo winna zrzucisz. Nie ma na kogo zrzucić.

Tak sobie gawędzimy przed deszczem, nie przed deszczem, w chłodnym słońcu. Pana Eugeniusza pociąga wielka polityka. Wie, że rosyjski premier zaglądał do Wilna. Był przyleciawszy, ale po jakiego diabła...

Pilnuję, żeby miał pierwsze i ostatnie słowo (portier, a nie premier). I to daje efekt. Pan Eugeniusz momentalnie docenia moją inteligencję. – My z panią przynajmniej wszystko rozumiemy i możemy odsiewać. To daje rozmowę.

Dołącza do nas pokojowa, pani Zosia, polityką raczej nie zainteresowana. „Jak ma być tak i ono będzie bez nas” osądza niegłupio. Jak co dzień, z całą serdecznością dowiaduje się, czy jadłam obiad (a smaczny był? Co najlepiej smakowało?) i jak mi się mieszka.

Kochani ludzie, tyle że nie trzeba przesadnie polegać na ich informacjach. Ulica Žolino to już ostatki Antokola, dobrych kilkanaście minut marszu do przystanku. Droga pusta, niezabudowana. Po przyjeździe rozpakowałam się, umościłam, odespałam swój życiowy rekord – czternaście pełnych godzin – i rano zaczynam rozglądać się za komunikacją.

– Chodzi autobus jaki?

– Nie. Nie chodzi. Tu już nie ma ich.

– Żadnego?

– No, na pewno, pani. Gdzieżby był.

Informacji udziela pani Zosia. Wydało mi się to dość dziwne, ostatecznie hotelik stoi dopiero w połowie drogi na szczyt antokolskiego wzniesienia, gdzie panoszą się wille, chyba nie sami samochodziarze tam mieszkają... Idę na mały rekonesans i co widzę. Przystanek. Nie za często, ale co godzinę można jechać do miasta i z powrotem. W związku z czym wywiązuje się pouczający dialog pomiędzy mną a panią Zosią.

Ja, z pretensją – A jednak chodzi autobus!

Ona, z łagodnością – Chodzi, pani, chodzi, tylko niespieszacy.

Niespieszącym jednak dojeżdżam do głównej na Antokolu ulicy Kościuskos, a stamtąd do śródmieścia. Zależy kapitalizmu Antokol. Od domów i przechodniów zalatuje biedą (niedokąpaniem, niedopranie również zalatuje; zupełnie jak u nas), ale prozę bardzo, nawet ananasy mogą kupić w kiosku przy ulicy Jogajlos na proletariackim Antokolu. Przedmieście nie przedmieście, dolary wymieniam bez kłopotu. Ciekawe jak zareagowałby właściciel kantoru, gdybym go oświeciła, że Sigismundas Augustas zamknął mennicę krakowską, tym samym jedyną w ogromnym państwie stała się wileńska.

W całym Wilniusie adresy rozpoznawalne dla Polaków. Ulice Konarskio, Kraševskio, Moniuškos, Oginskio, Šopeno, Sierakausko, Sapiegos. Nawet nie od Litwinki Edyty, tylko od wileńskiego Polaka słyszę, że powracały dawne nazwy. Znowu jest w Wilnie Wielka, jest Zamkowa, Ostrobramska.

No, bez przesady z tym powrotem. Wielka, to Didzioji. Zamkowa: Pilies. Ostrobramska: Aušros Varty.

Wilno wąskouliczne, ze skosów, skrzyżowań, skrętów, zbiegnięć.

Domyślałem się sklepów po wystawach. Czasem nawet po szyldach. Trudny i bardzo osobny język Bałtów przesiąkł polskim na tyle, że bym się zorientowała gdzie mi co sprzedadzą lub podadzą. *Stiklos* – wiadomo, szkło, *sviezai bulves* – też proste, ale już na to, że *dvigubas mesainis* to podwójny hamburger, sama bym nie wpadła.

Uczesze mnie *kirpykla*. Fryzjerka, bo pukle kręci?

Na zgadywankach można się przejechać. Słowo *blogai* (czyta się to „l” jak twarde „ł”) nie ma nic wspólnego z błó-



gością czy błaganiem. *Blogai*, źle. Dobrze, to *gerai*. *Viso gero*, do widzenia, a także: wszystkiego najlepszego.

Nie u nich, jak u nas, znaczy: nie. Zapisalam tylko przezczenie. Obejdzie się bez psychologa, zawsze łatwiej przychozdila mi negacja.

Zaproszona przez radcę prasowego naszej ambasady, mam co chciałam. Obiad po litewsku. Na jednym talerzu gorące ziemniaki, na drugim zimny barszcz. Z przepisu zimny. Ale to nie smakuje „blogai”.

Następne danie – cepeliny z grzybami w sosie też grzybowym (mogłyby też być ze śmietaną, zamiast sosu). Dalej: kiszka nadziewana ziemniakami, skwarki. Trzeba mieć apetyt i wątrobę rekina. Popijamy dwoma kwasami, chlebowym oraz porzeczkowym. Ubłagałam radcę, żeby mi pokazał rachunek. Pięćdziesiąt sześć litów, mniej więcej – pięćdziesiąt sześć złotych. Zważywszy gdzie jemy – restauracja zgrabnie ustylizowana na karczmę, żadnych plastików, metali; ściany, stoły, ławy z drewna – jest to raczej mniej, niż więcej w porównaniu z warszawskimi cenami.

Żeby wspomóc mój nastrój przy konsumpcji kiszki, radca opowiada żmudzki dowcip. Przychodzi trzech do gospody. Siedli. Zamówili piwo. Pierwsza kolejka – w ciszy. Tylko jeden mruknął: hmm... Następna kolejka – w ciszy, tylko drugi westchnął: hmm... Zamawiają repetę i odzywa się trzeci: oho!... Dwaj ani drgnęli, dopiero po wyjściu z gospody decydują: tego to już się nie będzie zabierało. Za dużo gada.

W śródmieściu zatręśienie małych pensjonatów. Na „Bed and Breakfast” jeden, dwa pokoje w prywatnym mieszkaniu. W 1998 cena od piętnastu dolarów dla jednej, od dwudziestu pięciu dla dwóch osób. Taniocha, jak na gust zachodniego turysty. Co prawda, okazja zależy od wygód, od dzielnicy. Już też po zachodniemu.

„Czarujący, mały, luksusowy hotelik w sercu Wilna” nie będzie taki tani. Obiecana *warmth and hospitality* w tej cenie się nie zmieści. Ale wybór duży. Anonse w gazetach i na murach. Oczywiście po angielsku. „Jesteśmy zawsze do twojej dyspozycji... U nas – po domowemu, warunki do wypoczynku, warunki do pracy”. To znów „Będzie ci jak w domu. Z okien uroczy widok... cicho i wygodnie...”. Bez długiego gadania „Na co masz ochotę? Na kawiarnię? Na

saunę?” Bez ceregieli: „Tanio i blisko lotniska”. Na hotelu, który widać nie cieszył się nadmiarem amatorów, wywieszka „Nie bądź zdziwiony, nie tylko nazwa się zmieniła, zrealizowane zostały nasze sny o remoncie”. Reklamy moglibyśmy się od nich uczyć. Zgrabna. Jak się to wszystko czyta, człowiek zaczyna wierzyć, że sąsiedztwo Ministerstwa Spraw Zagranicznych oraz poczty głównej to jest to, o co mu chodziło w Wilnie.

Przy reprezentacyjnej ulicy Gedymina (niegdyś: Mickiewicza) europejski targ próżności. Perfumy Diora, Guerlaina. Zegarki Cartiera, Svarovsky’ego. W małych ściennych gablotach niczym jubilerskie cacka portfele i krawaty. Za złotawo podświetlonym szkłem, pod mosiężnymi tabliczkami anonującymi takie wielkości jak Ivens czy Guzzi, torebki od trzech tysięcy litów w górę, apaszki po siedemset, długopisy po tysiąc pięćset. Zawrotne ceny. – Warszawskie – uspokaja Litwinka.

Nie dają się przekonać. – Za długopis kilkadziesiąt dolarów? Bez przesady – marudzę.

– To nie przesada, to firma – koryguje moja towarzyszka. Pociesza, że nawet w sklepach rangi Christi Ana czy OBG zdarzają się okazje, chociażby torebka firmy Issi już za siedemset litów...

Publiczność takich sklepów ocenia fasony i gatunki, ceny ją mniej interesują. Nie muszą. Jestem tu jedyna, która ze zgrozą odczytuje, co za ile. Wyobrażam sobie, jak to odbiera przeciętny Litwin, którego miesięczna pensja nie przekracza trzystu dolarów, może też być dużo niższa. Oczywiście Edyta ma rację, po stwierdzenie szokującej rozpiętości między dochodami ogółu i elity nie musiałam ruszać się z Warszawy.

Zmiany w Wilnie nie trącą nowobogackim szykiem i pozłotką. Przeciwnie, Wilno jest jak rekonwalescent, który wraca do normy. W Związku Sowieckim zachowały się wysepki europejskości, zaczynając od Estonii, bardzo już skandynawskiej, kontrastowej na rosyjskim tle. „Pribałtyka”: osobny świat, zadeptywany z wyjątkową konsekwencją. Tu niewolę czuło się w powietrzu. Od „Pribałtyki” zajeżdżało łagrem. W Moskwie, Leningradzie *outsider* stykał się z systemem, ale okupację – dosłowną okupację – widział w Rydze, Tallinie. Przytłaczające wrażenie, spotęgowane pięknnością



miast, których architektura tak krzyżując się z ich sytuacją. W Związku Sowieckim powstawały dzielnice, gorzej, miasta, warte komunizmu. Szare. Ciężkie. Żadne. Gdyby Wilno uległo większym zniszczeniom wojennym – zastąpiono by je takim samym koszarowym blokowiskiem, w jakie z ruin przeistoczyły się Królewiec, Kłajpeda, Dorpat.

Przyjeżdżając do „Pribałtyki” w połowie lat 70-tych, miałam już za sobą Moskwę, Mińsk, Kijów, kawał prowincji ukraińskiej, a jednak dopiero zetknięcie z Rygą i Wilnem było wstrząsające. W miastach z rodowodem rosyjskim, czy od dawna zrusycyzowanych, aż tak nie wyczuwałam niewoli. Były bezbarwne, po sowiecku zglajchszaltowane, siermiężne, ale przynależne Rosji. Nie zrabowane, własne. Tamtejsi mieli źle – u siebie. Podczas kilku pobytów nawet ja, dobrze traktowany gość na chwilę, napatrzyłam się grząskim smutkiem sowieckości, lecz porażająca świadomość niewoli dopadła mnie dopiero w stolicach „Pribałtyki”. Zarówno w samym Związku Sowieckim, jak w satelitarnych republikach – nie wyłączając Polski – wiele skandalicznych niszczycielskich decyzji związanych z rozbudową czy przebudową miast nawet nie wynikało z czyjejs złej intencji, tylko było wynikiem nieociosania albo i tępoty odpornej na wszystkie dyplomy. To nie jakiś perfidny demon paskudził otaczający świat, tylko zwykłe chamisko.

W Związku Sowieckim inwestowano w rozbudowę miast, nie w ich ratowanie. Renesans, zwłaszcza gotyk, którego po naszym brzegu Europy jak na lekarstwo, to nie znaczyło nic, ważne były bloki. Pisałam o przygnębiającym przejeździe przez Leningrad w kierunku na Estonię. Nieomal godzinę zabiera wydostanie się na autostradę spomiędzy ciężkich, topornych mrowiskowców, pudeł na metraż.

„Pribałtykę” poddano specjalnemu traktowaniu. Dziesięcioleciom umyślnej dewastacji. W oczy biło, że to nie bezmyślność, tylko przemyślana polityka wynarodowiania, mocny sposób na upokorzenie narodu i realne w perspektywie starcie jego łotewskiej czy litewskiej świadomości. Rujnacja cudownych kupieckich kamieniczek i spichrzy nad Dźwiną była wstrząsająca. Po lokatorach śladu – kogo nie wywieziono, tego przekwaterowano – pozostawało wyglądać buldożerów, które rozprawiają się z historią. Nie wiem, jak to

wygląda dzisiaj. W oczach mam tamtą, skazaną Rygę. Nie mogę się otrząsnąć z pamięci.

A tak przy okazji: mało kto wie, że w stolicy Białorusi, doszczętnie, jak utrzymywano, zniszczonej podczas wojny, jednak uchowała się zabytkowa nie za Stalina część śródmieścia. Nie zmiotł jej front, tylko buldożery i to za Breżniewa. Widocznie była nazbyt „białoruska”.

W „Pribałtyce” budowano mniej i później, projektanci byli mniej odeuropeizowani, może i dlatego dzielnice na obrzeżach Wilna po części są nośniejsze; czuje się po nich lepszą wolę architekta. Duże Wilno zaprogramowano w latach pięćdziesiątych. Jak łagodzące nie byłyby korekty – nad miastem Europy zawisła groźba blokowiska. Wszystkie te Justiniżki, Karoliniszki, Wierszuliszki, a już szczególnie wyróżnione niegdyś nagrodą leninowską Łazdynai, wciąż uchodzą za adresy warte starań. Na co dzień liczy się gazowa kuchnia, ciepła woda i kaloryfery, a nie powiew historii. Stąd powszechna i w Polsce opinia, że skoro ludziom dobrze w betonowych bunkrach – trzeba siedzieć cicho.

Za słabo bronimy się przed szpeceniem kontynentu. O urodzie miast decydują nie tylko cudowności klasy 0, ale ich rozległe tło, jak te wileńskie stłoczone, zawikłane uliczki. Na zapleczach kamienic Wilno całe z oficyn, dworkowatych w gankach i krużgankach, pod rumianymi dachami, obszytych winoroślą. Bez nich nie ma Wilna. Jedną z najpiękniejszych stolic europejskich zżera grzyb. Pochłapanie staromieścia świeżą farbą, to jeszcze nie jest remont i ratunek. Prasa litewska alarmuje o fatalnych niechlujstwach restauracji.

W swojej pierwszej książce o Ukrainie i Litwie („Motyw wschodni”) nazwałam Wilno słownikiem architektonicznym. Skłoniła mnie do tego aż niewiarygodna koncentracja attyk, arkad, kolumn, kapiteli, mansard, podcieni, schodków, ganków; kompozycje z dachów, kępy kościołów, zaułki, przesmyki. To niebywałe miasto. Gotyckie, orientalne. Barokowe, klasycyzujące. Informowano mnie z dumą, że co czwarty wilnianin lat siedemdziesiątych mieszka w nowo zbudowanym domu. Napisałam po powrocie: „Już to obce Wilno. Nowe, nowe, nowe. A kiedyś będą sobie ludzie pluli w brodę, że nie zostawili w spokoju takiego Krakowa i takiego Wilna”. Które jeszcze jest do uratowania. Trudna sprawa.



Oby Litwini zadbali o nią, zanim klamka zapadnie.

Hałas ptasi, to na Antokolu. Nie ma ptaków w opustoszałym kwartale przy dworcu. Tu już nawet ludzie nie mieszkają. Od mojego ostatniego spaceru po slumsie pomiędzy Ostrą Bramą a dworcem kolejowym, czyli od dziesięciu lat nic się nie zmieniło. Nic. Nawet na gorsze.

Po ostro żółtych plamach farby na strzępach tynku sądząc, domy jednak były odświeżane za sowieckich czasów. Kolorki jak to wszędzie pod sierpem i młotem: mizerny landrynkowy róż, natarczywa żółć. Jeden mundur od Kowna po Kołymę.

Lokatorów kiedy to wyprowadzono z popękanych murów, ale ten i ów musiał cichcem wrócić, bo odkryłam żywe mieszkanie. Ptak je wydał. Ktoś tu, a nie gdzie indziej, czuł się u siebie. Poznałam po klatce. Na parapecie zamkniętego okna za brudną firanką klatka z papuzką, samotną nierozłączką. Mała i jaskrawa, nieruchomo tkwiła na huśtawce. Przestraszyłam się, że o niej zapomnieli, ale nie. W miseczce miała wodę, w drugiej – ziarno, wszystko jak trzeba, rozumie się – w granicach klatki.

Dokąd bym nie pojechała, zwiedzam slumsy, więc i tutaj penetruję półmartwe uliczki, dopóki nie przyjdzie mi do głowy, że jeśli ktoś mnie po niej zdzieli, raczej długo tu poleję. W dzisiejszym Wilnie, zupełnie jak w Warszawie, spacerowicz nawet w środku miasta łatwo traci portfel. Zatem biorę taksówkę i każę się obwozić po wszystkich złych dzielnicach. Kierowca zaskoczony: też czemu tak? Mam tam kogo? Odpowiadam wykrętnie, więc sam sobie wyjaśnia: – Musi mieszkała kiedyś. A niech mu będzie, co się mam tłumaczyć ze swojej Galicji.

Wiezie mnie dość niechętnie, nie ma zrozumienia dla „dziadostwa”. – A na co tu patrzeć, pani. Kamienice, prawda? Oni nie zabytkowe.

Nudno mu po takiej byle drodze, chce od razu jechać na Zarzecze. Wymuszam Pohulankę. Od trzydziestu lat nic się nie zmieniło. Gdyby te czynszówki były budowane mniej solidnie, gruz by po nich nie został, tymczasem trwają, obciążane z tynków, spękane, przeżarte wilgocią, gnijące pod nieszczelnym dachem – nadal są, służą, żyją.

Z Pohulanką wiąże mnie wspomnienie, którego nie

nazwałabym przyjemnym. W 70-tych latach Związek Literatów Polskich wprowadził innowację, stypendia dla pisarzy wyjeżdżających do państw naszego bloku. W kraju dostawaliśmy gotówkę, gospodarze mieli nam tylko rezerwować hotele, bilety. Zupełna rewolucja. Szczególnie w Związku Sowieckim nie rozumiano się na takiej okrojonej gościnności. Podejrzany pomysł, podejrzani goście. Pojechałam jako pierwszy królik doświadczalny, no i zaczęła się zabawa.

Na przekąskę – tajemniczy telefon do hotelu, później parodia obserwacji. Nieukrywanej, przeciwnie, starano się, żebym nie przeoczyła. Żeby mnie zastraszyć? Nie wiem.

Kiedy swoim zwyczajem zamiast do muzeów poszłam zwiedzać slumsy, pojawił się samochód. Wyprzedzał mnie, to znów zwalniał i ni stąd, ni zowąd na pustej ulicy dawał długie światła. Całkiem jak w kiepskim kryminale.

Następny ruch wykonali sprytniej. W redakcji *Czerwonego Sztandaru* zatrzymała mnie zdenerwowana dziennikarka: coś się dzieje, chce ze mną mówić (nie: rozmawiać, mówić) towarzysz z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Sprawy zagraniczne sowieckiej Litwy, koń by się uśmieł. Tylko, że mnie nie było do śmiechu, tam i wtedy.

„Przedstawiciel” za pośrednictwem *Sztandaru* parokrotnie wyznaczał mi terminy. Przychodziłam, czekałam, tracąc pół dnia, po czym komunikowano mi, ale pośrednią drogą (nigdy nie zostałam poproszona do telefonu; odbierał ktoś z redakcji), że spotkanie odbędzie się kiedy indziej, a kiedy, to się dowiem.

Wreszcie przyszedł. Uprzejmy, ułożony. Przedstawił się, dostałam wizytówkę. Nie ukrywał, że jest Rosjaninem, tylko że jeśli on nazywał się Iwanow, jak miało wynikać z wizytówki, to ja jestem Kowalska.

Rozmawialiśmy o sprawach ze mną raczej słabo związanych, jak mi się zdawało, bo, dla przykładu, o kolektywizacji, która coś dziwnie się opóźnia w Polsce, może wiem, dlaczego? Nie wiedziałam. Bardzo był zmartwiony. Wysłałam na miękkich nogach, ale przez ostatnie dni pobytu miałam spokój, powiedziałabym – aż nadmierny, bo w Wilnie już nikt nie znalazł czasu, żeby się ze mną spotkać. A na towarzysza „Iwanowa” po kilku latach natknęłam się w Warszawie. Ja



szłam do siebie, czyli do Stowarzyszenia Dziennikarzy przy Foksal, a i on do siebie, do ulokowanego *vis à vis* Domu Kultury Radzieckiej, którym teraz kierował. Przywitał mnie jak najserdeczniej – kopa lat, no i co dobrego. O kołchozach już nie było mowy.

Dzisiaj bardzo łatwo pokpiwać z *Czerwonego Sztandaru* jako gazety polskojęzycznej (ulubiony i jak tłuszcz w wiejskiej kuchni nadużywany termin głupców). Łatwo oraz nieuczciwie.

Do dzisiaj wymawiamy gazetie służalczość wobec podwójnego okupanta, psią pokorę, mącenie w polskich mózgach, tłamszenie narodowej tożsamości, godności, nadziei...

Pamiętam *Sztandar* z wczesnych lat siedemdziesiątych. Zgadza się, poziom pisma był niski, wskaźnik odwagi – skromny, polszczyzna – katastrofalna. W gazecie roiło się o ciężkich błędach językowych. Polszczyzna tego pokolenia – więc i tych dziennikarzy – była już marna. Bo niby jaka mogła być w rosyjsko-litewskim kotle? Po wojnie nie rozstali się z Wileńszczyzną Polacy ze środowisk, w których język służył do ozdoby życia, półki nie ugięły się od książek. Tutaj ci dziennikarze dorastali na podwórkach, w szkołach przy radiu, dyktującym inny akcent, inną fonetykę. Bliżej im do Archangielska, niż do Białegostoku. Przez długie lata granica z Polską należała do niepokonywalnych dla obywateli Litwy jak i którejkolwiek – w tej kwestii rzeczywiście równouprawnionych – republik sowieckich. Prędzej mogli ujrzeć brzeg Morza Białego, niż Białystok. Inna sprawa, że wśród redaktorów *Sztandaru* byli i tacy, którzy z polszczyzną po raz pierwszy w życiu zetknęli się na tej posiadzie, Rosjanin, Uzbekca... Żadne tam pionki. Kierownicy. Na prasowym poletku oni wymierzali skąpą polską miedzę. Pomimo wszystko *Sztandar* w jakimś stopniu osiągalnym wtedy pomagał, bronił polskości, bronił naszych szkół, bronił tożsamości tych kilkuset tysięcy ludzi, którzy nie odważyli się na repatriację.

Było, minęło, odpukać... Litwini często jeszcze odpukują. Za głośno o tym się nie mówi, ale to nie histeria, to historia wymusza poczucie zagrożenia na wczorajszej „Pribałtyce”, na przedwczorajszych guberniach.

Nie założyłabym się, że to sowieckim staraniem Orzeł zniknął z Ostrej Bramy (Pogoń została). Korekta herbu to akurat nie było to, co przeszkadzałoby Litwinom. W wolnym państwie Pogoń oczywiście trwa na swoim miejscu, ale Orzeł nie wrócił. Trochę to przypomina sytuację we Lwowie, ukraińskie opory przeciwko powrotowi lwów na cmentarz polskich obrońców. Po każdej stronie niebezpiecznie żywe te obolałości. Chciałoby się skreślić historię, a przynajmniej przystrzyć.

Na Pohulance po staremu: fukcje w oknach, sparszywiałe mury, w mocnym słońcu dojrzewa kilku sennych pijaczków. Znudzili się, albo im za ciepło, bo dwu intonuje kłótnię, do której bez pośpiechu, ze smakiem włącza się następny, a reszta jeszcze niezdecydowana, choć owszem, przymierzają się, podrzucają słówka. Jakie? Korci mnie, ale nie poproszę kierowcy o przetłumaczenie. Wolę nie ryzykować, mimo przysięg wileńskich poetów, że litewski jest najniewinniejszym językiem, przynajmniej na naszym kontynencie. Bluzganie, to nie tu.

Język bez wulgaryzmów. Coraz to od kogoś słyszę i nadal nie wierzę. Oni swoje: w tym kraju penis się nie poniewiera, penis to co najwyżej *varpa*. Kłós. Opamiętajcie się, przecież nawet Litwini muszą czasem bluznąć, do ciężkiej cholery. Chcąc sponiewierać sąsiadkę, jak się do niej zwrócić: serdeńko moje? Nie, mówią, aż tak to nie. Wystarczy: ropucha. Woryginalne *ropuże*. Łatwe do zapamiętania.

Po obrzeżach starego Wilna zjeżdżamy na Zarzecze. Kiepsko trafiłam, mój taksówkarz, chociaż nie najmłodszy, nie zna Wilna, zna tylko nazwy ulic. Typowy sublokator miasta, z którym nie wiąże człowieka przeszłość, lecz przypadek. Zamieszkał, bo tak pasowało. Nadarzyła się żona czy posada, pewnie jedno i drugie, no to jest. Nudzi się ze mną, wolałby pomówić o cenach, pensjach w Polsce. Na pytania odpowiada niechętnie, bo mu przeszkadzają. Pierwszy dobrowolny komunikat dopiero przy pomniku Dzierżyńskiego.

– Liczył się Feliks Edmundowicz – konstatacja rzeczowa, najdalsza od ironii.

Ja, odruchowo, bo mi podpadł z akcentu:

– Pan jest Rosjaninem?



– Nie, Polakiem. Dlaczego?

Po raz drugi byłam w Wilnie też „za Breźniewa”, ale już na akceptowanych papierach, z grupą literatów. Na Zarzecz przy Krakowskiej mieściła się szkoła polska, uwzględniona przez gospodarzy w programie naszej wycieczki. Wcześniej wszystko szło płynnie, punktualnie, dopiero przy tej okazji zegarek się zaciął. Dziwnie długo czekaliśmy na przewodnika. Towarzysząca mężowi Putramentowa, Rosjanka, namawiała, żeby nie marnować czasu tylko iść na zakupy do spec-sklepu z garderobą, za tutejsze „żółte firanki”. Nikt się nie odezwał, więc rąbnęła już poirytowana: „Co wam tak spieszo do tej całej szkoły? Co tam nadzwyczajnego, a? ...” Nawet Putrament miał dosyć. Syknął „cicho siedź, głupia”. W końcu przewodnik się znalazł, Putramentowa poszła za firanki, a my na Krakowską.

Było to gorzkie spotkanie. Ileż dzieli racje historyczne od ludzkich. Pisałam po powrocie:

„Najważniejszy dzień na Litwie. Adres daleko za Wilią, to jest za rzeką Neris. Ulica Krakowska. Nowy budynek w powszechnym – tak u nich, jak i u nas – stylu, karton na buty. Kilka piętér pudełka. Spotkanie w szkole polskiej.

Spóźnieni jesteśmy skandalicznie, a oni ciągle w oknach. Ciasno przy sobie. W każdym oknie Polacy. I krzyk: ‘Idą, idą!’.

A na schodach szpaler pionierski. Białe koszule z ostrą czerwieńią krawatów, postawa na baczość, prawe ręce pochyło przed siebie. Kiedy przechodziliśmy milcząc, kilkoro podbiegło i udekorowało nas małymi bursztykami o wyraźnym kształcie łzy.

Aula, przywitanie przez dyrektorkę, niestety, zapamiętałam tylko jej imię, Zinaida, gdzieś mi się zapodziało w notatkach nazwisko, zapewne po litewskim mężu. Recytacje. ‘Najdrożsi goście, polscy rodacy, po ścieżkach wielkich wieszczów wracacie...’

Skurczona nad zeszytem, udawałam, że piszę. Jasny, przedmutacyjny sopranik zapytywał pisarzy, czy wiedzą o tym, że ‘polskie dzieci, które w radzieckiej ziemi mieszkają, coś o przeszłości swej znają’.

Wiele potrzebnego dowiedziałam się w tej szkole.

Powszechność wzruszenia: owszem. Tylko że najmniej przeżywały tę godzinę dzieci.”

Było nas dziesięcioro, o ile pamiętam. Różne roczniki, różne bliskie ojczyzny. Z pobliza Litwy – Erwin Kruk. Z Wilna – Jerzy Putrament.

Tak, on jeden tutejszy. Gdzie indziej znajdzie się takie nazwisko? Młodość tutaj przeżył, tego się nie lekceważy. Bez względu na późniejsze losy, powrót w strony młodości porusza człowieka, jakoś go ociepla. W to wierzyłam.

Nauczycielki płakały. Obserwowałam Putramenta. Nie drgnął. Nie był znudzony, ani ironiczny, aż tak, to nie. Po prostu nie zareagował. Putramenta Wilno już nie obchodziło. On jeden się nie wzruszył.

Nie sądzę, żeby grał. Nie musiał. Tutaj, w Związku Sowieckim, chyba już od dawna był poza podejrzeniem.

W jego „Wrześniu” relacja o czyjejś śmierci kończy się zdaniem „Skąd możemy wiedzieć, o czym myślą umarli”.

Całkowicie spokojny, znieruchomiały za prowizorycznym stołem przydialnym, coś martwego miał w oczach, skoro przypomniałam sobie to zdanie.

Korzystając z mojego zamyślenia, taksówkarz wymyka się z Zarzecz. – Ot i na Snipiszki wyjechali znowu... – dziwi się szczerze. Mogłoby się zdawać, że to nie z jego zasługi jesteśmy z powrotem na Snipiszkach.

Trzyma się większych ulic, upraszcza sobie drogę. Podejrzewam, że i na tę fenomenalną uliczkę na głębokim Zarzecz zajechaliśmy z przypadku. Trwają tutaj nieliczne drewniane domy, całe w rzeźbie: drzwi, futryny, parapety, ganki. Bajeczne rzemiosło. Zachwycam się, lecz nie znajduję poparcia. Mój *cicerone* nie ma zrozumienia dla starożytności.

– Domy... Oni nie do życia.

Ja ze złością, bo mi żal zwykłego slumsu, cóż dopiero – dzieła sztuki.

– Ale ludzie w nich żyją!

Odpowiada pogodnie

– Ludzie? A tak żeby-żeby.

W Polsce to się nie udało – może za krótka tradycja – ale wśród tak zwanych demoludów były kraje, w których przetrwała atmosfera dobrej przedwojennej restauracji (Węgry), czy ciepły, domowy, chmielny nastrój gospody, sztu by (Czechosłowacja, nawet wschodnie Niemcy).



Rdzennie litewska kuchnia wyszukana nie jest, niemniej kulturę stołu dawało się tu zauważyć nawet za sowieckich czasów. Umieci do tego stołu nakryć i umieci podać, co się wcale nie za często jeszcze zdarza w dzisiejszej Warszawie. U nas nie trzeba iść do garkuchni, żeby dostać łokciem od kelnera ładującego talerze na skrót, poprzez siedzących bliżej albo usłyszeć, że obrus czysty, tylko plamy się nie sprząły.

„Pribałtika” przynajmniej w reprezentacyjnych swoich, śródmiejskich kwartałach wyplątuje się z parcianej uprząży. Wilno znowu kawiarniane. Czy po przedwojennemu? Nie mnie sądzić. Jak już nie miałam we Lwowie – tak i tu nie mam kogo spytać. Ale lokali sporo. Zatem gdzie dzisiaj zadecyduje: *kava*, *arbata* czy *kakava*, jaki *desertas* dołoży mi kalorii? Wybieramy z Edytą przeszkloną, lecz przytulną *kafine* o intrygującej nazwie „Poniu Laine”. Szczęście Dam. Ładnie wymyślone. Kelner, młody chłopak, z akcentowaną uprzejmością reaguje na polską rozmowę. Rodak? Edyta, która porozumiewa się z nim po litewsku stwierdza, że tylko sympatyk.

Podobno wśród młodzieży nie ma nastrojów rewindykacyjnych. To by się potwierdzało po obydwu stronach, z odliczeniem politycznej ekstremy, również po obydwu.

Nie komentuję, przepisuję twierdzenie socjologa Vladasa Gaidysa, że u schyłku lat 80-tych w Wilnie do swojej przynależności narodowej obojętnie odnosiło się aż 43 procent tutejszych Białorusinów, 36 procent Rosjan, niewiele mniej, bo 30 procent Polaków i 12 procent Litwinów. Gaidys nie wyklucza, że wśród przyczyn można by się doszukać uniku przed naciskiem etnicznego środowiska.

Większość „nieuważnych” to dzieci z mieszanych małżeństw, nawykłe do co najmniej dwu języków, domowego i szkolnego.

W miastach żyje więcej, nawet znacznie więcej tutejszych Polaków, niż na wsi. W samym Wilnie stanowią nieomal jedną piątą mieszkańców. Średnia wieku: 34 lata. W tym nie odbiegają od innych grup narodowościowych. Według spisu z 1989 r., około 13 procent, czyli około 32 tysiące wileńskich Polaków urodziło się już na Litwie. Polskę znają głównie z przekazu rodzinnego. To powinno być brane pod uwagę przez „Wspólnotę”, niezłomnie skoncentrowaną na wczoraj-

szości, orientującą się na tęsknoty i gusty starszego pokolenia.

Wracam z *kafine* tramwajem. Na przystanku rozmowa.

– I zostałam się z pustą ręką żyć.

– Byli posławszy?

– Jakże!

Ujmujące, zwłaszcza że – powtarzam – w Wilnie już prawie nie słyszy się polskiego. Rodacy nakrzyczą na mnie, że wręcz przeciwnie, ale to nieprawda, to tylko prawda sentymentu. Mit, rozpowszechniany przez wycieczki. Przyjeżdżają ludzie na dwa dni, krążą po tych samych trasach, mijają się z takimi samymi wycieczkami, no i mają pewność, która ich urządza: Wilno pozostało polskie. Byłam dłużej w Wilnie, codziennie raz po raz przesiadałam się z zatłoczonego autobusu na zapchany trolejbus, łąziłam po blokowiskach, podglądałam „dobre” i „złe” dzielnice, śródmieście i *zahumienia*, jak powiadano w mojej stronie świata. Gdzie bym się nie ruszyła, mówiono po litewsku. Rządziej – po rosyjsku. Inna rzecz, że z tym trzeba ostrożnie, na Litwie, zwłaszcza na miejskiej Litwie, język nie przesądza o narodowości. Sąsiadki w tramwaju, głowę dałabym, że Rosjanki, ni stąd, ni zowąd przerzuciły się na płynną, taką można powiedzieć „przedwojenną” polszczyznę, doprawioną wileńską składnią i akcentem, po chwili – też nie wiedzieć czemu – znowu zamienioną na rosyjski.

Kiedyś od osoby, od dawna zamieszkałej za granicą, zdało się – już całkowicie dwujęzycznej, usłyszałam, że za własny można uznać dopiero język, w którym się myśli. W takim razie te dwie z tramwaju myślały częściej po rosyjsku?

Litwini uczą się głównie angielskiego. Niemiecki większe zainteresowanie wzbudza dopiero w pobliżu Kłajpedy. Moda na *Polish connection* (było się tym najweselszym barakiem w obozie socjalizmu) sprawiała, że młodzi artyści, np. muzycy, uczyli się polskiego, żeby mieć jakiś półkontakt ze światem, czytać.

*To se ne vrati*. W charakterze gwiazdy przewodniej raczej skończyliśmy karierę.

Jeszcze u schyłku XIX wieku w Wilnie dominowali Żydzi. W 1931 przeważała ludność polska (sześćdziesiąt dziewięć procent) i na drugim miejscu (dwadzieścia osiem procent) żydowska.



Pół wieku później sytuacja znowu uległa diametralnej zmianie. Litwini stanowią pięćdziesiąt i pół procent mieszkańców, Rosjanie – przeszło dwadzieścia, Polacy – niespełna dziesięćnaście. Żydzi – osiem dziesiątych procenta.

Pod Ostrą Bramą nie widać już żebraczków. W sowieckim Wilnie dałam jednej rubla – czemuś akurat jej, choć się nie napraszała. Inne też nie. Tam się żebrało w milczeniu. Poczułam piasek w oczach, gdy starowinka po cichutkim „Bóg zapłać”, zniemacka, zanim zdążyłam uciec, pocałowała mnie w rękę. Za tego rubla. Cały rubel, wtedy! Najwyraźniej aż takiej hojności nie zaznawało się pod Ostrą Bramą. Przyrzekłam sobie, że do niej jutro wrócę. Coś przeszkodziło, a po tygodniu już jej nie znalazłam lub nie rozpoznałam. One tam wszystkie były nierozpoznawalne: małe, skulone, zawinięte w kraciaste chłopskie chusty.

Minęło ćwierć wieku i moja wdzięczna spod Ostrej Bramy dawno w niebyłości. Wilno ma specyficzną sytuację „rocznikową”. Jak podaje Vida Kasparaviciene z tutejszego Instytutu Socjologii, już w 1993 tylko 4 procent mieszkańców było po 60-tce, a 5 procent – pomiędzy 50-tką a 60-tką. Tym bardziej uderza skąpa ilość młodzieży poniżej 20 roku życia. W Wilnie dominuje pokolenie 30-latków. Zbliżają się do 40-tki, ale jej nie przekroczyli.

Młodo i obco. Inny świat. Nieporównywalność zaskożeń i nieporozumień. Nowe problemy. W liście do ukazującego się w języku rosyjskim *Litewskiego Kuriera* czytelnik zaczyna od życiorysu. „Rodziła ja w Kitaje”...

A zatem. „Urodziłem się w Chinach w 1949 (ojciec był wojskowym), podrosłem i uczyłem się w Homlu, skąd wyjechałem na Magadan, gdzie całkiem nieźle sobie żyłem do 1994, a i tam, przez małżeństwo z wilnianką, w jakimś sensie związałem się z Litwą. A był to czas, gdy pierestrojka szła już pełną parą, rozsypywały się przedsiębiorstwa, przestawano płacić załogom... Na północy urodził nam się syn, więc sytuacja była tym groźniejsza: nie mogliśmy zostać bez roboty. Oddaliśmy mieszkanie, za które, zgodnie z rozporządzeniem, powinniśmy otrzymać rekompensatę w wysokości – wtedy – ponad dwu tysięcy litów. Nie doczekaliśmy się do dzisiaj. W sierpniu 1994, z tym samym plecaczkiem, z którym wyruszałem na Północ, wróciłem na Białoruś. Pół roku czekałem

na zameldowanie w Homlu. Odmówiono mi obywatelstwa. Do tej pory mam rosyjskie, a żona – litewskie, co skutecznie uniemożliwiło jej znalezienie posady. Wyjechała z dzieckiem do Wilna, gdzie mieszka u swoich rodziców pozostając na ich utrzymaniu. Ja niby to zarabiam, ale nie da się z tego utrzymać rodziny. Rozumie się, nie mam już dwudziestu lat, jednak nadaję się do pracy i nie wymagam wiele, więc nie spisujcie mnie na straty, zwłaszcza, że ponoszę odpowiedzialność za czteroletniego człowieczka”.

„Tak było, kochaneńkie” nazwano wystawę zdjęć starego Wilna. A tak jest, kochaneńkie. Nie poradzimy. Drugi raz do tej samej rzeki się nie wejdzie, ale brzeg pozostał.

Anna STROŃSKA

## Dzień dobry ze Szwecji

Należący do medialnego konglomeratu Bonnierów prasowy koncern Marieberg International rozpoczął wydawanie w Warszawie gratisowej gazety pod tytułem *Dzień Dobry*. Ma ona format tabloidu, treść popularno-rozrywkową i rozdzielana jest w każdy piątek, uznany za najlepszy dzień dla ogłoszeń, z których gazeta ma się w przyszłości utrzymywać i przynosić zysk. *Dzień Dobry* zatrudnia chwilowo 35 osób, w tym 15 dziennikarzy; redaktorką naczelną jest 31-letnia Ula Hollanek. Formułę dziennikarską opracował Pelle Ekman: – „Zawartość gazety ma odpowiadać z grubszą czterem działom: 1) reportaż lokalny; 2) materiał konsumencki (samochód, mieszkanie, zdrowie i uroda, kulinaria, podróże, prywatne inwestycje obywateli); 3) kalendarium weekendowe; 4) *guide* telewizyjny. Obliczamy to na 32-40 stron, w zależności od ilości ogłoszeń” (tygodnik *Resumé*, nr 33, 17 VIII 00). Aż 60% rynku ogłoszeń w Warszawie ma



*Gazeta Wyborcza* i to właśnie jej głównym konkurentem, oczywiście tylko na polu reklamowym, chce zostać *Dzień Dobry*. *GW* sprzedaje w stolicy tylko 120 tysięcy egzemplarzy i jeżeli darmowy *Dzień Dobry* – zgodnie z założeniami – osiągnie z czasem liczbę 450 tysięcy czytelników, to odbierze popularnej *Wyborczej* dużą część reklamowego ciastka, twierdzi Pelle Ekman. Naturalnie *DD* będzie musiał być przez dłuższy czas dofinansowywany, ale na to koncern Marieberg International może sobie śmiało pozwolić.

Teoretycy mediów prasowych twierdzą często, że wobec rozwoju Internetu (np. w Szwecji dostępnego już w połowie gospodarstw domowych) przyszłość w formie papierowej będą miały głównie gratisowe, utrzymywane z reklam dzienniki i inne pisma. Teza ta jest wysoce prawdopodobna. W Szwecji jedynie dziennik biznesu *Dagens Industri*, też kontrolowany przez rodzinę Bonnierów, może pochwalić się rosnącym nakładem, dziś wynoszącym już 115 tysięcy, ale i tak z jego wersją internetową łączy się 496 tysięcy czytelników. Wszystkie inne dzienniki notują nakład malejący, co oczywiście odbija się na ich poziomie, np. ostatnie zwolnienia dziennikarzy prawniczej *Svenska Dagbladet* uderzyły przede wszystkim w dział kulturalny tej nobliwej gazety. Wprawdzie podstawą utrzymania każdego dziennika są dziś reklamy (sprzedaż nakładu to średnio tylko 35-40% wpływów), ale malejący nakład natychmiast odbija się negatywnie na ilości anonsów.

Jednym z pierwszych gratisowych dzienników na świecie było *Metro*. Gdy w lutym 1995 zaczęło być rozdawane na stacjach sztokholmskiego metra, wszyscy wróżyli mu rychłą klęskę. Gazetę wydawał medialny koncern Kinnevik (posiadający m.in. kanał TV3, *Finanstidningen* etc.), a ponieważ jego właściciel, Jan Staenbeck – człowiek rzeczywiście bezwzględny, arogancki, a nawet brutalny – nie jest w Szwecji lubiany, na upadek *Metra* czekano wręcz z radością. Dziś *Metro* dystrybuowane jest darmowo w 13 miastach świata (także w Pradze i Budapeszcie) w łącznym nakładzie 4,2 milionów egzemplarzy. Wersja sztokholmska ma średnio 40 tabloidalnych stron, wychodzi 6 razy w tygodniu, zamieszcza nawet krótkie recenzje książek, a poziom dwukolumnowych reportaży jest wcale niezły. Mianowany

właśnie przez Staenbecka nowy dyrektor *Metro International*, Pelle Törnberg, oświadczył w swej londyńskiej siedzibie, że jego gratisowa gazeta odniesie w świecie papierowych mediów taki sukces, jak Big Mac w świecie *fast food*'u. Nie są to czcze przechwałki, choć złośliwi zaraz skomentowali, że wartość obu produktów – Big Maca i *Metra*, jest równie niska.

Jan Staenbeck, twórca *Metra*, już w roku 1997 zwrócił uwagę na Warszawę, koncern Kinnevik rozglądał się nawet za stosownym, polskojęzycznym personelem z doświadczeniami z zachodnich mediów, ale w końcu warszawski projekt zarzucono. Powodem były trudności dystrybucyjne. W przeciwieństwie do Europy Zachodniej, Polska nie ma rozwiniętego systemu dostarczania zaprenumerowanych gazet do domów – pisma nadal kupuje się głównie w kioskach. Dystrybucja *Metra* zgodna z jego nazwą też była niemożliwa, gdyż Warszawa nie ma metra z prawdziwego zdarzenia, a tylko jedną jedyną linię. Na szybki rozwój sieci podziemnej kolejki też trudno liczyć – nie ma w tym kierunku społecznych nacisków, gdyż Polacy chcą jeździć do pracy samochodem. Dyrektor koncernu Marieberg International, Lars-Gösta Julin, zażądał więc przede wszystkim, aby opracowano dokładny plan dystrybucji *Dzień Dobry*. Poradzono sobie w ten sposób, że w szeregu budynków zainstalowano stelaże na pliki *DD* i zakontraktowano 200 roznosicieli. Czy system ten będzie w Warszawie funkcjonować, czas pokaże.

Rodzina Bonnierów zaangażowana jest w Polsce w dwa inne projekty. Dziennik *Dagens Industri* ma swoje siostrzane wersje nie tylko w trzech państwach bałtyckich i Petersburgu, ale od niedawna także w naszym kraju – *Puls Biznesu*. Chwilowo początki są trudne, gdyż – jak twierdzą szwedzcy analitycy – nawet zajmujący się interesami Polacy nie są jeszcze przyzwyczajeni do czytania prasy biznesu. Ponadto Marieberg International posiada 50% największej warszawskiej popołudniówki *Super Express* – jest to, wg. szwedzkich norm, dość ostra „rewolwerówka”, która jednak przynosi znacznie większe zyski niż np. wydawana również przez Marieberg szwedzka popołudniówka *Expressen*. Mówiąc ściślej, *Expressen* w ogóle nie przynosi zysków (w roku 1999 dziennik przyniósł 24 miliony SEK strat), ale wszyscy



analiticy są zgodni, że czasy świetności papierowych popołudniówek już w Szwecji nie wrócą: ci, co w ogóle czytają gazety papierowe, ograniczają się do poważnych dzienników porannych; innym wystarczy Internet i coraz liczniejsze pisma gratisowe. Problem jednak w tym, że Marieberg International jest w długotrwałym, wręcz permanentnym konflikcie ze swoim polskim partnerem, posiadającym pozostałe 50% warszawskiej popołudniówki. Stosunki między obu właścicielami są tak zainfekowane, że przewodniczący zarządu koncernu Marieberg, Thomas Axén, odmówił jakiegokolwiek ich skomentowania szwedzkim mediom („Cokolwiek powiedziałbym, mogłoby tylko konflikt pogłębić”).

Jeżeli *Dzień Dobry* osiągnie w Warszawie sukces, tzn. zacznie przyciągać ogłoszenia reklamowe, to Marieberg planuje uruchomienie darmowych gazet także w trzech innych polskich miastach. Jest to oczywiście sprawa dalszej przyszłości.

Stefan ABNER

## Z nordyckiej perspektywy

### WYPRZEDAŻ DEMOBILU WARTOŚCI 43 MILIARDÓW DOLARÓW

Przez ostatnich 20 lat Szwecja wydawała na resort obrony *ca* 40 miliardów SEK rocznie, z czego 18 miliardów szło na różne zakupy materiałowe: od czółgów do śrubek, od skarpet do nart, od saniterek do mobilnych szpitali polowych – katalogi wyposażenia armii obejmują 1 milion 200 tysięcy pozycji. Jeżeli uwzględnimy fakt, iż zasoby materiałowe sił

obrony stanowią nie tylko magazyny armii czynnej, ale także rozrzucone po całym kraju tajne magazyny systemu obrony totalnej, to zrozumiemy, dlaczego wskaźnik nasycenia sił szwedzkich uzbrojeniem i sprzętem pomocniczym jest jednym z najwyższych na świecie.

Zmiana szwedzkiej doktryny obronnej opiera się na założeniu, iż krajowi nie grozi w przewidywalnej przyszłości atak sił konwencjonalnych żadnego przeciwnika, a siły obrony powinny być niewielkie, ale maksymalnie ruchliwe, elastyczne i przygotowane do działań nowoczesnych, z wojną elektroniczną włącznie. W tej sytuacji ogromna ilość uzbrojenia i sprzętu pomocniczego jest zbędna i intendentura ma się jej pozbyć jak najszybciej. Składowanie niepotrzebnych już dziś zapasów kosztuje *ca* 200 milionów SEK rocznie. Tylko magazyny armii w gminie Arboga muszą jakoś „upłynnić” 6 szpitali polowych, 64 tysiące plecaków, 300 mobilnych generatorów elektrycznych, 62 tysiące małych kuchni polowych, 200 pontonów motorowych, 40 tysięcy sieci maskujących oraz mnóstwo śpiworów, ocieplanych namiotów i ogromną ilość narzędzi.

Szef intendentury Kwatery Głównej w Sztokholmie, pułkownik Åke Jansson, powiedział już w maju 2000 szwedzkim mediom, iż większość zapasów musi być sprzedana za granicę, bądź rozdana w ramach pomocy humanitarnej (dotyczy to zwłaszcza ogromnych zapasów konserw), bądź wreszcie zniszczona. Armia nie może na rynku wewnętrznym sprzedać np. 30 milionów zbędnych wiader czy milionów saperek, toporków, elektrycznych wkrętarek, kluczy regulowanych i innych precyzyjnych narzędzi, gdyż przysporzyłaby wiele trudności szwedzkim firmom produkującym te towary. Z uwagi na silne w Szwecji ruchy neonazistów wykluczona jest także sprzedaż odzieży wojskowej. – „Nie możemy dopuścić do tego – powiedział pułkownik Jansson – aby naziści biwakowali w naszych namiotach na Gotlandii czy biegali w sortach szwedzkiej armii, wrzeszcząc *Sieg Heil*” (DN 21 V 00).

Do Estonii – która ze względów kulturowych traktowana jest w Szwecji nie jako część *Balticum*, ale jako szósty kraj nordycki – wysłano do końca lipca br. 148 *trailers* ze sprzętem (w tym 15 000 par wojskowych nart *Vita blixten*,



kilkanaście tysięcy par butów i kurtek zimowych, mnóstwo śpiworów, namiotów i innego wyposażenia – łącznie 294 rodzaje różnych artykułów). Na zlecenie Kwatery Głównej wyspecjalizowane firmy rozpoczęły też destrukcję, zwłaszcza nadmiarów umundurowania, co jest procedurą kosztowną, gdyż – zgodnie z przepisami – destrukcja ta odbywać się musi w sposób maksymalnie przychylny naturalnemu środowisku.

Jednak mimo tych czynności magazynowane zapasy sił obrony nie maleją, a rosną, gdyż właśnie odbywa się likwidacja całych jednostek wojskowych. Dn. 8 sierpnia 2000 agencja Direkt podała – cytując dane Urzędu Zaopatrzenia Sił Obrony (FMV) – że Szwecja pozbyć się musi uzbrojenia i wyposażenia wojskowego, którego wartość wg cen zakupu osiąga ogromną sumę 400 miliardów SEK; większość tych produktów kupić można za 25-30% ceny, którą zapłaciły szwedzkie siły obrony. W tej sytuacji FMV ogłosił przetarg na sprzedaż i likwidację wojskowych zapasów. Do przetargu, który będzie rozstrzygnięty późną jesienią, stanęły trzy firmy: niemiecka MDSG (która ma za sobą demontaż sił zbrojnych dawnej NRD), szwedzkie konsorcjum IG Försvarslogistik, składające się z trzech wyspecjalizowanych firm, oraz amerykańskie Lear Siegler Services Inc. Przy sprzedaży uzbrojenia FMV nie nakłada żadnych restrykcji, o ile tylko potencjalny kraj-odbiorca akceptowany jest przez inspekcję eksportu produktów strategicznych IPS, który to warunek spełnia przeważająca większość krajów Europy.

Należy zaznaczyć, że choć w pierwszej kolejności szwedzkie siły obrony pozbywają się uzbrojenia i sprzętu przestarzałego, to w oferowanej do sprzedaży masie znajdują się także produkty nadal nowoczesne na światowym rynku broni. Są to przede wszystkim haubice polowe FH 77 (firmy Bofors), znakomite rakiety przeciwlotnicze Luftvärnrobotssystem 70, sprzęt radiokomunikacyjny, kilka tysięcy niezłych transporterów gąsienicowych Bandvagn 206 i nowoczesny sprzęt saperski.

Dn. 9 sierpnia 2000 dziennik biznesu *Dagens Industri* podał, że duńska marynarka wojenna zainteresowana jest dwiema szwedzkimi łodziami podwodnymi typu Västergötland oraz że *leasing* szwedzkich łodzi podwodnych z demobilu rozważa także Polska. Oczywiście Szwecja jest bardziej

zainteresowana sprzedażą (na co Polska nie ma pieniędzy) niż dzierżawą, gdyby jednak *leasing* doszedł do skutku, to byłby dobrodziejstwem dla polskiej marynarki, która nadal używa sędziwych łodzi sowieckich typu Foxtrot pochodzących z połowy lat 1960-tych (*sic!*). Szwedzka marynarka posiada na swym wyposażeniu 12 łodzi podwodnych, także nowoczesnego typu Gotland, które wyposażone są w bardzo efektywne generator Stirlinga i eksportowane były również do Australii.

Polskie władze powinny się chyba jednak zastanowić, czy oferta szwedzkiego demobilu nie zawiera także innych, atrakcyjnych dla nas produktów, nie tylko uzbrojenia, ale także sprzętu saperskiego czy chociażby nowoczesnych narzędzi, których dotkliwy brak odczuwają polskie siły zbrojne. Naturalnie wymaga to w pierwszej odpowiedzi na pytanie, czy należy wszystkie możliwe do wygoszparowania środki utopić w jakimś zachodnim samolocie wielozadaniowym (skazując resztę sił zbrojnych na kontynuację obecnej nędzy materiałowej), czy też modernizować MiG-i, a zaoszczędzone w ten sposób fundusze przeznaczyć na bardziej podstawowe potrzeby wyposażenia.

Stefan ABNER

## Dalekie drogi zblizenia – polscy i niemieccy studenci „Viadriny”

Jest coś dziwnego w postenerdowskich miastach jak Frankfurt nad Odrą, leżących przy granicy niemiecko-polskiej. Pruski porządek bezfinezyjnie, ale przejrzyście zaplanowanych ulic zakłócają dostrzegalne szczyrby ubytków po zbombardowanych domach, które w wielu miejscach za czasów NRD uzupełniono tanimi plombami z żelazobetonu,



a po zjednoczeniu Niemiec z droższych materiałów. W słoneczny dzień miasto emanuje jasnymi barwami standardowych fasad nowo wybudowanych ciągów handlowo-usługowych, banków, hoteli i biurowców, a świeże tynki i pomalowane ściany starych domów z lat trzydziestych oraz z wielkiej płyty epoki Ulbrichta i Honeckera powodują, że jego oblicze przypomina naznaczoną trudnymi przejściami twarz proletariusza po kosztownych operacjach plastycznych z grubą warstwą zachodnioniemieckiego pudru i szminką reklam, jeszcze bardziej uwydatniającą brak własnej indywidualności.

Również ludzie na ulicach, którzy jeszcze do niedawna nosili możliwie niepodpadające standardowe ubrania z państwowych zakładów tekstylnych, następnie przez kilka lat po roku 1989 tanie uniformy dżinsowe z polskich bazarów, a obecnie tekstylia z tanich sieci handlowych, zdradzają skłonności do unifikacji nie tylko w zakresie wyglądu zewnętrznego. Wielokrotnie przeprowadzane ankiety wykazują dużą tęsknotę za enerdowską stabilnością, niechęć do nowej sytuacji politycznej i do obcokrajowców. W odróżnieniu od miast zachodnioniemieckich, na ulicach Frankfurtu, jakby nie było miasta z „uczelnią europejską”, prawie nie widać innego koloru skóry i włosów, i to nie tylko w *ausländerfreie Zonen*, czyli „strefach wolnych od cudzoziemców”, w których ton nadają młodociani nacjonaliści.

Kilkadziesiąt metrów dalej na wschód, po drugiej stronie „Friedensbrücke”, czyli „Mostu pokoju”, leżą jakby nieśmiało przytulone do Odry polskie Słubice, dawne przedmieścia Frankfurtu. Zawieruchy polityczne ostatniego półwiecza także tutaj pozostawiły otwarte rany pustych przestrzeni, na których obecnie znajdują się wymuszone brakiem środków, inwencji i perspektywicznego planowania, na pół dzikie skweiry zieleni, obskurne budki i bezkształtne obiekty handlowo-usługowe. Krzykliwa jaskrawość i ogrom reklam na tle starych niszczących kamieniczek, w wielu miejscach nierówne i poszczerbione chodniki, i nie zawsze brzydkie, lecz prawie zawsze nie pasujące do otoczenia, powstałe po wojnie, a przede wszystkim w ciągu ostatnich dziesięciu lat domy handlowe dają świadectwo chaosu i przypadkowości.

W odróżnieniu od pogrążonego w lekkim letargu Frankfurtu, na zaludnionych ulicach panuje atmosfera ruchliwości

i odczuwalnej nerwowości. W okolicach przy moście granicznym, obok udających się na stronę niemiecką na zakupy słubiczian i wracających z zakupów po polskiej stronie frankfurtczan, żebracy, muzycy, dziwne postacie o podejrzanych fizjonomiach i z niewiadomych krajów pochodzenia. Wśród nich młode twarze. To studentki i studenci Uniwersytetu Europejskiego „Viadrina”, udający się do, lub powracający z uczelni.

„Frankfurt to okropnie brzydkie miasto, czegoś mu brak. Nie podoba mi się tam. Również ludzie są tam inni niż tutaj. Słubice są też niesłychanie brzydkie, ale ponieważ są tak małe i mają charakter wsi, człowiek, który jak ja, pochodzi z dużego miasta, czuje się tu przynajmniej dobrze”, mówi student czwartego roku prawa Gregor Schwarz z Berlina. Gregor jest jednym z 44 studentów i studentek niemieckich, którzy zdecydowali się zamieszkać w polskim akademiku przy ulicy Piłsudskiego w Słubicach. W całkowicie wyremontowanym obiekcie mieszka ogółem 1000 osób, wśród nich 100 obcokrajowców, przeważnie z Czech, Litwy, Rosji, Włoch, krajów skandynawskich i innych krajów europejskich i pozaeuropejskich.

Podjmując decyzję o utworzeniu „uczelni europejskiej”, władze Frankfurtu nad Odrą miały nadzieję, iż zwiększy to atrakcyjność pozbawionego większych szans rozwoju gospodarczego miasta na wschodnim krańcu Niemiec i Unii Europejskiej. W Polsce inicjatywa ta spotkała się z dużym zainteresowaniem, czego wyrazem był fakt, iż liczbę chętnych do studiowania tam musiano ograniczyć za pomocą ostrych egzaminów ze znajomości języka niemieckiego. Swego rodzaju uzupełnieniem oferty niemieckiej uczelni jest znajdujące się po polskiej stronie Odry *Collegium Polonicum*, w którym niektórzy krytycy widzą niepotrzebną próbę konkurencji z „Viadriną”.

Pochodząca ze Szczecina 21-letnia Anna Figurska dowiedziała się o możliwości studiowania we Frankfurcie nad Odrą od swych nauczycieli w szkole średniej. Mogłaby wprawdzie studiować prawo również na uczelni w swym rodzinnym mieście, jednak, jak mówi, pociągała ją „większa atrakcyjność uczelni niemieckiej”, na której chciała doszlifować znajomość niemieckiego, jak również atrakcyjność dyplomu w połączeniu z dyplomem Uniwersytetu Poznańskiego.



Podobnie jak Anna myśli wielu innych polskich studentów „Viadriny”, stanowiących aż jedną trzecią wszystkich jej słuchaczy. Mimo tak dogodnych warunków do nawiązywania kontaktów, poznawania się i zbliżenia między młodymi Polakami i Niemcami oraz polepszania znajomości języka, rzeczywistość wygląda inaczej, twierdzi Anna Figurska: „Jest możliwe przejść pięć lat studiów na ‘Viadrinie’ praktycznie nie zauważając, że studiujemy z Niemcami, mimo iż duża część wykładów jest w języku niemieckim, bo część, jeżeli chodzi o prawo, prowadzona jest po polsku przez profesorów z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Ale praktycznie, mieszkając po stronie polskiej, często w apartamentach sześciuosobowych, gdzie są sami Polacy, człowiek w ogóle nie ma kontaktu z językiem ani z Niemcami jako takimi. Idąc na te studia, byłam przekonana, że to będzie integracja taka już naprawdę maksymalna, że właściwie mieszkanie będzie tak pół na pół, że połowa to będą Polacy, a połowa, albo wręcz większość, Niemcy, bo tak mniej więcej się kształtują te proporcje, ale okazało się, że to jest nieprawda. Prawda jest taka, że integracji nie ma”.

Anna Figurska jest przy tym od niedawna w lepszej sytuacji niż niektóre inne polskie koleżanki i koledzy mieszkający w polskim akademiku. Jej chłopak, także student „Viadriny”, jest bowiem Niemcem z rodziny pochodzącej z Polski. Zaś od marca tego roku w jednym z pokoi wspólnego apartamentu mieszka studentka niemiecka Alexandra Krause: „Alex jest bardzo sympatyczna i bardzo sobie to chwaleb, bo mam kontakt z językiem i mogę też poznać troszeczkę inny styl bycia. Jest przy tym osobą tak otwartą, że naprawdę nie zauważam różnic poza tym, że rozmawiamy w innym języku. Naprawdę jesteśmy zupełnie zintegrowane w tym momencie. Natomiast często są sytuacje, że np. studentki niemieckie, które mieszkają razem z polskimi, mówią im tylko *Hallo* na powitanie i na tym koniec, nie ma żadnych kontaktów. Dla mnie to straszne. Dlatego też za bardzo bym nie chciała żyć po stronie niemieckiej. Ale przekonałam się, że to zależy od osoby. Są też Niemcy, którzy naprawdę chcą się integrować i są otwarci”.

Studiująca na „Viadrinie” kulturoznawstwo i lingwistykę Alexandra Krause pochodzi ze wschodnioniemieckiej miejsco-

wości Billroda położonej bliżej byłej granicy wewnętrzniemieckiej. Nigdy przedtem nie była w Polsce i nie miała kontaktów z Polakami. Mówi, że w miejscowości, z której pochodzi, o Polsce wie się tylko, „jak się nazywa stolica i trochę o II wojnie światowej. Natomiast o teraźniejszym życiu w Polsce Niemcy nic nie wiedzą i myślą, że Polska leży za księżycem. Pytają się, czy tam są telefony i prąd elektryczny. To brzmi ekstremalnie, ale tak pytają, i czy są tam takie urządzenia jak telefony komórkowe i komputery. A przecież nawet w najbardziej odległych obszarach Polski to wszystko już jest”.

Przed rozpoczęciem studiów na „Viadrinie” Alexandra była m.in. w USA i ponad rok spędziła we Francji, gdzie uczyła się języka francuskiego. Mówi, że kiedy po raz pierwszy przeszła na polską stronę do Słubic, poczuła się trochę jak w Ameryce: „Wszystko było jakieś szare, trochę jak w slumsach, a mimo tego te świecące kolorowe reklamy i życie na ulicy. Jak się np. o godzinie siódmej rano idzie na uczelnię, w Polsce już wszystko się porusza, handlarze sprzątają przed swymi sklepami, a we Frankfurcie wygląda tak, jakby wszystko wymarło: jedna lub dwie osoby na ulicy, nie więcej. Robi to wrażenie, bo oba miasta dzieli nie więcej jak 200-300 metrów, a mimo tego wszystko jest całkiem inne”.

Początkowo Alexandra zamieszkała w domu akademickim we Frankfurcie, ale przeniosła się do akademika na stronę polską, gdyż – jak mówi – nie podobało się jej tam, a poza tym zna więcej polskich studentek i studentów i ma z nimi bliższe kontakty niż z niemieckimi. Chce też uczyć się języka polskiego. Twierdzi, że po polskiej stronie życie studenckie jest ciekawsze. Niedawno, z czego jest bardzo dumna, razem z koleżankami z akademika była w kinie na „Panu Tadeuszu”, który zrobił na niej ogromne wrażenie, mimo że jej polska koleżanka musiała jej niemal wszystko tłumaczyć. Stara się dowiedzieć czegoś więcej o historii i dniu dzisiejszym Polski. Po studiach chciałaby znaleźć pracę w turystyce wyjazdowej do Polski i Francji.

„Mieszkając z polskimi studentkami i studentami, mogę zobaczyć, jacy są naprawdę i na ile fałszywe są panujące w Niemczech opinie”, mówi Alexandra. Jej zdaniem polscy



koledzy i koleżanki dużo więcej pracują, ale i więcej się bawią. Podoba się jej to i chce, jak mówi, przejąc z tego coś dla siebie: „Polacy są też bardziej optymistyczni i pilni, wiedzą, czego chcą. Siadają i uczą się i nic nie jest dla nich za trudne. My mówimy, że potrzebujemy jednoosobowego pokoju w akademiku, komputera i innych rzeczy, by się uczyć. Natomiast oni, że im wystarcza książka i krzesło. I to wszystko”.

Naprzeciw apartamentu Alexandry mieszka pochodząca z Łodzi studentka lingwistyki i historii sztuki Anna Wajcovicz. Język niemiecki poznała jeszcze w liceum i tak jak Anna Figurska miała nadzieję, że doszlifuje go na studiach. Jednak również ona czuje się rozczarowana niemal całkowitym brakiem kontaktów z niemieckimi koleżankami i kolegami, którzy nie przejawiają tym żadnego zainteresowania. Ma na to swoje wytłumaczenie i mówi, że „zależy to przede wszystkim od tego, czy Niemcy, którzy tu studiują, pochodzą z landów zachodnich czy wschodnich”, po czym dodaje po krótkim namyśle: „Może nie wypada o tym mówić, ale ci z Zachodu są bardziej otwarci. Tu we Frankfurcie i w Słubicach mieszkają jednak studenci z okolic i samego Berlina, którzy nie mają do nas dobrego nastawienia”. Także fakt powtarzających się we Frankfurcie nad Odrą aktów przemocy wobec cudzoziemców, w tym również wobec polskich studentów, powstrzymuje ją przed udawaniem się w czasie wolnym na stronę niemiecką do kawiarni, klubów studenckich czy dyskotek: „Jako studenci pracujemy w nocy i dorabiamy sobie w jednej drukarni. I gdy jedna z Polek wracała po pracy do domu, ktoś ją po prostu pobił. Myśleliśmy, że to się już skończyło, ale niestety tak nie jest”.

Marcin Grzesiak z Gdańska kończy obecnie studia prawnicze na „Viadrinie”. Zasadniczo zgadza się z opiniami polskich kolegów i koleżanek na temat niezbyt dobrego współżycia polskich i niemieckich studentów i braku wzajemnych kontaktów. Uważa, że jest wiele niemieckich koleżanek i kolegów, z którymi są one możliwe, chociaż: „Wielu z tych, którzy przyjechali tu studiować, nie jest zbyt otwartych zarówno po stronie niemieckiej jak i polskiej. Nie można bowiem powiedzieć, że Niemcy odrzucają Polaków, gdyż i po stronie polskiej zdarzają się studenci,

którzy przyjechali tu studiować, chociaż nie są zbyt zainteresowani Niemcami i językiem niemieckim. Trzeba to uczciwie powiedzieć”. Marcin jest zadowolony ze swej decyzji o studiowaniu na „Viadrinie”. Świetnie opanował język niemiecki, ma grono niemieckich znajomych i przyjaciół i mógłby, jak twierdzi, wyobrazić sobie także dłuższy okres życia po stronie niemieckiej. Od zamieszkania w niemieckim akademiku powstrzymuje go tylko kilkakrotnie wyższa opłata.

To, co jest barierą dla polskich studentów, nie jest jednak wcale wystarczającą zachętą dla studentów niemieckich, i mimo znacznie niższych cen i o wiele wyższego standardu polskiego akademika w porównaniu do frankfurckiego, tylko niewielu młodych Niemców podejmuje decyzję o zamieszkaniu w Słubicach. „Niestety, stosunek Niemców do Polaków jest bardzo niedobry i chyba coraz gorszy. O tym się w Polsce nie mówi i nie pisze, a bierze się za wzór stosunki elitarne, np. stosunek do Szczypiorskiego, Stommy etc. Trochę to wygląda tak, jak stosunki polsko-ukraińskie” – napisał mi w odpowiedzi na list w sprawie niniejszego reportażu Red. Jerzy Giedroyc. Słuszność tej refleksji widać wyraźnie choćby na przykładzie wydawałoby się racjonalnie myślących i oszczędnych studentów niemieckich, których resentymenty i niechęć do Polski i Polaków są silniejsze niż rachunek ekonomiczny i komfort mieszkania.

Potwierdza to także mieszkający w pokoju sąsiadującym z pokojem Marcina Grzesiaka, wspomniany już Gregor Schwarz z Berlina, którego zdanie na temat zbliżenia młodych Niemców i Polaków dalekie jest od programowego optymizmu polityków z obu krajów, niektórych publicystów, autorów okolicznościowych przemówień i referatów. Gregor otwarcie przyznaje, iż również on, zaczynając studia we Frankfurcie, w najmniejszym stopniu nie zamierzał przez to bardziej zainteresować się Polską i Polakami, o których jego wiedza odpowiada popularnym w Niemczech negatywnym wyobrażeniom i stereotypom. Twierdzi, że możliwość wspólnego studiowania na „Viadrinie” niewiele tu poprawia i że projekt Uniwersytetu „Viadrina” w tym względzie całkowicie zawiódł: „Idea wzajemnego zbliżenia jest nierealna, chyba że w przypadku ludzi takich jak ja, którzy tu się przenoszą i mieszkają. Tylko tak można się czegoś dowiedzieć o Polsce,



albo kiedy polscy studenci mieszkają w Niemczech. Inaczej idea wymiany i partnerstwa całkowicie mija się z rzeczywistością. A doświadczenia, jakie zebrałem, obcując z niemieckimi studentami, wykazują, że ciągle jeszcze istnieje ogromna niechęć do Słubic i do Polski w ogóle”.

Gregor pochodzi z jednej ze wschodnich dzielnic Berlina. Mimo jedenastu lat, które upłynęły od przemiany ustrojowej, ciągle jeszcze widać na nim piętno dzieciństwa w NRD. Dotyczy to nie tylko jego nastawienia do Polski i Polaków, ale też na przykład do religii. Niedawno z polskimi kolegami był kilka razy w kościele w Słubicach: „To nawet przyjemna rzecz zobaczyć, jak wygląda msza w Polsce. Dla mnie to absolutnie nowe doświadczenie”. Mieszkając z polskimi kolegami Gregor poznał nie tylko polskie potrawy, lecz również niektóre zwyczaje i zachowania. Sądzi, iż w odróżnieniu od Niemców, Polacy często nie mówią otwarcie tego, co myślą, gdyż uważają, że mogą kogoś urazić lub sprawić komuś przykrość. Jego zdaniem lepsza jest niemiecka otwartość, gdyż umożliwia ona szczerą rozmowę i rzeczowe przedyskutowanie ewentualnych problemów i usunięcie nieporozumień.

Od niedawna Gregor Schwarz i Marcin Grzesiak są nie tylko sąsiadami w akademiku i kolegami na studiach, lecz prowadzą wspólnie firmę internetową *Media Trans Web-design GbR*, która opracowuje profesjonalnie strony internetowe, tzw. *homepage*, dla osób prywatnych, różnych zakładów i firm. Pomysł jej założenia przyszedł Gregorowi do głowy, kiedy jego wujek z Bawarii posiadający wytwórní kredy poprosił go o opracowanie strony internetowej dla firmy: „A ponieważ Marcin jest absolutnym freakiem komputerowym i doskonale zna się na tych sprawach, zwróciłem się do niego o pomoc. Tak powstała nasza pierwsza *homepage* i pomyśleliśmy, że to najlepszy moment, by się zająć tym zawodowo i usamodzielnić, bo potem być może nigdy nie będziemy mieli już takiej szansy. I opracowujemy strony komputerowe po niemiecku, polsku i angielsku i próbujemy wejść globalnie na rynek polski i niemiecki. W każdym razie już teraz bardzo znacznie poprawiamy dzięki temu nasz studencki budżet”.

Andrzej STACH

## Kronika kulturalna

### Meksyk – Pietuszki (tzn. Kraków)

Tatiana: *Trzeba iść w lud*

Zachedyński: *Nie radzę*

(Sławomir Mrozek:

„Miłość na Krymie”, akt I)

Autora „Tanga” oraz kilkudziesięciu innych sztuk, wielu tomów prozy i zbiorów zabawnych rysunków nikomu przedstawiać nie trzeba, ale dla usytuowania jego najnowszej książki\* dobrze jest przypomnieć kilka faktów z jego biografii. Mrozek opuścił Polskę w 1963 r., mieszkał przez pewien czas we Włoszech, a później długo w Paryżu, gdzie – protestując przeciw inwazji Czechosłowacji w 1968 – zrezygnował z PRL-owskiego paszportu. W 1989 r. przeniósł się do Meksyku i wraz z żoną – Meksykanką osiadł w małym *rancho* w górach, ok. 80 km od stolicy. „Bywało, że i po kilka miesięcy nie wychodziłem za bramę, ogród jest dostatecznie duży, żebym nie czuł się więźniem. Z okna, przy którym to piszę, widzę dolinę, za doliną góry, potem jeszcze góry, za którymi już tylko Pacyfik i Chiny. Doszedłem na zachód najdalej, jak mogłem. Miałem tu zostać na zawsze i wcale mnie to nie przerażało. Tymczasem wracam do Krakowa” – czytamy w datowanym 30 kwietnia 1996 r. odcinku „Dziennika powrotu” tzn. zbiorku krótkich szkiców-listów, które ukazywały

\* Sławomir Mrozek, „Dziennik powrotu”, Noir sur Blanc, Warszawa 2000; str. 269.



się na bieżąco w krakowskim *Dzienniku Polskim* wiosną i latem 1996, czyli w okresie kiedy pp. Mrożkowie przygotowywali się już do opuszczenia tego egzotycznego odludzia i przenosin do Polski. Dlaczego? Wyjaśnia to odcinek z dn. 28 maja 1996:

„Jeszcze siedem lat temu, gdyśmy tu zamieszkali, był to kraj stabilny, ulubieniec międzynarodowego kapitału, i szło ku lepszemu. W Mexico City bezpieczniej było niż w Nowym Jorku, ruchliwa klasa średnia, małe i średnie przedsiębiorstwa karmiły postsocjalistycznego pasożyta, upaństwowiony przemysł i biurokrację, i jeszcze zostawało na inwestycje. Marnotrawstwo i nadużycia szły dalej, ale było z czego kraść. Partyjno-państwowi posiadacze kraju [...] byli tak nazarci, że – wydawało się – więcej już nie przełkną. [...] Aż wyjaśniło się, na czym to wszystko było oparte. Prezydent Carlos Salinas z kolegami precyzyjnie doczekał końca kadencji [w 1994 r.] i zainkasował wszystko, co sobie przygotował w ciągu sześciu lat prezydentury. W ramach reform i prywatyzacji sprzedał sobie samemu i kolegom po cenach własnych telekomunikację z dwoma satelitami włącznie, banki, supermarkety, koncesje i udziały, po czym uciekł za granicę, pozostając prywatnym właścicielem połowy kraju, w którym pojawił się głód, epidemie, anarchia, bandytyzm i Demon. Stary Demon meksykański, uśpiony przez ostatnie siedemdziesiąt lat. Lud meksykański zniesie wszystko z wyjątkiem samego siebie. Pokusa samodestrukcji jest tu silna, a kiedy nie równoważą jej okoliczności – silniejsza od instynktu samozachowawczego [...] Już słyszę pytanie rodaków: dlaczego więc uciekasz do Polski? Czyż wiele z tego, co napisałeś, nie odnosi się niepokojąco i do nas? Odpowiedź jest zbyt wieloraka, żebym mógł ją zawrzeć w krótkim tekście. Na razie powiem tylko, że Polska to (jeszcze?) nie Meksyk.”

Demon, o którym tu mowa, to ucieleśnienie (? – raczej „ukoszarnienie”) poczucia rosnącego zagrożenia. „Między innymi boję się porwania. W Meksyku zdarza się to już tak często, że stało się plagą społeczną. Społeczną, powtarzam, bo porywa się od miliardów do fryzjerów. Każdy, kto ma jakikolwiek dochód, choćby mały, jest na to narażony. Każda klasa, warstwa i grupa społeczna jest obsługiwana przez odpowiednią klasę, warstwę i grupę przestępczą. [...] Chętnie

porywa się cudzoziemców [...]. Ja jestem *gringo*, w dodatku *haciendado*, czyli właścicielem ziemskim, panem dziedzicem, posiadaczem skrawka meksykańskiej ziemi.” Ale przynębnienie własnym strachem – realnym i uzasadnionym kilkoma świetnymi migawkami „z życia codziennego” – ma też w tych zapiskach aspekt szerszy, pozajednostkowy. Jest nim poczucie straty powszechnej, zaprzepaszczenia szansy danej otoczeniu, konieczności zgody na to, by wieloletni wysiłek – chyba jest to właściwe słowo – cywilizatorski przegrał (znów cytuję) z „bezmyślnym fatalizmem i bezwładem jak całe życie tutejsze. W tym życiu Rancho było cudem, wysepką inicjatywy, organizacji, nadziei. [...] Z tym, że Rancho dla nas przeminęło, już się pogodziłem, ale żeby straszło, gdy nas tu nie będzie, jako przydrożny pomnik rozpadu, rozkładu i klęski? [...] Już bym wolał, żeby od razu zrównało się z ziemią i piękną trawą bez śladu zarosło.”

Rancho nazywało się „La Epifania” i to greckie słowo (dosłownie: „objawienie/ukazanie”) było swoistym programem właścicieli, którym chodziło nie tylko o własną wilegiaturę, ale i o uaktywnienie lokalnej ludności, danie im pracy, opieki i przykła du. Trochę dwór kresowy, trochę Lisków księdza Blizińskiego... No, więc też skończyło się podobnie – i we wrześniu 1996 pp. Mrożkowie zamieszkali w Krakowie z dala od Demona. Czy jednak naprawdę poza jego zasięgiem? Na to pytanie daje odpowiedź – niepełną, prowizoryczną – druga część książki, która jest antologią felietonów autora, ukazujących się od stycznia 1997 w *Gazecie Wyborczej*. Tych refleksji (? – gawęd filozoficznych?; reminiscencji z morałem?; zrezygnowanych moralitetów?; semantyczno-ironicznych rozważań?; inwektyw w formie cudownych *understatements*?; i czego jeszcze tam nie ma!...) jest tyle i są tak różnorodne, że trudno kusić się tutaj o ich streszczenie, a obszerne nawet cytaty – stała pokusa recenzenta – nie zastąpią lektury oryginału. Ogólnie powiedzieć można tylko, że jest to także rodzaj demonologii i to dwójakiej: uszczegółowionej do zakresu spraw polskich, a więc zgrzebnie-kłonicowato-swojskich („Konstytucja, owszem, ładna. Tylko dlaczego ani raz nie użyto słowa ‘kurwa?’”) oraz uogólnionej aż do poziomu historiozoficznego („Pan Kicz sięga po władzę nad światem. [...] *Made by Kitsch* – ta marka jest



gwarancją jakości, a powszechniejsze chamstwo gwarancją popytu. [...] Więc kicz operuje już nie tylko w sentymentalizmie, do którego na ogół się ograniczał. Mamy już kicz sadyzmu, erotomanii, furii, kicz mizantropii obok kiczu filantropii, kicz transgresji obok kiczu ortodoksji i *political correctness*. Do tej pory kiczowate było tylko niebo, obecnie piekło też staje się kiczem. Jeżeli kicz ma szansę, bo jest ciepły – tym samym nikt i nic co jest chłodne, szansy nie ma. [...] Nauka, zimna z definicji i natury – ma złą prasę. [...] Kicz natomiast ma prasę doskonałą, choć nigdy nie jest nazywany po imieniu). Mrożka mierzi zarówno tandeta współczesnej kultury masowej, jak i tandetność jej odbiorców. A właściwie: rosnąca wulgarność współczesnej mentalności, którą określa jako „brak kompleksu niższości wobec Pana Boga”.

Pomiędzy jeszcze w Meksyku powstałym „Dziennikiem powrotu”, a polską częścią książki, jest wyraźny związek nie tylko w zakresie tematyki, którą złośliwi mogliby nazwać „Zarysem dezaprobaty ogólnej”, ale też i w sensie głębszym, obejmującym samą motywację aktu pisania. Gorycz Mrożka, często zresztą formułowana tak zwięźle i dowcipnie, że na pozór wydaje się celem samym dla siebie, nie jest celem samym dla siebie. Doszukać się w niej można tego samego „wysiłku cywilizatorskiego”, co w tworzeniu (i przegranej) jego meksykańskiego rancho. Autorowi nadal chodzi o epifanię czyli „ukazanie” możliwości, szans, drogi w górę, drogi w dół, choć świadomość prawie pewnej klęski tego usiłowania nadaje jego rozważaniom ponurego zabarwienia. Don Kichot, świadomy swej donkiszoterii? Nie całkiem, bo jednak, mimo wszystko, jest w tym pewien zamiar pedagogiczny, który zdaje się wynikać z przekonania, że wołanie na puszczy zaludnionej przez plemiona *yahoo* nie jest czynnością całkowicie zbędną, jeśli istnieje choćby nikłe prawdopodobieństwo, że dotrze ono do właściwej pary uszu. „Właściwej” to znaczy wychwytyjącej ton głosu wołającego, wrażliwej na te same niuanse. Mroźek nie udziela żadnych lekcji szczegółowych, tylko – można by rzec: wyrazem twarzy, zmarszczeniem brwi, skrzywieniem ust – ustanawia pewien standard bycia w świecie i patrzenia nań. Zważywszy jego własną pozycję życiową – nie tylko talent i sukces, ale i pracowitość, dokładność, rzetelność pisarska – standard ten jest wysoki i niełatwo osiągalny, ale jest i

samym swym istnieniem zaprasza do współdziałania. W sumie więc jest to rodzaj *savoir vivre*, którego kryterium naczelnym jest Herbertowska kwestia smaku przeniesiona z płaszczyzny politycznej na egzystencjalną. Jak każdy kodeks dobrego zachowania, i ten jest elitarny (słowo-tabu w dzisiejszej ochlokracji ideowej) i ustanawia granicę pomiędzy „dobrym towarzystwem” z prawem wstępu do „La Epifania” i resztą, która...

Tu zrobię małą przerwę na (ostatni) cytat z omawianej książki: „Zachęcony lekturą (*International Herald Tribune*) szukam drobniejszych wiadomości. [...] Jest! ‘Rząd Sri Lanki zdementował pogłoski, jakoby w Sri Lance panowała cholera. W związku z tym turyści mogą spokojnie przybywać do Sri Lanki’. Jeżeli rząd coś dementuje, to znaczy, że coś panuje. Niech przybywają, nie mam nic przeciw temu”.

A więc: reszta spokojnie do Sri Lanki! Myślę, że – podobnie jak niżej podpisany – większość czytelników po lekturze tego arcydziełka zjadliwej, ale niejałowej i przekomicznej frustracji będzie im życzyła szczęśliwej podróży.

M. BROŃSKI

## Operacja Coldfeet

Książka „Project Coldfeet Secret Mission to a Soviet Ice Station” została wydana przez Naval Institute Press. Jej autorami są historyk wyspecjalizowany w badaniu szpiegowskich operacji CIA, William M. Leary, i jeden z uczestników i współorganizatorów omawianej operacji, Leonard A. Leschack. Jest to relacja o zakończonej sukcesem operacji, prowadzonej na Dalekiej Północy przez amerykański wywiad. Celem akcji było przejście dryfującej na wodach Arktyki sowieckiej stacji wojskowo-badawczej NP8. Stacja została porzucona przez



Rosjan w pośpiechu, gdy góra lodowa odcięła jedyną drogę prowadzącą do niej i zagroziła zgnieceniem stacji. Rosjanie zdolali helikopterami ewakuować jedynie załogę i najbliższy, najłatwiejszy do transportu sprzęt. Ponieważ dotarcie do stacji wydawało się technicznie niemożliwe, nie podjęto próby wysadzenia jej w powietrze lub zbombardowania, pozostawiając resztę sprzętu i dokumentacji swojemu losowi, wierząc, że lodowiec szybko zniszczy opuszczoną bazę.

Dwójka amerykańskich oficerów pracujących nad rozpracowywaniem tajnych sowieckich operacji w regionie Arktyki zaproponowała plan dotarcia do porzuconej stacji i przejęcia pozostawionego tam sprzętu i dokumentacji. Inicjatorami operacji byli James F. Smith, oficer wywiadu sił powietrznych, lingwista i rusycysta, i Leonard A. Leschack (Leszak? – albowiem ten ostatni jest dzieckiem emigrantów z Ukrainy), porucznik marynarki i naukowiec. Obaj posiadali niemałe doświadczenie pracy w Arktyce. Kapitan James F. Smith był zresztą przedtem kierownikiem amerykańskiej stacji podbiegunowej Alfa. Operacji nadano kryptonim Coldfeet.

Stosunkowo szybko zyskała ona uznanie dowódców amerykańskich sił zbrojnych, a CIA uznała ją za szczególnie ważną. Trwała przecież zimna wojna i wielu amerykańskich ekspertów wojskowych uważało, że właśnie Arktyka będzie głównym teatrem działań wojennych w razie konfliktu. Już w 1946 roku generał Henry Arnold z amerykańskiej akademii wojskowej ocenił, że główną linią rosyjskiego ataku (i amerykańskiej obrony) będzie północ. Uznawano podbiegunowe tereny za strategiczne centrum amerykańskiej obrony. Pogląd ten podzielało wielu wpływowych wojskowych i polityków, definiujących politykę obronną USA. Stratedzy szybko docenili znaczenie Dalekiej Północy. W latach pięćdziesiątych wydano wiele miliardów dolarów na zbudowanie serii linii wczesnego ostrzegania (między innymi liczącej trzy tysiące kilometrów linii radarowej) i instalacji obronnych przed ewentualnym atakiem lotniczym. Znacząco podniesiono częstotliwość zwiadowczych przelotów nad regionami arktycznymi. Rozwinięto także naukowe badania regionów polarnych, albowiem amerykańska armia nie dysponowała wystarczająco kompletnymi danymi meteorologicznymi, kartograficznymi czy oceanograficznymi z tych regionów. Rozpoczęto także

prace przygotowawcze nad utworzeniem arktycznych baz wojskowych i utworzono pływające stacje badawcze.

Atomowe łodzie podwodne nadały badaniom Północy nowy wymiar strategiczny. Zakończone sukcesem przepłynięcie pod lodami Arktyki USS „Nautilus” w 1958 roku i wkrótce później podobne misje USS „Sergo” i USS „Seadragon” bardzo zaniepokoiły Rosjan. USS „Skate” w 1959 roku jako pierwszy okręt podwodny zdołał wynurzyć się na powierzchnię na biegunie północnym. Jeszcze większe zaniepokojenie wywołało wystrzelenie z pokładu okrętu podwodnego pierwszej rakiety Polaris. O ile lądowe i powietrzne bazy rakietowe wydawały się stosunkowo łatwe do zniszczenia przez przeciwnika, o tyle łodzie podwodne, wykrywalne wówczas jedynie przez sonary, oceniane były jako dużo pewniejsze nośniki rakiet. Oczywiście istniały już systemy zwalczania okrętów podwodnych, ale łodzie ukryte pod lodami Arktyki były praktycznie niewykrywalne dla sonarów i w ten sposób zabezpieczone przed zniszczeniem.

Zaniepokojeni amerykańskimi sukcesami w tej dziedzinie Rosjanie także rozwijają wojskowe badania arktyczne. Warto przypomnieć, że dryfujące stacje badawcze były znane i stosowane do badań arktycznych już w XIX wieku. Rosja, a później Związek Sowiecki bardzo rozwinęły tego typu badania. Już w latach 30-tych, dzięki ogromnym inwestycjom i doskonałym specjalistom, jak choćby Iwan Dimitrijewicz Papanin, Sowietci zdobyli dominującą pozycję i daleko wyprzedzili swoich konkurentów, amerykańskich czy skandynawskich. Dopiero w późnych latach 40-tych i na początku lat 50-tych Amerykanie powoli zmniejszają tę różnicę. Pływające stacje są nie tylko doskonałymi bazami dla badań meteorologicznych i oceanograficznych, ale także pozwalają na sprawne testowanie akustycznych urządzeń wykrywania okrętów podwodnych. Na początku lat 60-tych amerykański wywiad intensywnie poszukiwał źródeł informacji na temat sowieckich stacji dryfujących, a także wszelkich danych dotyczących badań arktycznych. Uzyskanie odpowiedzi na pytanie czy sowieckie urządzenia akustyczne są w stanie wykrywać amerykańskie okręty podwodne pod skorupą lodową, a także gdzie znajdują się rosyjskie arktyczne bazy obronne przed okrętami, uznane zostało za jedno z priorytetowych



zadań wywiadu. Eksperci uznali, że inspekcja sowieckiej stacji pływającej pozwoliłaby odpowiedzieć na te pytania. W tym kontekście łatwo zrozumieć znaczenie, jakie przywiązywano do operacji Coldfeet.

Rozwinięcie badań arktycznych uznawano w Ameryce za ważne także z punktu widzenia „pokojowej” konkurencji. Na początku lat pięćdziesiątych, gdy stosunki międzynarodowe były bardzo napięte, grupa uczonych przygotowała Międzynarodowy Rok Geofizyki – rozpoczął się on zresztą z racji wojny koreańskiej dopiero z kilkuletnim opóźnieniem, w 1957 roku. Dla Amerykanów, podobnie jak w przypadku badań kosmicznych, szalenie ważnym było, aby ich udział nie był mniejszy od sowieckiego. W dziedzinie badań arktycznych ciągle jednak w przeciwieństwie do Rosjan mieli bardzo mało do zaproponowania.

Plan operacji Coldfeet zakładał zrzuć na spadochronie dwóch oficerów wywiadu w pobliżu porzuconej stacji NP8. W ciągu trzech dni od lądowania powinni oni dotrzeć do stacji i zebrać niezbędne dane, a następnie zostać zabrani przez wyczarterowany przez CIA samolot. Jednocześnie, aby ewakuacja była w ogóle możliwa (lądowanie samolotu nie wchodziło w tych warunkach klimatycznych w grę), zainstalowano w samolocie B-17 nowe urządzenie. Był to opracowany przez Fultona *Skyhook Aeroretriever System*, urządzenie pozwalające dzięki nylonowej linie, wspartej balonem, przejście z ziemi przez samolot, bez lądowania, przedmiotów lub ludzi. Operacja była traktowana także jako ważny test tego nowatorskiego systemu. CIA wynajęła samolot prywatnego przedsiębiorstwa Intermountain Aviation, kompanii zorganizowanej i kierowanej przez jednego z agentów wywiadu amerykańskiego. Firma ta zwyczajowo była wykorzystywana do operacji specjalnych, m.in. wspierania z Tajwanu oporu w Chinach. Intermountain Aviation zaangażowana była także w zakrojoną na dużą skalę akcję wspierania indonezyjskich partyzantów w walce z rządem Sukarno. W książce o operacji Coldfeet pojawia się polski wątek. Otóż CIA wyszkoliła polską załogę pilotów w celu dokonywania lotów zwiadowczych i operacji dywersyjnych w Europie (nigdy zresztą nie zrealizowanych). Polska załoga Intermountain Aviation została wykorzystana w pierwszej misji w Indonezji, misji zakończonej

tragiczną śmiercią polskich lotników.

Operacja Coldfeet, choć przebiegała w trudniejszych niż przypuszczano warunkach klimatycznych, zakończyła się sukcesem. Leschack i Smith zdołali przejąć dryfującą stację arktyczną i ewakuować znaczącą ilość (83) dokumentów, m.in. mapy, instrukcje obsługi sprzętu, notatki z wynikami badań oceanograficznych i meteorologicznych, ale także druki typowo propagandowe czy osobiste dzienniki. Wywieziono również sprzęt (21 sztuk), m.in. sondy radiowe i pomiarowe urządzenia naukowe. Rezultatem operacji był także bogaty materiał zdjęciowy. Analitycy wywiadu, dzięki materiałom zdobytym w stacji NP8, stwierdzili dalekie zaawansowanie sowieckiego programu badań arktycznych. Bardzo wysoko oceniono profesjonalizm naukowców prowadzących badania. Odkryto, że nawet seryjnie produkowane urządzenia są porównywalne, a nawet często przewyższają produkcję amerykańską. Z uznaniem, ale i zaniepokojeniem, wypowiedziano się o programie badań meteorologiczno-oceanograficznych, a także potwierdzono zaawansowanie badań akustycznych. Zauważono także fatalne warunki pracy rosyjskiej załogi (co zresztą wykorzystano później propagandowo), nieistniejące urządzenia sanitarne, kiepskie wyposażenie medyczne, literaturę ograniczoną do prymitywnej propagandy komunistycznej. Jak jednak napisano w raporcie: „pomimo nędzy warunków życia, braku urządzeń sanitarnych i politycznej presji, sowieccy uczeni byli w stanie prowadzić badania naukowe o bardzo wysokiej jakości i o fundamentalnym znaczeniu praktycznym”.

„Operacja Coldfeet” zasługuje niewątpliwie na przetłumaczenie i wydanie w języku polskim. Z jednej strony książka w pasjonujący sposób przypomina historię badań i początków amerykańsko-sowieckiego arktycznego wyścigu naukowego, technicznego i wojskowego. Jest to publikacja interesująca zarówno dla historyków nauki, techniki i eksploracji geograficznej Dalekiej Północy, jak i dla czytelników zainteresowanych geopolityką czy historią operacji wywiadowczych. Autorzy pracy w znakomity sposób przedstawili związki wywiadu z nauką i znaczenie badań naukowych dla wywiadu i bezpieczeństwa i to nawet w dziedzinach często pochopnie uznawanych za „niedochodowe” i marginalizowanych z tego powodu. Interesująco przedstawiona jest także praca wywiadu po-



przez wykorzystywanie sieci prywatnych przedsiębiorstw. To wreszcie także historia pokazująca do czego może doprowadzić „niedbalstwo” polegające na porzuceniu sprzętu i dokumentów. Infiltracja lekkomyślnie porzuconej stacji pozwoliła przecież Amerykanom na ocenę poziomu sowieckich badań arktycznych (także nad akustycznym wykrywaniem okrętów pod skorupą lodową). Stało się to ważnym elementem dla definiowania własnej polityki obrony na terenach Dalekiej Północy. Bardzo pouczające są także fragmenty poświęcone zmaganiom wywiadu z ociężałością własnej biurokracji, stanowiącej jedno z największych zagrożeń dla pomyślniej realizacji operacji Coldfeet.

Piotr DASZKIEWICZ

## 60 lat „Dziennika Polskiego”

Kiedy w lipcu 1940 r. w Londynie ukazał się pierwszy numer *Dziennika Polskiego*, niewielu jego ówczesnych czytelników przeczuwało, że lektura tego pisma stanie się świadectwem ich losu przez następne kilka dziesiątków lat. Zarówno dla Polaków, którzy po klęsce Francji dostali się do Londynu, jak i dla rządu gen. Sikorskiego było oczywiste, że w stolicy polskiej emigracji powinna wychodzić gazeta wyrażająca poglądy oficjalne a zarazem działająca na rzecz utrzymania jedności polskiej grupy. Tak rozpoczął się pierwszy rozdział historii *Dziennika*, który choć w czasie wojny nie był ani gazetą specjalnie frapującą, ani dobrze redagowaną, zdobył sobie dość powszechną sympatię i uznanie.

Wojenny *Dziennik* był na wskroś oficjalny, drukował komunikaty i oświadczenia rządowe, wystąpienia ministrów, krótko mówiąc reprezentował sprawę polską pod okiem Ministerstwa Informacji i Dokumentacji, któremu podlegał.

Żywot utrudniali *Dziennikowi* nie tylko polscy oficjele, którzy domagali się drukowania w całości ich długich i zazwyczaj nie porywających przemówień, ale i Brytyjczy zecerzy. Korekta, zwłaszcza w pierwszym okresie wojny, była piętą achillesową gazety, a przy tym powodem nie tylko żartów, ale i napomnień kierowanych z wysokiego szczebla.

W styczniu 1944 r. *Dziennik Polski* połączony został z *Dziennikiem Żołnierza*, największym pismem wojskowym w Wielkiej Brytanii, wydawanym przez 10. Brygadę Kawalerii Pancerniej i przyjął obecną nazwę *Dziennik Polski i Dziennikiem Żołnierza*, na pierwszy rzut oka nieco dziwną, zarazem jednak jak najbardziej oczywistą. Był przecież, i pozostał, pismem polskiej emigracji wojennej, a więc żołnierskiej.

Niedługo po zmianie nazwy rozpoczął się heroiczny okres w dziejach pisma, jak się okazało na trwałe wiążący je z emigracją. Gazeta stała się wyrazicielem tych wszystkich Polaków przebywających poza krajem, którzy uznali, że decyzje podjęte w Jałcie oznaczają kres niepodległości. Rozpoczęła wówczas walkę o jej odzyskanie, a także walkę o to, by emigracja stała się siłą zdolną przeciwstawić się wyrokowi historii oraz porządkowi politycznemu w kraju. Nakłaniała do pozostania na obczyźnie, dostrzegając w tym nie tylko czynnik siły emigracji, ale także wyraz *votum* nieufności wobec krajowej rzeczywistości.

Program polityczny, który przyjął *Dziennik* w finale wojny, pozostał niezmienny w latach późniejszych, praktycznie aż do roku 1989. Składały się nań żywiołowy antykomunizm i bezwzględna negacja polityki władz komunistycznych w Polsce we wszystkich jej przejawach, przypomnianie o polskim dziedzictwie historycznym na Wschodzie oraz troska o zachowanie pamięci o przeszłości. Wszystko to spowodowało, że w powojennej historii *Dziennika* trudno wyróżnić jakieś wyraźne odrębne okresy: dotyczy to zarówno zajmowanego przez gazetę stanowiska politycznego, jak i pełnionych przez nią funkcji społecznych.

Nie znaczy to jednak, że *Dziennik* pozostawał niezmienny, podlegał przecież, czemu trudno się dziwić, fluktuacjom emigracyjnej polityki aż nadto obfitującej w spory i konflikty. Po zakończeniu wojny przestał być pismem rządu na emigracji, a stał się gazetą formalnie niezależną, wyrażającą opinię



emigracji. Tym samym starał się zajmować bliskie obiektywnemu stanowisko wobec emigracyjnej polityki. Tak było do 1954 r., czyli do kryzysu prezydenckiego, spowodowanego nieustąpieniem z urzędu Augusta Zaleskiego. Wydarzenie to zapoczątkowało istnienie dwóch ośrodków dyspozycji politycznej – prezydenckiego oraz Rady Trzech, w której pierwszym składzie znaleźli się gen. Anders, Tomasz Arciszewski i Edward Raczyński. *Dziennik* poparł ośrodek antyprezydencki, co oznaczało odejście od dotychczasowej praktyki politycznej bezstronności, zarazem jednak było dowodem wierności przyjętej po wojnie zasadzie reprezentowania opinii większości emigracji. Wydarzenia te poprzedziły uzyskanie znaczącego wpływu na *Dziennik* gen. Andersa, odgrywającego w polskim Londynie rolę autorytetu i osobistości o dominującym znaczeniu bez względu na pełnione funkcje. Nie oznaczało to zasadniczej zmiany programu gazety, tym niemniej wpłynęło na usztywnienie jej stanowiska, przypieczętowując niezłomną i dość schematyczną stałość wobec sytuacji, w jakiej Polska znalazła się po zakończeniu wojny. Jej przykładem była choćby ocena Października. *Dziennik* nie uznał doniosłości wydarzeń 1956 r. za wystarczającą do rewizji stosunku do kraju, zachowując postawę twardego nieprzejednania. Był i pozostał pismem tych wszystkich, którzy wyobrażali sobie, że niepodległa Polska, do której powrócą, przypominać im będzie kraj, z którym rozstali się w roku 1939 bądź 1945. Ponościł odpowiedzialność za wykształcenie i podtrzymywanie charakterystycznego dla Londynu stylu myślenia o rzeczywistości krajowej i międzynarodowej, często niepogłębionego, opartego na uprzedzeniach i emocjach, zawsze jednak zgodnego z odczuciami zdecydowanej większości swoich czytelników. Stał na straży wartości uznawanych za niepodlegające rewizji, stanowczo występując przeciw poglądom, które naruszały zasady postępowania emigracji. Stąd częste polemiki z *Kulturą*, a zwłaszcza jej londyńskim przedstawicielem Juliuszem Mieroszewskim.

Pozycja jaką zajmował *Dziennik* powodowała, że dominowała w nim tematyka polityczna, która określała najważniejsze zadania pisma oraz jego odbiór przez czytelników. Byłoby jednak zamazaniem charakteru gazety gdyby pominąć jej wymiar pozapolityczny. Dla Polaków mieszkających w

Wielkiej Brytanii była najważniejszym źródłem informacji. Już kilka lat po wojnie okazała się niezastąpionym, nie mającym praktycznie konkurencji łącznikiem ze światem zewnętrznym. Sympatia dla *Dziennika* spowodowała, że nie powiodły się nieliczne co prawda, jednak poważne próby uruchomienia drugiej polskiej gazety codziennej w Londynie. Po wojnie konkurencji *Dziennika* nie sprostało redagowane przez Ludwika Rubla *Słowo Polskie*, a na przełomie lat 50-tych i 60-tych *Kurier Polski*, uruchomiony przez Leszka Kirkiena i Tadeusza Horkę. Od tego czasu jedyną gazetą ukazującą się w Europie oprócz *Dziennika* był francuski *Narodowiec*, legitymujący się podobnym nakładem, lecz mniejszym zasięgiem, a przede wszystkim niższym poziomem.

Jeśli mowa o społecznym znaczeniu *Dziennika*, nie sposób nie wspomnieć o jeszcze jednej sprawie, a mianowicie o jego kronikarskim charakterze. Od czasów bezpośrednio powojennych pismo sporo uwagi poświęcało życiu społecznemu i kulturalnemu emigracji. Odnotowywało uroczystości rocznicowe, demonstracje, pogrzeby i manifestacje, czyli przejawy polskiego życia zbiorowego toczącego się w cieniu polityki. Rejestrowało działalność organizacji kombatanckich, zawodowych i twórczych, recenzowało wydarzenia kulturalne, przynosiło informacje o polskich przedsiębiorstwach, sklepach, kawiarniach i restauracjach. Jeśli dodać do tego dział listów do redakcji oraz dział ogłoszeń, który z dzisiejszego punktu widzenia jest prawdziwą skarbnicą wiedzy o zmianach miejsca zamieszkania i pracy, wzroście statusu materialnego, zainteresowaniach i obyczajowości Polaków, którzy osiedlili się w Wielkiej Brytanii, oczywiście okaże się, dlaczego Stefania Kossowska nazwała *Dziennik* panoramą emigracyjną.

Taki, publiczny charakter gazety, czynił ją czymś więcej niż tylko przekaznikiem informacji. Od zakończenia wojny pismo było miejscem spotkań Polaków, a więc wiązało wychodzącą społeczność. *Dziennik* organizował akcje będące świadectwem determinacji i przekonań politycznych emigracji, można tu choćby wspomnieć o protestacyjnym marszu, poprzedzającym wizytę przywódców Związku Sowieckiego w Londynie wiosną 1956 r., oraz zbiórki na polskich marynarzy, którzy wybierali wolność po przybiciu do brzegów Anglii. Był także pomysłodawcą wyborów Miss Emigracji, dowodząc,



że los Polaka na obczyźnie nie musi być determinowany przez politykę i tożsamy z misją występowania w sprawach pierwszej wielkości. *Dziennik* kołt dolegliwości wygnania, ułatwiał godzenie się ze złym życiem, nostalgią i poczuciem osamotnienia w obcym świecie. Rolę tę widać dobrze zwłaszcza z perspektywy czasu. Objaśnia ona wymiar gazety a zarazem pozwala ją traktować nie tylko jako zapis stanu świadomości czytelników, ale także jako wręcz unikalne, gdyż w wielu wypadkach nie mające odpowiednika, źródło do społecznych dziejów Polaków na obczyźnie.

Wszystkie te funkcje spełniał *Dziennik*, między innymi na skutek stosunkowo wysokiego nakładu. W okresie powojennym wynosił on od 20 do 30 tys. egz. Jeśli pamiętać o tym, że w samym Londynie mieszkało w latach 50-tych ok. 30 tys. Polaków, a w Wielkiej Brytanii ok. 150 tys., liczby te mówią same za siebie. *Dziennik* był pismem powszechnie dostępnym i mimo tego, że ukazywał się w Londynie, docierał do większości, jeśli nie wszystkich skupisk polskich na Wyspach, mając także prenumeratorów poza Wielką Brytanią.

Dowodem i potwierdzeniem znaczenia gazety była uwaga, z jaką jej losy śledzili komunistyczni propagandyści. W początku lat 70-tych *Dziennik* stał się przedmiotem opracowania pióra Klaudiusza Hrabyka, który wyważał otwarte drzwi, dowodząc antykomunizmu gazety. „Dzieło” poświęcone *Dziennikowi* opatrzone klauzulą tajności i przeznaczone „tylko do użytku wewnętrznego” jest powodem do dumy, swego rodzaju medalem za dzielność.

Pora najwyższa, by kilka słów powiedzieć o ludziach pisma. Bycie redaktorem naczelnym *Dziennika* nie było zadaniem wdzięcznym, jeśli pamiętać o szeregu spełnianych przez gazetę ról. Od początku, czyli od czasu wojny, pismo musiało dbać o czytelnika, a więc wychodzić naprzeciw jego oczekiwaniom. Redaktorzy musieli zatem bardziej dbać o zachowanie konwencji, do której przyzwyczaili się czytelnicy, i która gwarantowała poczytność, niż realizować swoje pomysły. W czasie wojny na stanowisku szefa gazety przewinęło się kilka osób, dobieranych, jak można sądzić, przede wszystkim wedle klucza politycznego. Rząd, zarówno gen. Sikorskiego jak i jego następców, dbał by *Dziennik* był posłuszny

i wypełniał stawiane przed nim zadania. W pierwszym miesiącu ukazywania się gazety, w lipcu 1940, kierowali nią Jerzy Szapiro i Jan Tabaczyński. W sierpniu tego roku zastąpił ich Marcełi Karczewski, jego zaś w 1943 r. Stanisław Sopicki, a później Zygmunt Lityński. Pierwszym redaktorem *Dziennika Polskiego* i *Dziennika Żołnierza* został Mieczysław Szerer; jego następcą w latach 1945-1947 był Jan Czarnocki, a zmienił go, na długi czas, Tadeusz Horko. W 1959 r. redakcję objął wybitny publicysta Aleksander Bregman, który kierował *Dziennikiem* formalnie do 1962 r., faktycznie zaś dłużej, gdyż do śmierci (w 1967 r.) zachowywał wpływ na „linię” pisma. Od początku lat 60-tych do połowy 80-tych *Dziennik* miał trzech redaktorów. Wiesław Wohnout kierował gazetą do 1973, a przez następne dziesięć lat Karol Zbyszewski, którego zastąpił Mikołaj Szumski. Do 1991 r. pismo prowadził Andrzej Czyżowski, a jego następczynią w nowych już czasach została Katarzyna Bzowska.

Tę kilkunastoosobową galerię redaktorów uzupełniali stali współpracownicy i osoby drukujące w *Dzienniku* okazjonalnie. Popularność gazety powodowała, że głos, z różnym natężeniem, zabierała w niej zdecydowana większość ludzi pióra, która osiadła w Londynie. Trudno wymienić wszystkich, pewne nazwiska trzeba jednak przypomnieć, choćby Stanisława Balińskiego, Jana Bielatowicza, Adama Ciołkosza, Józefa Garlińskiego, Mariana Hemara, Stefanię Kossowską, Mariana Kukiela, Zygmunta Nowakowskiego, Stanisława Strońskiego, Ludwika Rubla, Wojciecha Wasiutyńskiego, Wacława A. Zbyszewskiego i Tadeusza Żencykowskiego. Ten bardzo wyrwykowy zestaw nazwisk pozwala na wyobrażenie sobie ideowego i tematycznego pluralizmu pisma, mającego wśród swoich współpracowników przedstawicieli różnych środowisk politycznych. Nie sposób nie wspomnieć o pisarzach, poetach i uczonych. Dzięki nim *Dziennik* ma swoje miejsce w kulturze emigracyjnej nie tylko z racji fundowanej od 1950 r. nagrody. Był miejscem druku szeregu tekstów, które znalazły się później w wydaniach książkowych, wspomnieć tu można choćby felietonistykę Stanisława Balińskiego i Zygmunta Nowakowskiego. To jeszcze jeden argument wspierający tezę o panoramiczności *Dziennika*.

Nazwiska, jakie pojawiały się w gazecie, świadczyły o jej



niezłym na ogół poziomie. *Dziennik* chciał być, i był, gazetą popularną, ogólnie dostępną. Po wojnie, mniej więcej do końca lat 50-tych, mógł pozwolić sobie na solidną publicystykę polityczną i historyczną, która trafiała do emigracyjnej inteligencji. Z biegiem czasu tekstów porównywalnych z artykułami Bregmana, Ciołkosza czy Wasiutyńskiego było mniej, a ich miejsce zajmowały artykuły nie tyle analizujące przeszłość, co ją przypominające. Podobnie miała się sprawa z komentarzami poświęconymi współczesnym kwestiom politycznym. Zabrakło następców wielkich londyńskiej publicystyki, zmieniała się także publiczność czytelnicza, coraz liczniej zasilana przez przybyszów z kraju. W latach 70-tych a zwłaszcza 80-tych *Dziennik* zmuszony był dostosować się do nowej sytuacji, co odbiło się na jego poziomie. Przestał być gazetą informacyjno-publicystyczną, koncentrując się na sprawach doraźnie interesujących swoich czytelników.

Zmiany zachodzące na rynku polskiej prasy w Wielkiej Brytanii stały się powodem uruchomienia w 1959 r. edycji weekendowej, zatytułowanej *Tydzień Polski*. Zgodnie z nazwą był to (i jest nadal) tygodnik społeczno-kulturalny o charakterze publicystycznym, pełniący funkcje, którym tylko w ograniczonym zakresie sprostać mógł *Dziennik*. Dość wspomnieć, że był *Tydzień* miejscem publikacji szeregu ważnych tekstów dotyczących sytuacji w kraju, choćby ogłoszonego tu właśnie programu Polskiego Porozumienia Niepodległościowego.

W chwili narodzin miał *Tydzień* poważnych konkurentów, *Wiadomości* Mieczysława Grydzewskiego, katolickie *Życie* czy *Orla Białego*, okazało się jednak, że dobrze daje sobie radę korzystając z poczytności, jaką cieszył się *Dziennik*. Z biegiem czasu, a konkretniej w latach 80-tych, stał się nie tylko najpopularniejszym tygodnikiem polskim w Wielkiej Brytanii, ale także ostatnim czasopismem tego typu, miejscem gdzie kontynuowane są dobre tradycje emigracyjnej publicystyki. Nawiasem mówiąc, *Tydzień Polski* nie jest jedynym pismem, które swój żywot wywodzi z *Dziennika* bądź mu go zawdzięcza. Przypomnieć trzeba dodatek emigracyjnych młodych gniewnych – *Kontury* oraz ukazującą się po dzień dzień *Środę Literacką*, której redaktorem był między innymi Stanisław Baliński; dziś kieruje nią Stefania Kossowska.

Na koniec tego pobieżnego przeglądu historii *Dziennika* powiedziec wypada, czym pismo jest obecnie. Upadek komunizmu spowodował, że emigracja polityczna przestała istnieć, co oznacza, że emigranci stali się Polakami zamieszkałymi poza krajem. Pamiętają o okolicznościach, w jakich znaleźli się na obczyźnie lecz nie muszą już upominać się o to, o czym po wojnie nie wolno było mówić głośno. Czym innym jest zatem także *Dziennik*. Z pewnością nie jest już pismem walczącym, co nie znaczy, że godzi się ze wszystkim, co dzieje się w kraju. Nadal przynosi stamtąd informacje, nie kryjąc swych politycznych sympatii i antypatii. Jest, co naturalne, źródłem informacji o wydarzeniach w Wielkiej Brytanii i na świecie. Pamięta o dokonaniach emigracji powojennej i Polakach na Wschodzie. Kontynuuje rozpoczętą po wojnie tradycję kronikarską, pisząc o życiu Polaków w Wielkiej Brytanii. Bohaterami swoich zainteresowań czyni przy tym już kolejną generację Polaków, tych, którzy urodzili się poza krajem.

Jest więc inny, niż przed 20 czy 40 laty, a zarazem nie znacząco różny, gdyż czytany z podobnymi co przed laty oczekiwaniami. W latach 60-tych Stefania Kossowska napisała: „*Dziennik* rano wpada przez drzwi. Nikt z nas nie jest sam”. Dziś jest podobnie.

Rafał HABIELSKI

## Z ogniem wziętym od Prometeusza

Na wielkim obszarze Australii istnieje jakby inny kraj, w którym kultura, tradycja i języki są zasadniczo odmienne, gdzie ludzie bardziej ucierpieli od chorób i epidemii, gdzie w początkach białego osadnictwa tysiące osób, z tego jakby innego kraju, było fizycznie tęponych, gdzie nadal większość



żyje krócej od przeciętnej w Australii, gdzie system oświatowy nie dociera do wielu, gdzie w licznych wypadkach ludzie z tego jakby innego kraju żyją w prawie zupełnej izolacji. Piszę o australijskich tubylcach – Aborygenach.

Przed przybyciem białych osadników do Australii, w roku 1788, żyło na tych antypodach około trzystu tysięcy Aborygenów. Według spisu ludności, przeprowadzonego w roku 1981, około sto sześćdziesiąt tysięcy osób identyfikowało się jako Aborygeni, co przy obecnej liczbie ludności Australii stanowi trochę mniej niż jeden procent.

Australijscy tubylcy, nazywani Aborygenami, różnią się wyglądem, jednak zasadnicze cechy fizyczne mają wspólne. Ich kolor skóry jest czekoladowy lub brązowy, wzrost raczej średni. Nogi zazwyczaj cienkie i długie. Włosy czarne, od całkiem prostych do kręconych. Owłosienie głowy i ciała dość gęste. Ukształtowanie głowy wąskie, z cofniętym czołem.

Pochodzenie Aborygenów związane jest z południową częścią Indii, Cejlonem (Sri Lanka) oraz Archipelagiem Malajskim, który jest pozostałością po zapadniętym lądzie, łączącym Azję z Australią. Na podstawie odkopanych szkieletów i przeprowadzonych porównań przypuszcza się, że obecni australijscy Aborygeni wywodzą się od jednej z najbardziej archaicznych grup ludzi, znanych nam z wykopalisk a żyjących kiedyś na wyspie Jawa. W każdym razie wiele wskazuje na to, że fizyczne rysy Aborygenów ukształtowały się na obszarze południowo-wschodniej Azji.

Zostało ogólnie przyjęte, że Aborygeni nie należą do żadnej z trzech podstawowych grup rasowych: negroidalnej, mongoidalnej i europejskiej. Tworzą czwartą grupę, pod nazwą australoidalnej, z możliwym włączeniem szczepów Veddas z Cejlonu i Sakai z terenów malajskich.

Kiedy pierwsze istoty ludzkie znalazły się na terenie Australii, dotychczas nie wiadomo i problem ten pozostaje nadal otwarty. Istnieje prawdopodobna teoria, że pierwsi Aborygeni przybyli w jednym z wieków epoki lodowcowej, kiedy obecne morza na północ od Australii były obszarem suchego łądu.

Aborygeni przybyli do bardzo niegościnnego kontynentu. Nie zastali żadnych zwierząt zdatnych do hodowli, było bardzo niewiele roślinności zbożowej i owoców. Nie ma

wyraźnych wyjaśnień, dlaczego ci tubylcy wybierali jeszcze do swojego bytowania obszary pustyni; można przypuszczać tylko, że zostali tam zepchnięci przez rywalizujące szczepy.

Aborygeni nie znali żadnej uprawy ziemi, czy hodowli zwierząt, nie znali nawet koła. Są o wiele tysięcy lat starszą rasą od każdej innej na naszym globie i dopiero w XX wieku zaczęli wychodzić z epoki kamiennej.

Inteligencja Aborygenów przejawia się w ich bogatym życiu obrzędowym i związanej z tym sztuce. Pieśni, tańce, poezja i malarstwo osiągnęły wysoki poziom w wielu regionach, a zwłaszcza w północnej Australii.

W żadnej innej rasie na świecie nie spotyka się tak rozpowszechnionego animizmu, jak wśród Aborygenów. Wszystko, na terenie szczepu, posiada egzystencję fizyczną, jak i duchową – drzewa, skały, źródła wody, trawa i kwiaty, a nawet deszcz i wiatr.

Prawie każdy szczep posiada inny język, co wskazuje na żywotne znaczenie, jakie ma grupa szczepowa.

Nazwa Aborygeni pochodzi z łaciny, od słów *ab* – „od” i *origo* – „początek”, oznacza najstarszych mieszkańców.

Oczywiście, obecnie nie wszyscy Aborygeni uprawiają koźowniczy tryb życia. Powoli powiększająca się liczba Aborygenów kończy uniwersytety, dochodzą do wysokich stanowisk w administracji państwowej, a nawet prestiżowej funkcji gubernatora stanu, zajmują wybitne miejsca w literaturze, malarstwie, filmie i sporcie, ale tych wybijających się i wyróżniających osób spośród Aborygenów jest ciągle jeszcze bardzo mało.

Nowe millenium powinno być okazją do pełniejszego pojednania z mniejszością aborygeńską i wspólnego tworzenia przyszłości Australii.

Wśród osób szerzej i aktywniej działających na rzecz tego pojednania znajduje się Polka Margo (Małgorzata) Stanisławska-Birnberg.

Margo opuściła Polskę w roku 1963 i od tego czasu mieszka w Australii. Ze swym pierwszym mężem i ze swoim ojcem Marcinem Stanisławskim odbyła wiele podróży po kontynencie australijskim, w czasie których zrealizowali trzy pełnometrażowe filmy dokumentalne, wyświetlane z dużym sukcesem w Australii i Europie.

Wielokrotne podróże po kontynencie australijskim,



ciągły kontakt z Aborygenami i ich kulturą, zainspirowały Margo do twórczości poetyckiej, która poświęcona jest im właśnie. Píše także artykuły dla prasy australijskiej i polskiej. Jest autorką szeregu książek w języku angielskim i polskim.

Margo ma trzech synów. Mieszka w Melbourne wraz z drugim mężem, byłym wykładowcą literatury francuskiej na Uniwersytecie Monash. Margo od wielu lat wędruje z kamerą filmową, aparatami fotograficznymi i notatnikiem poprzez bezmiary tego kontynentu.

Kilka lat temu Margo zaangażowała się w działalność na rzecz praw Aborygenów do ich ziemi. W sierpniu 2000 roku została wydana kolejna jej książka, w języku angielskim, pod tytułem „Journeyline” (tytuł w języku polskim, podany przez autorkę – „Idąc szlakami Aborygenów”). Jest to tom poezji, w formacie albumowym, zawierający pięćdziesiąt wierszy i sto cztery kolorowe fotografie. Książka została wydana przez znane australijskie wydawnictwo „J. Brakel”. Fotografie w tej książce pochodzą od autorki oraz Janusza B. Kreczmańskiego, absolwenta Wyższej Szkoły Filmowej w Łodzi, zajmującego się realizacją filmów, fotografią artystyczną i prasową.

Przedmowę do książki napisał były doradca federalnego australijskiego rządu, profesor Jerzy Zubrzycki, który wywarł istotny wpływ na kształtowanie się polityki etnicznej i wielokulturowej w Australii. W swojej przedmowie napisał m.in., że „poezja Margo Stanisławskiej-Birnberg jest wspaniałym przykładem pojednania z australijskimi Aborygenami, określając i wzmacniając osiągnięcia australijskiej wielokulturowości”.

*Jerzy GROT-KWAŚNIEWSKI*

## Indeks autorów i tematów „Kultury” za okres styczeń–październik 2000

### Spis autorów

ABNER Stefan, ADAMUS Wacław S., A.K., AMICHAJ Jehuda. – BAKOWSKI Peter, BAUMGARTEN Karol, BĄKOWSKI Adam Tadeusz, BELL Weronika, BERBERYUSZ Ewa, BERDYCHOWSKA Bogumiła, BEREŚ Stanisław, BIERNACKI Andrzej, BROŃSKI M. – CHABROWSKI Tadeusz, CHODAKOWSKI Adam, CHRZANOWSKI Tadeusz, CHYLŃSKA Kamila, CUKIERNIK Ryszard, CYBULSKA Maja Elżbieta, CZERNIAWSKI Adam, CZERWIAKOWSKA Ewa, CZYZEWSKI Krzysztof. – DANILEWICZ ZIELIŃSKA Maria, DASZKIEWICZ Piotr, DĄBROWSKI Marek, DŁUGOSZ Dariusz, DOMINIAK Zbigniew, DREWNOWSKI Tadeusz, DUNIN-KARWICKI Jan. – ENGELKING Anna. – FEUERMAN Eleasar J., FICOWSKI Stanisław, FLORCZAK Zbigniew (Pelikan), FRAJLICH Anna. – GIEDROYC Henryk, GUILLEY-CHMIEŁOWSKA Halszka, GŁOWACKA Renata, GORBANIEWSKA Natalia, GROT-KWAŚNIEWSKI Jerzy, GRZELA Remigiusz, GRZYWACZ Andrzej. – HABIELSKI Rafał, HALIKOWSKA-SMITH Teresa, HEJNAR Jacek, HERBST Lothar, HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw, HERSCH Jeanne, HERTZ Zofia, HNATIUK Ola, HOSER Henryk ks., HRYNKIEWICZ Andrzej. – IŁOWAJSKA Irina. – JAKUBOWICZ Szymon, JAN PAWEŁ II, JASTRUN Tomasz, JASTRZĘBSKA Ewa, j.p., JURIEWA Zoja. – KAJDAŃSKI Jarosław, KALEDA Algis, KARWAT Krzysztof, KATZ Janina, KAWIŃSKI Wojciech, KAŻMIERCZAK Dorota, KIEŻUN Witold, KLESZCZYŃSKI Józef, KORASZEWSKI Andrzej, KOWALCZYK Andrzej Stanisław, KOWZAN Tadeusz, KRAKOWSKI Jędrzej, KRAWCZYK Marek, KRZECZUNOWICZ Andrzej, KUŚ Mira, KWIECIEŃ Marcin. – L.S. – MAZUR Grzegorz, m.d.z., MENCWEL Andrzej, MIANOWICZ Tomasz, MICEWSKI Andrzej, MICHNIEWICZ Marian, MIESZKAŁA



Grzegorz, MIŁOSZ Andrzej, MIŁOSZ Czesław, MONDRY Janusz, MONFORT Marc de, MORAWSKI Dominik, MOŻEJKO Edward. – NASIELSKI Adam, NOWAK Zenon, NOWICKI Jacek. – OLSIŃSKA Halszka, OSADCZUK Bohdan, OSIECKA Agnieszka. – PACHOLSKI Arkadiusz, PAWLUCZUK Włodzimierz, PĘDZIWIOL Aureliusz M., PICHÓR Tomasz, PIPES Richard, PODKAMINER Leon, POLACZEK Stanisław, POMIAN Krzysztof, POMIANOWSKI Jerzy, POPLAWSKI Wojciech, POSPIESZALSKI Antoni, PRUSZYŃSKI Mieczysław. – RAKOWSKI Janusz, RATAJCZAK Henryk, REDAKCJA, REDAKTOR, RODZIŃSKI Stanisław, ROMER Andrzej, ROSTRON Magdalena, RUDZKI Marek. – SCHERER Olga, SKRENDO Andrzej, SKUPIŃSKI Andrzej, SŁUBICKI Jerzy, SMECZ, SPANDOWSKI Michał, STACH Andrzej, STROM Ronald, STROŃSKA Anna, STUDNICKI-GIZBERT Konrad, SUPRUNIUK Anna, SZABELSKA Eugenia, SZARUGA Leszek, SZCZYPIORSKI Andrzej, SZUBER Janusz. – ŚMIEJA Florian. – TABORSKI Bolesław, TALKO Leszek, TAŃSKI Paweł, TOMASZEWSKI Marek, TWARDOWSKI Tomasz, TYRCHAN Mikołaj. – ULAM Adam, UNGER Leopold. – WAJDA Andrzej, WILGA Beata, WILK Mariusz, WISZNIEWSKI Andrzej, WOLICKI Krzysztof, WYCZAŃSKI Andrzej, WYRWA Tadeusz. – ZAKRZEWSKI Andrzej, ZALESKI C.P., ZAMORSKI Krzysztof, ZBYSZEWSKI Wacław, ZDZIARSKI Przemysław, ZIELIŃSKI Jan. – ŻABOKLICKI Krzysztof, ŻUREK Sławomir J.

#### Jerzy Giedroyc – pożegnania

GORBANIEWSKA Natalia: *Dwa wiersze na zgon Jerzego Giedroycia* (spolszczył Jerzy Pomianowski) (10/637)  
 HOSER Henryk Ks.: *Homilia na pogrzebie ś.p. Jerzego Giedroycia* (10/637)  
 MIŁOSZ Czesław: *Uwagi wdzięcznego współbiedniaka* (10/637)  
 OSADCZUK Bohdan: *Pożegnanie z Jerzym Giedroyciem* (10/637)  
 OSIECKA Agnieszka: *\*\*\*...Przywilejem polityka* (10/637)  
 POMIAN Krzysztof: *Jerzy Giedroyc w historii Polski* (10/637)  
 ZBYSZEWSKI Wacław: *Niedoszły polski „Lawrence of Arabia”* (10/637)

#### Artykuły polityczne, społeczne i gospodarcze

CHYLIŃSKA Kamila: *Socjaldemokracja – który numer drogi?* (4/631)  
 CZYŻEWSKI Krzysztof: *Wariacje kosowskie (II)* (1/628-2/629)  
 – *Wariacje kosowskie (III)* (3/630)  
 FICOWSKI Stanisław: *Polska wczoraj, dziś i jutro* (7/634-8/635)  
 HRYNKIEWICZ Andrzej: *Energia – wyzwanie XXI wieku* (1/628-2/629)  
 JASTRUN Tomasz: *Wiosna i blizny* (6/633)  
 KAJDAŃSKI Jarosław: *Żaba po krakowsku* (9/636)  
 KARWAT Krzysztof: *Śląsk Opolski zawsze polski* (9/636)  
 KIEŻUN Witold: *Czterej jeźdźcy apokalipsy polskiej biurokracji* (3/630)  
 KORASZEWSKI Andrzej: *Czy Polacy się lubią?* (7/634-8/635)  
 – „*Krzywa dzwonowa*” (3/630)  
 – *Na marginesie artykułu prof. Wyczańskiego* (5/632)  
 – *Niby rynek* (9/636)  
 – *Murowane środowisko człowieka* (4/631)  
 MENCWEL Andrzej: *Obecność w prawach i celach* (1/628-2/629)  
 MOŻEJKO Edward: *Moskwa – Krym. Wrażenia z podróży (I)* (4/631)  
 – *Moskwa – Krym. Wrażenia z podróży (II)* (5/632)  
 NOWICKI Jacek: *Przeszłość i perspektywy idei Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej* (3/630)  
 PODKAMINER Leon: *... lecz koniec żaloszny* (5/632)  
 POLACZEK Stanisław: *O trzeźwą ocenę i skuteczną realizację reform gospodarczych* (9/636)  
 ROSTRON Magdalena: *Islam i kultura* (6/633)  
 STROŃSKA Anna: *Tyumokracja* (7/634-8/635)  
 UNGER LEOPOLD: *Tylko Luter może zbawić Savonarolę* (1/628-2/629)  
 WILK Mariusz: *Demokracja po rusku (notatki na marginesie lektury)* (3/630)  
 WOLICKI Krzysztof: *Ogary poszły w las* (4/631)  
 – *Świetnie, choć nie beznadziejnie* (9/636)  
 WYCZAŃSKI Andrzej: *Sprawa Unii Europejskiej – z pers-*



pektywy historyka (4/631)  
*Wydarzenia miesiąca* (1/628-2/629, 3/630, 4/631, 5/632,  
 6/633, 7/634-8/635, 9/636)

#### Archiwum polityczne

ABNER Stefan: *Z nordyckiej perspektywy* (4/631)  
 BROŃSKI M.: *Odwilż w Iranie?* (4/631)  
 j.p.: *Polski najazd na Moskwę* (9/636)  
 KRAKOWSKI Jędrzej: *Inwestycje zagraniczne w Polsce*  
 (10/637)  
 MONDRY Janusz: *Militaryzacja przestrzeni kosmicznej*  
 (5/632)  
 – *Południowe perspektywy NATO* (9/636)  
 – *Wczoraj, dziś i jutro geopolityki* (6/633)  
 MORAWSKI Dominik: *Tajwan – przyczółek wolności i de-*  
*mokracji na Dalekim Wschodzie* (9/636)  
*Notatki Redaktora* (1/628-2/629, 3/630, 4/631, 5/632, 6/633,  
 7/634-8/635, 9/636)  
 ROSTRON Magdalena: *Na marginesie uznania Czeczenii*  
*przez Talibów* (4/631)  
 – *Pakistańska junta* (9/636)  
 – *Raport o prawach człowieka w Arabii Saudyjskiej*  
 (10/637)  
 – *Syria – ciąg dalszy dynastii* (9/636)  
 TWARDOWSKI Tomasz: *Polska – Chiny* (10/637)  
 UNGER Leopold: *Widziane z Brukseli (ostatni raz)* (10/637)  
 WILGA Beata, PICHÓR Tomasz: *Kaliningrad* (9/636)

#### Powieści, nowele, fragmenty powieściowe, wspomnienia

FEUERMAN Eleasar J.: *Przed odjazdem* (6/633)  
 PACHOLSKI Arkadiusz: *Brulion paryski* (1/628-2/629)  
 WILK Mariusz: *Karelska tropa (I)* (5/632)  
 – *Karelska tropa (II)* (7/634-8/635)

#### Utwory poetyckie

AMICHAJ Jehuda: *Powrót byka* (tłumaczyła Janina Katz)

(1/628-2/629)  
 BAKOWSKI Peter: *Wiersz dla zranionych (Poem for the Woun-*  
*ded)* (spolszczył Adam Tadeusz Bąkowski) (1/628-2/629)  
 BĄKOWSKI Adam Tadeusz: *W oknie kuchni* (1/628-2/629)  
 CHABROWSKI Tadeusz: *Muzy na mojej ulicy* (5/632)  
 – *Rozmowa z Bogiem* (5/632)  
 – *Savonarola* (5/632)  
 – *Złotousty* (5/632)  
 DOMINIĄK Zbigniew: *Lyczakowska 55* (3/630)  
 GRZELA Remigiusz: *(... idziesz)* (1/628-2/629), (7/634-  
 8/635)  
 – *\*\*\*... dwoje na ławeczce* (1/628-2/629), (7/634-8/635)  
 KATZ Janina (tłumacz) zob. AMICHAJ Jehuda (1/628-2/629)  
 KAWIŃSKI Wojciech: *Duchy na jawie* (7/634-8/635)  
 – *Paradoksalnie* (1/629-2/629)  
 – *Skurcz* (1/628-2/629)  
 – *Wersy bez tytułu* (7/634-8/635)  
 KUŚ Mira: *Lilie rosną wysoko* (7/634-8/635)  
 – *Wierzba* (7/634-8/635)  
 OLSIŃSKA Halszka: *\*\*\*... sztychem bomby* (7/634-8/635)  
 SZARUGA Leszek: *Umarli mówią* (3/630)  
 – *Wzrok* (3/630)  
 SZUBER Janusz: *Krahla* (3/630)

#### Sprawy krajowe

BERBERYUSZ Ewa: *Kartki ze skażonej strefy* (1/628-2/629,  
 3/630, 4/631, 5/632, 6/633, 7/634-8/635, 9/636, 10/637)  
 KARWAT Krzysztof: *Separatyzm po śląsku. Brzydkie słowo:*  
*autonomia* (6/633)  
 KORASZEWSKI Andrzej: *Cierpienia młodego tygrysa*  
 (10/637)  
 – *Murowane środowisko człowieka* (4/631)  
 MICEWSKI Andrzej: *Główne orientacje prawicy* (10/637)  
 – *Po dziesięciu latach wolności* (1/628-2/629)  
 RUDZKI Marek: *Przygoda na Starym Mieście* (10/637)  
 SMECZ: *Z ukosa* (1/628-2/629, 3/630, 4/631, 5/632, 6/633,  
 7/634-8/635, 9/636, 10/637)  
 TOMASZEWSKI Marek: *Niderlandy pana Zagłoby* (1/628-  
 2/629)  
 WOLICKI Krzysztof: *„Business as usual”* (5/632)  
 – *Co nam grozi od SLD?* (7/634-8/635)  
 – *Coraz mniej wiadomo* (6/636)



- *Trochę spokoju, ale niedużo* (1/628-2/629)
- *Świetnie, choć nie beznadziejnie* (9/636)
- *Wejście smoków* (3/630)

### Sąsiedzi

- ABNER Stefan: *Dzień dobry ze Szwecji* (10/637)  
 – *Z nordyckiej perspektywy* (10/637)
- KALEDA Algis: *Mozaika litewskiej świadomości kulturalnej* (5/632)  
*Kronika białoruska* (6/633)
- OSADCZUK Bohdan: *Dokąd zmierza Kuczma?* (6/633)  
 – *Między Niemcami a Rosją* (9/636)  
 – *Między Nowym Jorkiem a Kijowem* (7/634-8/635)
- PAWLUCZUK Włodzimierz: *Białoruś a sprawa polska* (7/634-8/635)
- PĘDZIWIOL Aureliusz M.: *O murze co udawał płot* (1/628-2/629)
- STACH Andrzej: *Dalekie drogi zblżenia – polscy i niemieccy studenci „Viadriny”* (10/367)  
 – *Kronika niemiecka* (3/630, 6/633)  
 – *Niemieckie dziedzictwo kulturowe w Polsce* (7/634-8/635)
- STRONSKA Anna: *Wilno: coraz dalej* (10/367)

### O religii bez namaszczenia

- JAN PAWEŁ II: *Nie ma czasu do stracenia* (4/631)
- KORASZEWSKI Andrzej: *Kościelne pieniądze* (1/628-2/629)
- POSPIEZALSKI Antoni: *Dramatyczna spowiedź Kościoła* (5/634)  
 – *Jak chory jest nasz Kościół?* (10/637)  
 – *O reformę papieżstwa* (4/631)  
 – *Refleksje na czasie* (6/633)  
 – *Watykan religijny i polityczny* (9/636)

### Wywiady „Kultury”

- BEREŚ Stanisław: *Duchy przeszłości. (Rozmowa z Tomaszem Jastrunem)* (9/636)  
 – *W tym domu jest Polska. (Rozmowa z Marią Dani-*

- lewicz Zielińską)* (10/637)
- GRZELA Remigiusz: *Polska jest granicą Wschodu. (Rozmowa z Mieczysławem Pruszyńskim)* (4/631)
- PĘDZIWIOL Aureliusz M.: *„Najpierw trzeba odrobić zadania domowe”. (Rozmowa z prof. Markiem Dąbrowskim o transformacji ukraińskiej gospodarki)* (5/632)
- RATAJCZAK Henryk: *O problemach nauki w Polsce. (Rozmowa z Andrzejem Wiszniewskim, ministrem nauki, przewodniczącym Komitetu Badań Naukowych)* (7/634-5/635)
- ŚMIEJA Florian: *Inna wersja emigracji. (Rozmowa z Bolesławem Taborskim)* (10/637)

### Sprawy i troski

- Cenne informacje dla ekspertów* (7/634-8/635)
- ENGELKING Anna: *Polak – kolchoźnik* (3/630)
- KORASZEWSKI Andrzej: *Czekając na urzędnika* (6/633)
- STACH Andrzej: *Radio Maryja zamiast „Słowa”* (3/630)

### Ci, co odeszli

- CHRZANOWSKI Tadeusz: *Ron* (4/631)
- CHYLIŃSKA Kamila: *Szymon Jakubowicz* (7/634-8/635)
- DREWNOWSKI Tadeusz: *Parę refleksji na pożegnanie* (7/634-8/635)  
*Eugenia Szabelska* (1902-2000) (6/633)
- FRAJLICH Anna: *Zoja Juriewa* (4/631)  
*Gustaw Herling-Grudziński (nekrolog)* (7/634-8/635)  
*Halszka Guillej-Chmielowska* (1/628-2/629)  
*Jan Dunin-Karwicki* (1910-1999) (1/628-2/629)
- KRAWCZYK Marek: *Andrzej Zakrzewski* (4/631)
- MAZUR Grzegorz, KWIECIEŃ Marcin: *Andrzej Grzywacz* (1967–1999) (1/628-2/629)
- MIŁOSZ Czesław: *Filozof odchodzi* (7/634-8/635)
- PIPES Richard: *Adam Ulam* (7/634-8/635)
- POMIANOWSKI Jerzy: *Irina Aleksiejewna Iłowajska* (5 XII 1924–4 IV 2000) (5/632)
- STACH Andrzej: *Lothar Herbst* (6/633)
- SUPRUNIUK Anna: *Zenon H. Nowak* (1934-1999) (1/628-2/629)
- TALKO Leszek: *Marc de Montfort* (1923-1998) (1/628-2/629)



Weronika Bell (1/628-2/629)

### Kronika kulturalna

- BIERNACKI Andrzej: *Rotmistrz Zawodziński* (7/634-8/635)  
 BRÓŃSKI M.: *Meksyk – Pietuszki* (tzn. Kraków) (10/637)  
 – „Postmodernizm”: *ostatnia hucpa XX wieku* (1/628-2/629)  
 CHRZANOWSKI Tadeusz: *Pochwała pracowitości i umiłowania* (7/634-8/635)  
 CZERNIAWSKI Adam: *Na odejście kasztelana-poety* (1/628-2/629)  
 DASZKIEWICZ Piotr: *Operacja Coldfeet* (10/637)  
 DŁUGOSZ Dariusz: *Rękopisy z Qumran* (7/634-8/635)  
 GROT-KWAŚNIEWSKI Jerzy: *Z ogniem wziętym od Prometeusza* (10/637)  
 HABELSKI Rafał: *60 lat „Dziennika Polskiego”* (10/637)  
*IKA – Internetowa Księgarnia Akademicka* (9/636)  
 KAJDAŃSKI Jarosław: *Maruda polska* (4/631)  
 KAŻMIERCZAK Dorota: *Marian Zdziechowski* (1/628-2/629)  
 L.S.: *Targi lipskie* (5/632)  
 PRUSZYŃSKI Mieczysław: *Nagrody prywatnego mecenatu* (7/634-8/635)  
 RAKOWSKI Janusz: *Pomoc kulturalna dla Polski – Szwajcaria 1945–1990* (6/633)  
 RODZIŃSKI Stanisław: *Józefa Czapskiego świadectwo prawdy* (6/633)  
 SPANDOWSKI Michał: *„Kup Polsce białego kruka”* (9/636)  
 – *Sprawa skradzionych starych druków* (5/632)  
 STUDNICKI-GIZBERT Konrad W.: *Emigracja i kultura polska w świecie* (3/630)  
 SZARUGA Leszek: *Fenomen Różewicza* (1/628-2/629)  
 – *Między wierszami (I)* (4/631)  
 – *Między wierszami (II)* (7/634-8/635)  
 – *Samotnik z Wałbrzycha* (4/631)  
 – *Związek Zawodowy Literatów Polskich* (1/628-2/629)  
 ŚMIEJA Florian: *Don Pedro Calderon w polskim kontuszu* (4/631)  
 TABORSKI Bolesław: *Jubileuszowy Kontakt 2000* (7/634-8/635)  
 TALKO Leszek, ZALESKI C. P.: *Paryska Biblioteka Polska zmienia skórę* (3/630)  
 WAJDA Andrzej: *Dziękując za Oskara* (4/631)

### Recenzje, sprawozdania, nowości wydawnicze

- A. K.: *Wyzwania XXI wieku* (3/630)  
 BERDYCHOWSKA Bogumiła: *Zachęcający początek roku* (6/633)  
 – *Z ukraińskich nowości* (7/634-8/635)  
 BRÓŃSKI M.: *Goście Lechonia* (7/634-8/635)  
 – „Imperium Dobra” *kontratakuje* (6/633)  
 – *Krew i kukurydza* (3/630)  
 CYBULSKA Maja Elżbieta: *„Wyspy cudownych przeobrażeń”* (7/634-8/635)  
 CZERWIAKOWSKA Ewa: *O UFO, jedynym garnku i metafizyce pamięci* (7/634-8/635)  
 FLORCZAK Zbigniew (Pelikan): *Przebudzenie wileńskie 1905–1915* (1/628-2/629)  
 GŁOWACKA Renata: *O sztuce religijnej książka dla każdego* (1/628-2/629)  
 HALIKOWSKA-SMITH Teresa: *Wielka Niedźwiedzica ... a sprawa polska, czyli spór o historię* (5/632)  
 HNATIUK Ola: *Dedal i Ikar* (3/630)  
 KOWALCZYK Andrzej Stanisław: *Stempowski i teatr* (5/632)  
 MIANOWICZ Tomasz: *NRD – sąsiad nieznanany* (1/628-2/629)  
*Nadesłane nowości wydawnicze* (1/628-2/629, 5/632, 6/633, 7/634-8/635, 9/636)  
 PACHOLSKI Arkadiusz: *Brulion paryski* (1/628-2/629)  
*Represjonowani w ZSSR – imiennie* (7/634-8/635)  
 SKRENDO Andrzej: *„Żebracze treny” Tadeusza Różewicza* (3/630)  
 TAŃSKI Paweł: *Misjonarz słów* (1/628-2/629)  
 TYRCHAN Mikołaj: *Wizja Polski na łamach „Kultury” 1947–1976* (3/630)  
 UNGER Leopold: *„Lista Sugihary”* (4/631)  
 WILK Mariusz: *Bałamutna książka* (1/628-2/629)  
 – *„Bietomorkanał”, czyli apologia rabskiego trudu* (6/633)  
 ZIELIŃSKI Jan: *Listy odśrodkowe* (6/633)  
 ŻUREK Sławomir J.: *Zbawienie pochodzi od Żydów* (9/636)



**Tłumaczenia***Z języka angielskiego*

- AMICHAJ Jehuda: *Powrót byka* – przełożyła Janina Katz (1/628-2/629)  
 BAKOWSKI Peter: *Wiersz dla zranionych (Poem for the Wounded)* – spolszczył Adam Tadeusz Bąkowski (1/628-2/629)  
 PIPES Richard: *Adam Ulam* – przełożyła Olga Scherer (7/634-8/635)

*Z języka rosyjskiego*

- GORBANIEWSKA Natalia: *Dwa wiersze na zgon Jerzego Giedroycia* – spolszczył Jerzy Pomianowski (10/637)

**Listy do Redakcji**

- ADAMUS Waław S. (3/630), BAUMGARTEN Karol (1/628-2/629), CUKIERNIK Ryszard (9/636), CHODAKOWSKI Adam (9/636), DASZKIEWICZ Piotr (1/628-2/629), HEJNAR Jacek (3/630), HOSER Henryk ks. (3/630), JASTRZĘBSKA Ewa (3/630), KLESZCZYŃSKI Józef Edward (3/630, 9/636), KORASZEWSKI Andrzej (3/630), KOWZAN Tadeusz (7/634-8/635), KRZECZUNOWICZ Andrzej (1/628-2/629, 6/633), MICHNIEWICZ Marian (3/630), MIESZKAŁA Grzegorz (7/634-8/635), NASIELSKI Adam (4/631), POPŁAWSKI Wojciech (9/636), SKUPIŃSKI Andrzej (9/636), SŁUBICKI Jerzy (3/630), SPANDOWSKI Michał (9/636), WOLICKI Krzysztof (3/630), WYRWA Tadeusz (7/634-8/635), ZAMORSKI Krzysztof (9/636), ZDIARSKI Przemysław (5/632), ŻABOKLIICKI Krzysztof (3/630)

- KORASZEWSKI Andrzej: *Sprostowanie* (5/632)  
 ●

*Odpowiedzi Redakcji* (3/630, 5/632, 6/633, 7/634-8/635)

**Różne**

- Do Czytelników i Przyjaciół* (10/637)  
 GROT-KWAŚNIEWSKI Jerzy: *Kronika australijska* (1/628-2/629)  
*Klub Myśli Politycznej im. J. Mieroszewskiego* (1/628-2/629)  
*Komunikat o stypendiach Fundacji Bankowej im. Leopolda Kronenberga (Warszawa) i Funduszu Pomocy Niezależnej Literaturze i Nauce Polskiej (Paryż)* (4/631)  
*List otwarty do Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego* (5/632)  
 MIŁOSZ Andrzej: *Japoński szlak z litewskiej pułapki* (6/633)  
*Nagroda „Przeglądu Wschodniego”* (3/630)  
*Nagrody „Kultury” za rok 1999* (1/628-2/629):  
 – *Literacka im. Zygmunta Hertza* – Tadeusz Różewicz (m.d.z.)  
 – *Przyjaźni i Współpracy* – Grażyna Pomian  
 – *Publicystyczna im. Juliusza Mieroszewskiego* – Andrzej Koraszewski  
 REDAKCJA: *Do Prenumeratorów „Kultury”* (4/631)  
 ROMER Andrzej: *O kolonii polskiej* (6/633)  
*Uniwersytet Letni Kultury Polskiej – Rzym 2000* (1/628-2/629)  
 WIERZBICKI Zbigniew T.: *List do Prezydenta Miasta Warszawy* (5/632)  
*Wpłaty na Fundusz „Kultury”* (1/628-2/629, 3/630, 4/631, 5/632, 6/633, 7/634-8/635, 9/636, 10/637)  
*Wyróżnienia POLCUL Foundation* (4/631, 9/636)  
*„Złote Berło”* (3/630)

**Biobibliografia**

- DĄBROWSKI Marek: *Nota biograficzna* (5/632)  
*Indeks autorów i tematów „Kultury” za okres styczeń – październik 2000* (10/637)  
 PAWLUCZUK Włodzimierz: *Nota biograficzna* (7/634-8/635)  
 SPANDOWSKI Michał: *Nota biograficzna* (5/632)



**Wydawnictwa książkowe Biblioteki „Kultura”  
w roku 2000**

- Tom 510 – *Zeszyty Historyczne* (zeszyt 131). Str. 240  
Tom 511 – *Zeszyty Historyczne* (zeszyt 132). Str. 240  
Tom 512 – *Zeszyty Historyczne* (zeszyt 133). Str. 240

Numery *Kultury* styczeń–luty (1/628-2/629 i lipiec–sierpień (7/634-8/635) miały po stron 224, numery marcowy (3/630) i wrześniowy (9/636) po stron 176, numer październikowy (10/637) stron 240.

Dla orientacji czytelników podajemy spis zawartości *Zeszytów Historycznych* wydanych w 2000 roku:

ZESZYT 131: A. Grzywacz, M. Kwiecień: *Rada Narodowa Rzeczypospolitej Polskiej w walce z sanatorami 1939-41*; J. W. Solecki: *Sen o spadochronach*; G. Mazur: *Rozmowy polsko-ukraińskie w Rumunii 1940 r.*; D. Rogoyski: *List Domana Rogoyskiego do Władysława Poboga-Malinowskiego z 31.03.45*; M. K. Dziewanowski: *Jak szkolono oficerów kawalerii w Polsce przedwojennej*; T. Mianowicz: *Ku pokrzepieniu umysłów*; Cz. Karkowski: „*Holender*”; T. Wyrwa: *Przewrotna działalność gen. Tatara*; Z.S. Siemaszko: *Polacy i Żydzi w ujęciu Sarnera*; A.F. Baran: *W stulecie urodzin Adama Bienia*; Z. Ponarski: *Za kulisami wielkiej polityki*; J. Szymański: *Polsko-ukraiński batalion sił pokojowych ONZ*; *Postępowa Organizacja Polska POP*; Krzysztof Muszkowski: *Angielski parasol*; A. Tyszkiewicz: *Nieznane listy Henryka Sienkiewicza do Adama Stefana Sapiehy*; LISTY DO REDAKCJI.

ZESZYT 132: A. Stróńska: *Litwo, ojczyzno Wasza*; Grzegorz Mazur: *Kontakty polsko-jugosłowiańskie w czasie II wojny światowej*; *Jaka Polska? – Przesłanie „Kultury”*; *Fragmenty wspomnień N.S. Chruszczowa*; R. Pichoja: *Dwie solidarności: socjalistyczna i polska*; J.J. Milewski: „*Biuletyn Historii Pogranicza*”;

M.K. Dziewanowski: *Obraz pokolenia*; W. Sznarbachowski: „*Dzienniczek*” *błogosławionej Faustyny Kowalskiej*; M. Patelski: *Ochotnicy amerykańscy w wojnie polsko-bolszewickiej. Z działalności dyplomatycznej gen. Tadeusza Jordan Rozwadowskiego*; *Relacja Bogustawa Miedzińskiego z wydarzeń majowych 1926 r.*; LISTY DO REDAKCJI.

ZESZYT 133: P. Waingertner: *Dekada buntu czyli o NZS-ie lat osiemdziesiątych*; A. Grzywacz, G. Mazur: *Tragiczne losy ppłk. dypl. Stanisława Pstrokońskiego. Z dziejów ZWZ we Lwowie*; P. Wandycz: *Zapoznany Instytut*; K. Dubiński: *Zapowiedź sierpniowego przełomu. Meldunki MSW o sytuacji w kraju w okresie 1 lipca – 16 sierpnia 1980*; T. Wyrwa: *Tom XXII londyńskich Tek Historycznych*; E. Możejko: *Dwie książki o Białorusinach*; M. Rudzki: *Polska Sekcja Radia Wolna Europa w Nowym Jorku*; A. Zamojski: „*Kolumb – rocznik 23*” *Stanisława Likiernika*; A.F. Baran: *Harcerskie relacje Warszawa – Londyn (grudzień 1956 – marzec 1957 r.)*; A. Marton-Domeyko: *1945-1948: „Ustanowienie władzy” w Polsce na łamach prasy francuskiej*; Kpt. A.N. Curie: *Z misją brytyjską w Polsce*; LISTY DO REDAKCJI.





## WPLATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Andrzej Brzeski, Davis, CA, USA, dla uczczenia pamięci Zygmunta Herta w 21-szą rocznicę Jego śmierci – dol. 100,00 .....	F. 780,00
Henryk Dunajewski, Aix-en-Provence (Francja) – zamiast kwiatów na grób Jerzego Monda .....	F. 500,00
Dla uczczenia pamięci prof. Szymona Jakubowskiego – Tadeusz Pawłowicz, Naples, FL, USA – dol. 100,00 .....	F. 780,00
Dla uczczenia pamięci Redaktora Jerzego Giedroycia, wyrażając wdzięczność za siedemnaście lat współpra- cy – Agnieszka Szypulska .....	F. 500,00
Ks. Marek Stroba, OMI, Saint Paul, MN (USA) – po raz 2-gi – dol. 50,00 .....	F. 390,00

## DZIĘKUJEMY

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE

91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt légal: 4<sup>ème</sup> trimestre 2000.

Akredytowany korespondent *Kultury* w Rosji:  
Mariusz Wilk, Primorskaja 15, Archangelskoj obl.,  
164409 SOŁOWKI

Skład komputerowy: MacWire Diffusion.

Imprimé en France.

## KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC  
Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi  
par 78600 Maisons-Laffitte – Telefon 01-39-62-19-04  
Fax: 01-39-62-57-52  
e-mail: [kultura@club-internet.fr](mailto:kultura@club-internet.fr)

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
<b>Ceny na rok 2000</b>			
AFRYKA POŁUDNIOWA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury» .....	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires .....	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRALIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury» .....	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114 .....	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury» .....	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury» .....	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
DANIA: W. Luterek (adres w Szwecji). Konto w BG-Bank A/S nr1-686-7179 .....	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu .....	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
HOLANDIA: Barbara Malak-Minkiewicz, Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623 .....	Fl h 20,00	Fl h 110,00	Fl h 210,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., P.O.B. 29443, 61239 Tel-Aviv. Tel. i fax: (3) 5606311 .....	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel.: (450) 465-2362; Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches, 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 789-8260, fax: (613) 789-1051; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, tel.: 545-2115 .....	\$ can.13,00	\$ can.75,00	\$ can.140,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessesstr. 39/41, D 80328 München, tel.: (089) 54-21-80; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1, tel.: 0221/24-61-60 .....	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
NORWEGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury» .....	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 27, rue de la Fontenette, 1227 Carouge/GE. Tel.: 343-05-84 .....	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
SZWECJA: Wojciech Luterek, Regnstigen 14-6 Tr., 169-60 SOLNA. Tel. (08) 83-13-33. ....	Sk 85,00	Skr 450,00	Skr. 850,00
U.S.A.: Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski, 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109, tel.: (216) 351-8219; POLONIA Bookstore, 4738N Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60630, tel. (773) 481-6968; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, CA 94306-1541. Tel. (650) 327-5590 & (650) 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 333, West 38th Street, New York, N.Y., 10018, tel.: (212) 594-2266 .....	\$ US 11,00	\$ US 60,00	\$ US 116,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (171) 370-2210 .....	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: (06) 77-20-15-58 .....	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

Prenumerata „Zeszytów Historycznych” na rok 2001 wynosi – FRF 400,00;  
cena pojedynczego numeru – FRF 100,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.  
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,  
par 78600 MAISONS-LAFFITTE – C.C.P. 18-228-56 W020 (z Francji)  
lub C.C.P. 18-228-38 B020 (z zagranicy)



## Nowości wydawnicze

### BIBLIOTEKA «KULTURY»

Tom 498

ANNA SUPRUNIUK – MIROSLAW A. SUPRUNIUK

### BIBLIOGRAFIA

„KULTURA” (1988-1996)

„ZESZYTY HISTORYCZNE” (1988-1996)

DZIAŁALNOŚĆ WYDAWNICZA (1988-1996)

Str. 464

Cena F. 200,00



Tom 512 – ZESZYTY HISTORYCZNE

### ZESZYT

### STO TRZYDZIESTY TRZECI

zawiera opracowania: P. Waingertner: *Dekada buntu czyli o NZS-ie lat osiemdziesiątych*; A. Grzywacz, G. Mazur: *Tragiczne losy ppłk. dypl. Stanisława Pstrokońskiego. Z dziejów ZWZ we Lwowie*; P. Wandycz: *Zapoznany Instytut*; K. Dubiński: *Zapowiedź sierpniowego przełomu. Meldunki MSW o sytuacji w kraju w okresie 1 lipca – 16 sierpnia 1980*; T. Wyrwa: *Tom XXII londyńskich Tek Historycznych*; E. Możejko: *Dwie książki o Białorusinach*; M. Rudzki: *Polska Sekcja Radia Wolna Europa w Nowym Jorku*; A. Zamojski: *„Kolumb – rocznik 23” Stanisława Likiernika*; A.F. Baran: *Harcerskie relacje Warszawa – Londyn (grudzień 1956 – marzec 1957 r.)*; A. Marton-Domeyko: *1945-1948: „Ustanowienie władzy” w Polsce na łamach prasy francuskiej*; Kpt. A.N. Curie: *Z misją brytyjską w Polsce*; LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240

Cena F. 90,00

**Cena 130 F**